

**MAREK
MISIAK**

Dyskusja ekonomistów
o drodze do równowagi

str. 10

**ALEKSANDER
JĘDRZEJCZAK**

KOSZTY EGZAMINUJĄ

Marnotrawstwo
wymuszane
przez kooperantów

str. 5

**EUGENIUSZ
MOŻEJKO**

Stare i nowe
oblicze Włoch

str. 12

**JERZY
SURDYKOWSKI**

Wciąż pouczająca
historia
dębickiego „rekordu”

str. 1

**ANDRZEJ
CHMIELEWSKI**

CZAS MIESZKANIA

Budownictwo
jednorodzinne
realizuje się trochę
„na żywioł”

str. 9

**ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI**

Można i trzeba —
czyli pół etatu
w handlu

str. 7

20 LISTOPADA 1977 R.

NR 47 (1366) ROK WYD. XXXII

ŻYCIE GOSPODARCZE

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ

UCZYĆ SIĘ W GŁUCHOŁAZACH...

ZOFIA DŁUGOSZ

WIATRAK w Grodkowie nie jest nawet bardzo stary, zaledwie dziewiętnastowieczny, ale w ułkalnym na naszych ziemiach holenderskim stylu. Przed paru laty niszczącym zabytkiem zajęła się opolska WSS i urządziła w nim stylową kawiarnię.

„Kto by chciał zniszczyć ten obiekt, napotkałby zbrojny opór” — zagrozili bywalcy w księdze pamiątkowej i podpisali się całą gromadą. Obawa bezpodstawną, bo właśnie gospodarz „Wiatraka” — grodkowski Oddział WSS w Opolu — otrzymał od Ministerstwa Kultury i Sztuki specjalne wyróżnienie jako najlepszy użytkownik zabytkowego obiektu.

Ale księga jest już pełna pochwalnych zapisów i teraz każdy stara się znaleźć jakiś oryginalny sposób dla wyrażenia satysfakcji i radości, że coś takiego tu jest i że takie to piękne. Uwieczniło się w niej nawet kilka par nowożeńców, którzy z namaszczeniem oznajmili światu, że „w tym wielkim dniu do „Wiatraka” skierowali swoje kroki”. A wydawałoby się: wielka rzecz, kawiarnia...

NIE MA DOBREGO MIASTA BEZ DOBREGO HANDLU

Wiele naszych miasteczek wyschłowało i wypiękniało w ostatnich latach, ale w niejednym dobre wrażenie kończy się na progu restauracyjnego lokalu. Widok zapierający gości, kiwających się nad brudnymi stołami, hałaśliwych miejscowych czteronożnych, wymuszających na kelnerkach podanie wódki w bealkoholowej sali, rozsiewa wokół nastrój beznadziejności, zabitej deskami prowincji, na której nic, prócz wódki.

Z miast i miasteczek Śląska Opolskiego — Grodkowa, Nysy, Otmuchowa, Paczkowa, Głucholazów — wywodzi się przekonanie, że dni pow-

szednie upływają tu ludziom łatwiej i wygodniej niż w stolicy. Sklepy spożywcze są porządne, dobrze wyposażone i bez kolejek, restauracje czyste i stosunkowo niedrogie. W nyskiej restauracji „Pod starą wagą” najwykwintniejsze danie — połówka po nysku — kosztuje 35 zł. Być może latem, kiedy w tych zabytkowych miastach pełno turystów i wycieczek, wszystko wygląda gorzej, ale z pewnością nie beznadziejnie, skoro w Głucholazach, na przykład, władze głowią się właśnie, jak spożytkować najlepiej milion złotych otrzymanych od GKKEIT w nagrodę za dobrą obsługę turystów, a w Nysie „Pod starą wagą” może się pożywić na raz aż 400 osób.

HENRYK SZOPIŃSKI, prezes WSS „Społem” w Opolu powtarza z uporem przy każdej okazji, że nie ma dobrego miasta bez dobrego handlu i gastronomii, i z równym uporem stara się, w myśli tej recepty, dźwigać miasta w górę. W latach 1971—1975 opolska WSS wybudowała w województwie 43 pawilony handlowe, 17 zakładów gastronomicznych, pięknie mechaniczną w Brzegu, masarnię w Prudniku, zakład pracy nakładczej i usług w Opolu, a zmodernizowała 373 sklepy, 39 zakładów gastronomicznych i 33 zakłady produkcyjne.

I jak zmodernizowała! Oto, na przykład, budynek przy ul. 22 Lipca w Głucholazach. Mieścił się tu kiedyś okropny bar, który ostatecznie zakończył swój żywot w wyroku Sanepidu; budynek przeznaczono do rozbioru. Spółdzielcy jednakże odremontowali ten wrak, uzyskując 14 tys. m sześc. powierzchni. Na dole jest teraz bar szybkiej obsługi, na górze kawiarnia, klub i stołówka wydająca dziennie 600 obiadów. Ogromna kuchnia-matka z dobrze zorganizowanym zapleczem zaopatruje także inne zakłady gastronomiczne i dostarcza 2 tys. sup regeneracyjnych dla załóg miejscowych zakładów. 4

magazyny chłodnie pozwalają pomieścić 6 ton żywności, co w handlu spożywczym jest bezcennym udogodnieniem. W budynku mieszczą się także biura Oddziału WSS, więc choć cała rekonstrukcja kosztowała 7 mln zł, z samej tylko oszczędności na czynszach, które trzeba było przedtem płać za wynajem lokali, zwraca się udziałowi co roku pół miliona złotych.

ZAPLECZE WYSTAWIA SWIADECTWO

Wiele zmodernizowanych sklepów, restauracji i kawiarni otrzymało piękną oprawę estetyczną; jeden ze sklepów kosmetycznych w Nysie mógłby być ozdobą i paryskiej przeczepnej ulicy. Dzieje się to zaś nie za sprawą wielkich nakładów, ale kunsztu inżyniera ROŻY, architekta wnętrz, zatrudnionego w Zakładach Remontowo-Budowlanych WSS oraz zręcznych rąk grupy stolarzy z tychże zakładów, której przewodzi technik JÓZEF FUHL. W ogóle WSS ma szczęście do dobrych fachowców, choć trudno dać głowę, czy to tylko przypadek. Inżynier elektryk GERHARD WIECZOREK z powodzeniem przerabia pojemniki do głębokiego chłodzenia, nazywane w handlu popularnie bonetami, które niezbyt się udało producentowi z Bydgoszczy i w innych regionach po prostu stoją w sklepach pod ścianami, bezużytecznie zajmując miejsce. Stosuje też własne sposoby wentylacji i klimatyzacji pomieszczeń, może i amator-skie, ale dobrze zdające egzamin.

Zżymamy się na ciągłą modernizację sklepów, co rusz wylaczając jakieś oka z niezbyt gęstej ich sieci i to na długi niezapamiętany czas. Kto jednak zagląda i za kulisami handlu, ten ro-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2



Profesor EDWARD ROSSET — Dla człowieka nauki długie życie, to nie tylko przywilej biologiczny... (O jubileuszu 80-lecia Profesora — na str. 3) Na zdjęciu: moment odznaczenia Jubilata orderem Sztandaru Pracy I klasy. Dekoruje wiceprezes PAN, prof. WITOLD NOWACKI. Fot. S. ZUBCZEWSKI

O KORDZIE I „REKORDZIE”

JERZY SURDYKOWSKI

POSIADACZE samochodów, a zwłaszcza „fiatów” 125p, przypominają sobie zapewne te fakty: niedługo jakoś opom ze znakami stylizowanego kormorana wytwarzanych w Olsztynie?), zakup licencji na produkcję opon radialnych amerykańskiej firmy „Uniroyal”. Po-bicie w sierpniu 1973 roku trzech rekordów świata przez polskiego fiata z nowymi oponami z zakładów „Stomil” w Dębicy.

No dobrze, ale od wejścia na nasz rynek opony „rekord” minęło z górą 4 lata, od zakupu licencji „Uniroyal” dużo więcej. Dlaczego brakuje opon w stacjach „Polmozybytu”? Dlaczego zdrożały opony do „fiata” 125p? Dlaczego w lecie tego roku nowe „maluchy” miały jeszcze importowane ogumienie?

NOWOCZESNOŚĆ I STARZYŃNA

Zakłady „Stomil” w Dębicy były przed wojną niewielką fabryką prze-mysłu gumowego, filią poznańskiego

„Stomilu” o profilu produkcji dość szerokim, technologii prymitywnej opartej na ręcznej pracy. Także zakłady o kilkudziesięcioletnim rodowodzie przedstawiają dziś zwykłe — po licznych, acz często niepełnych, modernizacjach — konglomerat nowoczesności z archaizacją starzyńną, pełne są zarówno supernowoczesnych automatów, jak i „waskich garded” pamiętających dawne, choć nie zawsze dobre czasy.

Tak jest i tu. Do walkowni, gdzie wytwarza się półprodukt, z którego powstają potem „rekordy” i jeszcze nowoczesniejsze opony na licencji „Uniroyal”, lepiej nie wchodzić: pył, smród, hałas i śmierć techniczna wielu urzędników pracujących mimo wszystko. O maszynach, na których wytwarzane są tzw. „opony surowe”, rowerowe, oraz różne inne rodzaje ogumienia, też wiele dobrego powiedzieć nie można, po za tym, że mają szacowny rodowód.

Punktem wyjścia dla dalszej modernizacji tej fabryki powinna być więc nie tylko plany przyszłego rozwoju produkcji samochodów licen-

cyjnych i wynikająca stąd budowa nowych wydziałów z „uniroyalowską” technologią, ale także refleksja nad tym, co dzieje się w wydziałach starych, w produkcji nie eksploatowanej i nie licencyjnej.

Przykładem tego, co można zrobić stosunkowo niewielkimi środkami, jest stara już, lecz wciąż pouczająca historia sławnej opony „rekord”. Wbrew temu, co się czasem potocznie sądzi wśród posiadaczy samochodów, opona, która przyczyniła się do pobicia w 1973 roku trzech rekordów świata przez „polskiego fiata” 125p, nie jest produktem licencyjnym. Z firmą „Uniroyal” i jej technologią nasz „rekord” nie ma nic wspólnego. Dlaczego? — można by spytać — skoro licencja na produkcję opon radialnych zakupiona została już w 1968 roku? Owszem, ale od licencji do produkcji prowadzi droga przez zakup pełnego wyposażenia, które zresztą też trzeba zmontować i uruchomić w przystosowanych do tego halach. Dlatego licencja zakupiona była raczej z myślą o powstającej fabryce w Olsztynie, a nie o istnie-

jącej już dawno „Dębicy”. Wdrożono licencję w 1970 roku tam właśnie do produkcji opon radialnych dla samochodów ciężarowych (też niezmiernie ważne potrzeby), a tymczasem opony dla samochodów osobowych kle-ciliśmy dotychczasowym sposobem, trochę w Dębicy, trochę w Olsztynie, trochę gdzie się dało. Ponieważ przedłużyło się czekanie na budowę nowoczesnego wydziału opon licencyjnych dla samochodów osobowych w Olsztynie lub Dębicy (dyskusje o lokalizacji jeszcze trwały), z początkiem lat siedemdziesiątych Ośrodek Badańczo — Rozwojowy Zjednoczenia „Stomil” w Poznaniu wspólnie z dębicką fabryką podjął się opracowania czegoś „zastępczego”, czym właśnie był ów „rekord”.

Dłaczego jednak produkt zastępczy i tymczasowy okazał się tak dobry i tak poszukiwany? Na sukces złożyło się skojarzenie mądrej inicjatywy ludzi mocno z tym przemysłem zżytych i uczuciowo (jak znaleźć właściwsze słowo?) związanych z jego rozwojem prawdziwych „oponiarzy” — z przemysłowymi, nie-

kosztownymi przedsięwzięciami modernizacyjnymi oraz (co niezmiernie ważne) z metodą załatwiania sprawy „na błysk”.

Tu „błyskiem” była udana próba bicia rekordu i współudział w niej wszechmocnej Telewizji. Więcej nie trzeba.

— Czy mielibyśmy tak szybko dobre opony do „polskiego fiata”, gdyby nie udana próba bicia rekordu i zainteresowanie rozpętane przez Telewizję? — pytam inż. JÓZEFA STROŻYKA, dyrektora naczelnego dębickiego „Stomilu”, zresztą niechętnego takiej jak powyżej interpretacji poczyniń sprzed czterech lat.

— Chyba nie — odpowiada. — To znaczy byłoby — poprawia — ale chyba nie tak szybko.

W 1972 wyprodukowano na prymitywnych maszynach, prawie ręcznie, 10 tys. opon radialnych polskiej konstrukcji. Do sierpnia 1973 (pobicie rekordu) zrobiono już w takich warunkach 70 tys. sztuk. Gdy tylko „błysk” zadziałał, znalazły się dewi-zy na zakup potrzebnych maszyn,

które ustawiono w uprzątniętym na tę okazję magazynie. Zainteresowanie i pomoc najwyższych czynników pozwoliły „rozkręcić” nie zaplanowaną wcześniej i „zastępczą” produkcję do 800 tys. sztuk w roku ubiegłym i miliona planowanego na rok bieżący. A przecież po ostatecznej przemianie owego magazynu w halę produkcyjną, co zakończono w 1975 roku, moce produkcyjne w „starym zakładzie” w Dębicy już nie rosną.

— Wyrzuciło się gdzie indziej trochę opon, postawilo maszyny i do dziś tak leci — mówi główny konstruktor, inż. JERZY MATELEWSKI, jeden z tych, którzy stali za sportowym i handlowym sukcesem polskiej opony. — Tylko, że teraz to łatwo mówić — dodaje po chwili. — Trudno sobie wyobrazić, ile problemów rodu uruchomienie produkcji opartej na własnym projekcie i na zakupie pojedynczych maszyn, a nie całej linii technologicznej.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

UCZYĆ SIĘ W GŁUCHOŁAZACH...

DOKONCZENIE ZE STR. 1

zumie, że modernizacja jest konieczna. Odmienia nie tylko front, ale przede wszystkim zaplecza sklepów i restauracji, bez czego trudno u sprawnić obsługę konsumentów, choćby nawet pracownicy mieli ku temu więcej dobrej woli. Tylko do brze zorganizowane zaplecze może nas uwolnić, na przykład, od zmyr częstego zamykania sklepów z powodu przyjęcia towarów i remanentów, zapewniając możliwość dostaw i bieżących kontroli nie kolidujących z obsługą klientów. O wiele łatwiejsze są zresztą wszelkie formy kontroli nad pracą placówki to dobrze, przejrzyste zorganizowanym zapleczem. Na karb trudnych warunków i baganów można złożyć niejedno: i własną nieudolność, i nieuczciwość. W zmodernizowanych placówkach opolskich zaplecze wystawia gospodarzom jak najlepsze świadectwo.

NIE SAMYM MIĘSEM

żyje człowiek, choć i chciałby. Pod tym względem trudności tu takie same, jak w innych częściach kraju.

Toteż opolska WSS stara się, jak może, mnożyć w sklepach inne produkty żywnościowe i poprawiać ich jakość. Zaczęło od chleba, wszak ludzie mówią: jeśli brakuje wędlin, to niechby choć chleb był dobry. Pomysł tworzenia „domów chleba” spotkał się tu i ówdzie z prześmiewkami. Bo istotnie, chleb to artykuł najpierwszej potrzeby, powinniśmy go mieć wszędzie w zasięgu paru kroków, a nie w jakichś rozsiadanych tu ówdzie „domach chleba”.

Tak, to byłby ideał, ale opolski pomysł wychodził nie od ideału, lecz od naszych, współczesnych warunków. Wiadomo, że w sklepach ogólnospożywczych nie można wyeksponować w godziwych warunkach wszystkich gatunków chleba; potrzebna byłaby do tego gęsta sieć sklepów specjalistycznych. Ale choćby je nawet i pobydrowano, kulejący na wszystkich koła transport handlowy nie byłby ich w stanie obsłużyć. Śmiech okazał się więc całkiem niewczesny: „domy chleba” cieszą się wielkim powodzeniem, a choć handel chlebem to nie jest wielki interes,

przynoszą też duże obroty. Można w nich bowiem dostać pieczywo zawsze świeże, nie sponiewierane w transporcie i w sklepie. Przewozi się je w pojemnikach „na sztorc”, a odpowiednio skonstruowane proste, drewniane półki pozwalają wprost z zaplecza wyładować bochenki jeden obok drugiego, żeby się nie gniotły. Do wypieku chleba zastosowano tu w piekarniach serwatki, dzięki czemu dłużej zachowuje on świeżość i jest smaczniejszy. W „domach chleba” jest też przeważnie stoisko z ciastkami, na które popyt wydaje się wręcz nieograniczony. Niektóre ciastkarnie pierwotny plan sprzedaży na ten rok wykonały w parę miesięcy.

Drugą specjalnością handlu spożywczego w Opolu są sklepy garmateryjne. Cała spółdzielczość spożywców wykorzystuje wolne zdolności produkcyjne zakładów gastronomicznych do przyrządzania różnych produktów sprzedawanych w sklepach, ale tu wybór dań jest szczególnie bogaty, a wykład zachęcający. Prócz różnych sałatek i ko-

tletów sprzedaje się krostki z mięsem, goląbki, różne rodzaje pierogów, naleśniki z mięsem i z serem itp. I choć w mniejszych miastach kobiety na ogół mają więcej czasu na przygotowywanie bardziej pracochłonnych posiłków w domu, rynek wdzicznie reaguje na takie ułatwienia — gotowe dania z restauracji codziennie znikają ze sklepów.

W Otmuchowie, Nysie i Głucholazach w sklepach rybnych można nie tylko kupić konserwy, śledzie, szprotki, czy gotowe surowe filety, ale na życzenie zjeść przy stoliku usmażoną rybę. I ta nowość przyjęła się łatwo, oby tylko wybór ryb był większy.

Ostatnią wreszcie innowacją opolskiej WSS są sklepy kwiatowo-owo-cowo-warzywne. Prezes Szopliński uważa, że pomieszczenie kwiatów z warzywami pod jednym dachem wpływać będzie korzystnie na czystość i estetykę w sklepach. Kwiaty są drogie, personel musi o nie troskliwie dbać, a nie lubią zaduchu charakterystycznego dla większości naszych sklepów warzywnych i owocowych. Istotnie — na razie i zaopatrzenie, i czystość w tych sklepach są wręcz pokazowe. W Warszawie mamy parę takich przy Nowym Świecie i Alejach Jerozolimskich. Peryferie stolicy ani się umyją pod tym względem do Otmuchowa.

W MIASTECZKACH ŁATWIEJ

Opolska prasa wytyka swojej WSS, że wszędzie jasno, tylko pod

latarnią ciemno. Jej zdaniem, najgorzej jest z handlem w samej stolicy województwa. Handlowcy nawet się nie bronią, przyznają, że w mniejszych miastach radzą sobie jakoś łatwiej. Może decyduje o tym po prostu mniejsza skala problemów, nie przerastających umiejętności miejscowych organizatorów handlu i gastronomii?

Kiedy nie ma żadnych rezerw — w magazynach, w kadrach, a zwłaszcza w transporcie, wypadnięcie jednego ognia, na przykład: niestawienie się do pracy paru konwojentów — co zdarza się nader często — w skomplikowanym organizmie wielkiego miasta pociąga to za sobą całą lawinę złych skutków; w mniejszym łatwiej ten ubytek załatać. A może jeszcze ważniejsze jest to, że nie ma tu wielkomięskiej anonimowości, ludzie po obu stronach lada często się znają i bardziej nawzajem szanują? Ze klienti bardziej liczą się z groszem i mniej są skłonni do zaskarbiania sobie względów w sklepach przeróżnymi upominkami, który to obyczaj, rozpowszechniony ostatnio w wielkich miastach, łamie w końcu charakter najuczciwszej nawet ekspedientki? Ze — z drugiej strony — zdjęcie ze stanowiska kierownika sklepu mięsnego, najsukuteczniejszej, zdaniem działaczy „Społem”, formy zwalczania nadużyć w handlu mięsem, oznacza dla niego nie tylko utratę intratnej posady,

lecz także dobrego imienia w środowisku?

Imię niewątpliwie szanuje się w tych małych środowiskach bardziej. W sklepie garmateryjnym w Otmuchowie wisi, na przykład, na poczesnym miejscu napis, że za jakość oferowanych wyrobów odpowiedzialne są wymienione z imienia i nazwiska szefowe kuchni w miejscowej restauracji i baru. Trzeba było podobno bardzo długich perswazji, aby obie panie zgodziły się przede wszystkim obwieścić publicznie, że są „tylko” szefowymi kuchni; wszak w Polsce wszyscy bardziej lubimy się chwalić formalnym wykształceniem, wysokim stanowiskiem, niż rzeczywistymi umiejętnościami. Ale kiedy już się zgodziły, własna firma niewątpliwie bardzo je zobowiązuje — nigdzie wyroby garmateryjne z restauracyjnych kuchni nie wyglądają tak zachęcająco, jak tam właśnie.

Ale jeśli to nawet i prawda, że w małych miasteczkach łatwiej handlować, to trudno stwierdzić, że wszyscy w nich łatwiej w pełni wykorzystują. Toteż CZSS „Społem”, organizując ostatnio w Opolu okresowe seminarium dla wiceprezów wojewódzkich spółdzielni, odpowiedzialnych za sprawy handlu, przeznaczył jeden dzień na praktyczne zapoznanie się z dokonaniem gospodarzy. Prezesi oglądali, notowali i — nie narzekali na stracony czas.

ZOFIA DŁUGOSZ

O KORDZIE I „REKORDZIE”

DOKONCZENIE ZE STR. 1

Fabryka w Dębicy jako jedyna w krajach socjalistycznych — nie sięgając po obcą licencję — uruchomiła własną produkcję opon radialnych. Dzięki tej szybko podjętej inicjatywie modernizacyjnej została „załatwana” dotkliwa luka w motoryzacyjnym rynku. Rzecz do naśladowania gdzie indziej i w innych dziedzinach, tak ochoczo wolających o licencję. Tylko jak znaleźć ów „błysk”?

W tej chwili uruchamiana jest produkcja „rekordów” do „syreny”, co poprawi walory tego przestarzałego, lecz wciąż poszukiwanego wozu. Co bardzo ważne, „rekordy” — opony o kordzie tekstylnym, a nie stalowym — są tanie, tańsze od innych, o czym jeszcze będzie mowa i co zresztą stało się przyczyną wielu kłopotów. Powód: 90 proc. surowców jest krajowych, mogłoby być więcej — bo w kraju robimy wszystko z wyjątkiem odrobiny kauczuku naturalnego i dodatków kaulizacyjnych potrzebnych przy tej produkcji, — ale zwyczajny drut musimy kupować w RFN i Wielkiej Brytanii. Drut wytwarzany w Sosnowcu, w tej samej fabryce, która produkuje liny wyciągowe do kopalń, nadaje się tylko do przestawiania opon diagonalnych i opasanych.

— Panowie, na naszych linach wydobycia się 200 milionów ton węgla, a wy się jeszcze krzywicie! — powtarza koronny argument kontrahentów z Sosnowca, zaprawiony w ta-

kich dyskusjach dyrektor techniczny debickiego „Stomilu”, inż. JULIAN WIERUSIŃSKI.

Niestety, zwoje drutu z importu i z Sosnowca można odróżnić już na oko.

KOGO CENA NIE ODSTRASZA

Dlaczego jest tak dobrze, skoro jest tak źle? Wystarczy pójść do sklepu lub stacji obsługi „Polmozyty” — „rekordów” nie ma i nie będzie, a jak są, to „idą spod lada”. Zresztą te droższe, nowe opony radialne na licencji „Uniroyal” z nowego wydziału debickiej fabryki też rzadko goszczą na sklepowych półkach. Dlaczego posiadacze „fiatów” 125p muszą jeździć na tysiącach gumach? Dlaczego za nową licencję na oponę trzeba płacić aż 1800 zł, kiedy „rekord” kosztuje tylko 1130 zł?

„Rekord”, mimo swych walorów jest oponą nienowoczesną — jak mówią fachowcy: „szmaciana” — posiadająca kord wyłącznie tekstylny (gorzowski nylon i szczecińska wiskoza). Świat przesiada się na wytrzymałe opony mające w opasaniu kord stalowy; takie też są nowe debickie wyroby do całej gamy naszych „fiatów”, oparte na licencji „Uniroyal” i wytwarzane w nowym, dochodzącym do pełnej mocy produkcyjnej, wydziale. Na wspomnianie już cenie nowej opony do „fiata” 125p waży nie tylko amortyzacja licencyjnego zakupu, koszt importowanej linii produkcyjnej wyposażonej w najnowszej-

sze automaty, ale też ogromny udział importu surowcowego. Do nowej opony zwanej „D-124” trzeba kupić w strefie dolarowej zarówno kord wiskozowy, jak i stalowy, drut, część kauczuku syntetycznego, część sadzy, kauczuk naturalny, wszystkie środki pomocnicze do wulkanizacji. Krajowa jest tylko większość kauczuku syntetycznego i część sadzy. W przyszłości ma być nieco lepiej, ale na cuda też nie należy liczyć, na co wskazuje przykład drutu z Sosnowca — nieostojowego nawet dla „rekordów”.

Czy jednak wzrost ceny rekompensowany jest przez wartość użytkową? W Dębicy twierdzą, że tak: „rekord” znosi przebieg rzędu 40 tys. km, „D-124” aż 55 tys. km. Podzielwszy to jednak przez cenę nie otrzymujemy się jednakowego stosunku „kilometrów na złotówkę”. Dalszą rekompensatą ma być wzrost bezpieczeństwa jazdy i rzeczywistość: nowa opona pozwala na rozwijanie znacznie wyższych prędkości. Pozostaje tylko pytanie: gdzie je rozwijać i po co? Ważne pytanie, ale nie szukajmy na nie odpowiedzi w Dębicy, ani nawet w zjednoczeniu „Stomil”. Ich zadaniem jest produkowanie dobrych opon, a nie decydowanie o polityce polityki motoryzacyjnej.

Cena jednak nie wszystkim wydaje się wygórowana. Zławsza naszym przyjacielom z krajów ościennych, gdzie kursuje wiele nie tylko „polskich fiatów”, ale „wartburgów”, „lad”, i „żiguli”, do których „rekordy” pasują jak ulał. Okazuje się bowiem, że — zwłaszcza w Czechosłowacji i na Węgrzech — opo-

ny są zdecydowanie droższe, zarówno te „szmaciane”, jak i importowane o stalowym kordzie. Ciągła więc ku sklepom i stacom „Polmozyty” położonym na południu Polski, całe karawany wozów z rejestracją czechosłowacką, rumuńską, a zwłaszcza węgierską; wieżdżają na zderzaki oponach, wyjeżdżają na „rekordach”, lub ostatecznie (bo droższe) na „D-124”.

Zakaz? Wprowadzić restrykcje celne? Przecież już są, z Polski opony wywozić nie wolno, a przecież trudno patrzeć każdemu turystyce na koła. Sprawdzając stan opon na granicy, bo taka „turyści” śmierci” na lśnych gumach zagroza bezpieczeństwu innych użytkowników dróg (jak za proponowała niedawno „Gazeta Południowa”? Kolejny problem, którego rozwiązania nie szukać w Dębicy.

ROWEREM PO DOLARY

Wyrobom z Dębicy chyba najznakomitszym, jeśli wziąć pod uwagę światowe porównania, są oczywiście rowerowe dętki i opony sprzedawane do USA, Kanady, RFN i Wielkiej Brytanii. Połowa produkcji idzie na dolarowy eksport; dawniej ledwie nas tolerowano na obcych rynkach, kupowano opony najwyżej jako „ferin made” lub pod obcą firmą, dziś debickie wyroby idą w świat ze znakami firmowymi „Stomilu” i napisem „made in Poland”.

A przecież urządzenia, którymi dysponuje wydział wytwarzający ogumienie rowerowe, są jeszcze bardziej przestarzałe i pamiętające „dobre dawne czasy”, niż to, czym dysponujemy do produkcji „rekordów”. Owe „dobre czasy”, to okres sprzed lat, kiedy robiliśmy na tych samych prawie maszynach tyle samo opon, tylko bardzo złych. Jak twierdzi inż. MATELEWSKI, który również brał udział w „rewolucji” dokonanej na tym wydziale, przyczyną była zła organizacja pracy, kiepska technologia, a nade wszystko pozbawienie braku braku. Jak mówi:

— W końcu postawiliśmy sprawę ostro, co oczywiście nie było od razu dobrze przyjęte. Zmieniliśmy technologię, zaczęliśmy wymagać, skończyliśmy z liberalizmem. Aż do zwolnień. Dział to są najlepsi pracownicy, bardzo staranni, przestrzegają reżimu technologicznego, słuchają poleceń.

Na tych samych maszynach powstają zupełnie inne opony: kolorowe, trwałe, najwyższy poziom światowy, choć daleko tu do automatyzacji. Czy tylko w takich małych wydziałach, gdzie się wszyscy dobrze znają, możliwe są podobne przemiany? Czasem w kropli wody można zobaczyć morze. Na cząstkowe i niby to lokalne problemy produkcji „rekordów” czy rowerowych opon, wystarczy spojrzeć z nieco innej perspektywy, aby dostrzec bardziej ogólne dylematy.

Można by, na przykład, zwiększyć bez poważniejszych inwestycji produkcję dętek i opon rowerowych na eksport o dalsze 3 mln kompletów, gdyby przyjąć więcej ludzi. Ale każdy robotnik zatrudniony przy oponach rowerowych wytwarza rocznie produkcję wartości ok. 400 tys. złotych, zaś przy oponach samochodowych około 1 mln; spadnie więc wydajność pracy liczona w skali całej fabryki, choć państwo niewielkim nakładem zyskałoby ponad 3 mln dolarów.

W sklepach również zdarzają się braki ogumienia rowerowego, zwłaszcza dętek. Dyrektor Stróżyk uważa, iż przyczyną jest zbyt niska cena dętki rowerowej, której nie opłaca się użytkownikowi naprawiać, więc kupuje nową. Rzeczywiście, przy kilkunastozłotowej cenie mało kto sięgnie po klej i łatkę. Ale czy

rzeczywiście remedium na braki w sklepach ma być proponowana przez fabrykę podwyżka ceny przy przewidywanym już niedługo wprowadzeniu do produkcji nowej dętki butylowej, lepszej, nie przepuszczającej powietrza? Czy powinna być ona trzy razy droższa? Jak twierdzi dyrektor, jeśli będzie tańsza od 40—50 zł, nadal będą niedobory zaopatrzenia, wskutek marnotrawstwa, jakim jest wyrzucanie raz tylko przebitych gum. Może ma rację...

A JEDNAK NIE MICHELIN...

WOR — Wydział Opon Radialnych, chluba i duma debickiego „Stomilu”, legitymacja nowoczesności, dowód prężności w realizacji trudnych zadań inwestycyjnych. Na nowym terenie, obok dawnego zakładu, powstała wielka ciepłownia, hala WOR, hala CWD. Ta ostatnia, Centralna Wytwórnia Dętek zbliża się dopiero do momentu rozruchu urządzeń. W WOR rozruch supernowoczesnych, automatyzowanych linii produkcyjnych trwa już od 1976 roku, choć niektóre urządzenia ruszyły dopiero wiosną bieżącego roku. Stąd pełna zdolność produkcyjna — 2,8 mln sztuk opon na licencji amerykańskiej firmy „Uniroyal” — osiągnięta zostanie dopiero w przyszłym roku i na tyle właśnie sztuk będzie opiewał przyszłoroczny plan produkcyjny. To, co już tu zbudowano lub rozpoczęto, kosztowało około 7,5 miliarda zł. Nowoczesna produkcja ma wyprzedzić nienowoczesne, tymczasowe „rekordy”.

Nadal są jednak wąskie gardła w cieniu automatów (stara walownia). Z zaspokojeniem potrzeb też będzie różnie, bo choć w najbliższych latach opony raczej będą (choć te drogie), to już po 1980 roku znów opustoszeją sklepowe półki. Z zaplanowanych 2,8 mln opon licencyjnych, równe 2 mln, to „uniroyale” do „małego fiata”; tu nie jest najgorzej, bo — milion pochłonie FSM przy przewidywanej produkcji 200 tys. „maluchów” rocznie. Dla wszystkich innych typów „fiatów” od 127 do 132 oraz dla licencji sprowadzanych do Polski samochodów mogących nosić to samo ogumienie, dla „syren” ubieranych ostatnio w opony radialne, pozostaje 800 tys. opon licencyjnych i 1 mln „rekordów”. Zważywszy apetyty turystów zagranicznych, trudno spodziewać się większej poprawy, zwłaszcza wobec przyszłego rozwoju motoryzacji.

Kierownictwo „Stomilu” optuje za przystąpieniem po 1980 roku do budowy „WOR II” — nowej wytwórni opon licencyjnych. Ja miałbym inną nieco propozycję: nie tylko utrzymać, ale i rozwinąć produkcję „rekordów” opartych na krajowych surowcach i — co najważniejsze — tańszych. Zakup maszyn dla podwojenia ich produkcji i znalezienie hali dla ich pomieszczenia (niekonieczne w Dębicy, można by pomyśleć o filii) nie przekraczają chyba naszych możliwości, a byłoby nieskończenie tańsze od tak wielkiej inwestycji, jak „WOR II”. Kontrargumentem jest mniejsza nowoczesność tych opon, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych. Czy jednak nowoczesność zawsze musi być decydującym argumentem, zwłaszcza wobec zdecydowanej opcji nabywców, którzy swoimi portfelami głoszą za tak poszukiwanym dziś i prawie niedostępnym „rekordem”? Zaspokaja on ich potrzeby i oczekiwania, zwłaszcza przy prędkościach, jakie mogą rozwijać nie gwałcąc przepisów ruchu. Skoro już zostaliśmy uszczęśliwieni oponą do popularnego i taniego „malucha” za jedne 1300 zł sztuka, nie uszczęśliwimy podobnie i przymusowo posiadaczy innych samochodów, tym bardziej że decyduje co do przyszłości nie są jeszcze podjęte.

Tymczasem rozruch WOR zbliża się zwolna ku końcowi. W wydziale produkcji „rekordów”, tam, gdzie dotąd skupieni byli najlepsi i najbardziej doświadczeni pracownicy debickiego „Stomilu”, MICZEY-SŁAW KOZIOL (w fabryce od 1964 roku, staż w Francji i Czechosłowacji) szkoli młode dziewczyny mające niedługo zasilić wciąż rosnącą załogę WOR.

— Starych lepiej tam nie brać — mówi M. Kozioł — mają za dużo swoich nawyków. Dziewczyny mają lepsze podejście, co się im powie, to słuchają.

I to też jest jeden z poważniejszych problemów w Dębicy. Można się oczywiście chwalić, że załogę supernowoczesnego WOR stanowią sami młodzi, że większość tych młodych, to właśnie dziewczyny. Ale jak! powinien być robotnik realizujący nowoczesną technologię; człowiek, któremu powierzono odpowiedzialność za zdrowie i życie pasażerów samochodu pędzącego na wyprodukowanych tu oponach? Wśród kadry kierowniczej zakładu panują w tej kwestii dwie sprzeczne opinie:

1. tak „ustawie” technologię i wyregulować maszyny, aby mógł stanąć przy nich byle kto, bez większego przygotowania i specjalnych chęci do „słuchania się” — nie człowiek, lecz technika tworzy jakość;

2. dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli pracowników chętnych, doświadczonych, uważnych, a nade wszystko starannie przestrzegających reżimu technologicznego i do kładnie wykonujących polecenia dozoru, możemy przewyższyć techniczną poprawność, jaką reprezentuje na przykład „Uniroyal” i zbliżyć się do prawdziwie wysokiej jakości osiągniętej przez niedościgły wzór, którym jest francuski „Michelin” — jakość to ludzie.

Jak na razie, pod presją potrzeb, fluktuacji kadr i znikomego braku doświadczenia, dominuje stanowisko pierwsze. Ale jest w zakładzie wielu ambitnych ludzi, nie tylko na kierowniczych stanowiskach, którym marzy się „polski Michelin”. Jeśli jednak za bardzo i za długo przyzwyczają się będziemy do tego pierwszego, może wygodniejszego stanowiska, to czy w przyszłości w wielkim WOR możliwa będzie taka „rewolucja”, jak w małym wydziale opon rowerowych? Może... Jak tam właśnie usłyszałem, „kobietom bardziej zależy”, a przecież WOR, też jest po części „damskim wydziałem”.

Wciąż znowu jednak: dlaczego nie Michelin?

Gdyby forsować podobną jakość wykonania jaką reprezentują opony „Michelina” musielibyśmy odrzucać połowę dostaw kauczuku, sadzy i twardości podobnych materiałów — mówi inż. Matelewski. — Musielibyśmy bardzo ostro i twardo pilnować reżimu technologicznego” egzekwować to od każdego pracownika.

Opona „Uniroyal” lub licencyjna opona „Stomilu” jest mniej więcej 40 dekagramów cięższa od analogicznej opony „Michelina”. Ta różnica wynika z większą dokładnością pracowników, mniejszych nadatków, cięższego gumowania kordów i stoppek. „Michelin” może sobie na to pozwolić, ale ten sam „Uniroyal” w swojej fabryce we Francji — już nie. To jest właśnie wynik długoletniej, nawiastującej się tradycji, doświadczenia, kwalifikacji, ale też opieki nad pracownikiem, z czego „Michelin” słynie. My jesteśmy dopiero na początku drogi, dobrze, że ambicje wielu ludzi sięgają aż tak wysoko.

JERZY SURDYKOWSKI

*) Znany kierowcom zarzut dotyczy lat minionych, kiedy zakłady „Stomilu” w Olsztynie zajmowały się produkcją opon do samochodów osobowych, dziś wytwarzają tylko cięższe się dobrą opinią opony do ciężarówek i innych ciężkich pojazdów.



Dębicki „Stomil” — stanowiący konglomerat nowoczesności z archaiczną starzyzną — produkuje opony wysokiej klasy. Fot. CAF

JUBILEUSZ TWÓRCZYCH LAT

W Sali Lustrzanej Pałacu Staszica w Warszawie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Nauk Demograficznych poświęcone jubileuszowi 80-lecia urodzin nestora polskiej demografii prof. EDWARDA ROSSETA członka rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk, laureata nagrody państwowej I stopnia w 1976 roku za dzieło: „Demografia Polska”. Na posiedzeniu tym prof. Edward Rosset odznaczony został Sztandarem Pracy I klasy.

„Swa długoletnią pracą naukowo-badawczą i nauczycielską — pisze w liście do Jubilata I sekretarz KC PZPR EDWARD GIEREK — wniósł Pan wielki wkład w rozwój demografii i statystyki polskiej, przyczynił się do jej wysokiej pozycji w nauce światowej. Pańskie badania w dziedzinie demografii, tak istotne dla przyszłości narodu, stały się podstawą wielu opracowań programowych, związanych z planowaniem rozwoju kraju. Pana monumentalne dzieło „Demografia Polska”, stanowiące niezastąpione źródło wiedzy, weszło na trwałe do złotej księżnicy polskiej literatury naukowej.

Pragnę Panu — pisze Edward Gierek — złożyć wyrazy uznania i głębokiej wdzięczności za trud, jaki włożył Pan w stworzenie polskiej szkoły demograficznej, za owocną działalność na niwie organizatorskiej szkolnictwa wyższego i Polskiej Akademii Nauk.”

Na posiedzeniu odczytany został również list gratulacyjny przewodniczącego Rady Państwa, HENRYKA JABŁONSKIEGO oraz list podpisany przez 24 uczonych radzieckich.

Słowa uznania w imieniu Polskiej Akademii Nauk złożył jej wiceprzewodniczący prof. WITOLD NOWACKI, a w imieniu Rządu Korrespondent Ludności i Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego prof. JÓZEF PAJESTKA.

Zasługą dla Łodzi, z którym to miastem złączył prof. Edward Rosset całe swoje życie, którego sprawom poświęcił sporą część działalności organizatorskiej i publikacyjnej w okresie międzywojennym i przez wszystkie lata powojenne — przedstawił wiceprezydent Łodzi, ZBIGNIEW POLIT. O roli, jaką odegrał prof. Edward Rosset przy organizacji pierwszej uczelni w tym robotniczym mieście i o pracy pedagogicznej na Uniwersytecie Łódzkim — mówił rektor tej uczelni, prof. ROMUALD SKOWRONSKI. Dotychczasowa działalność naukowa jubilatę scharakteryzował prof. KAZIMIERZ ROMANIUK. W imieniu wychowanków wystąpił prof. ANTONI RAJKIEWICZ. A całej uroczystości przewodniczył prof. WINCENTY KAWALEC.

To posiedzenie wypełnione, z racji swego charakteru, okolicznościowymi wystąpieniami nie miało jednak ani przez moment oficjalnego nastroju. Wyczuwało się jakąś szczególną więź, łączącą wszystkich zebranych w Lustrzanej Sali. A byli w niej demografowie starszego, średniego i młodszego pokolenia, ekonomiści, statystycy, byli przedstawiciele środowisk naukowych Łodzi, Poznania i Warszawy, byli pracownicy Komisji Planowania i Głównego Urzędu Statystycznego, byli przedstawiciele Wydawnictw. W tym różnorodnym licznym gronie nie było nikogo, kto by nie korzystał z ogromnej wiedzy i erudycji Człowieka, obchodzącego swoje 80-te urodziny, kto by nie znajdował w jego pracach i osobistych z nim kontaktach inspiracji dla własnych poszukiwań naukowych i działalności praktycznej.

Trudno wprost uzmysłowić sobie, że to wszystko o czym mówiono może być dokonaniem jednego życia. Na stoliku w Sali Lustrzanej wyłożono prace przedwojenne i powojenne, zebrane przez organizatorów spotkania, a stanowiące zaledwie nieznaczny procent wydanych książek. Ponad 20 prac monograficznych ukazało się w latach międzywojennych, a około 300 w ostatnim 40-leciu. W tym dzieło tej miary co „Demografia Polska”, do którego — jak pisał w zamieszczonym na naszych łamach esej, niezjący już dziś prof. STANISŁAW BOROWSKI z Pozna-

nia — będzie musiał odwołać się każdy syntetyk późniejszych etapów rozwoju ludności w naszym kraju”.

Imponujący dorobek dotychczasowych lat pracy, dorobek bynajmniej nie zamknięty. W Ossolineum wychodzi nowa praca pt. „Trwanie życia ludzkiego”, będąca kontynuacją dociekań zapoczątkowanych w 1959 roku monografią pt. „Proces starzenia się ludności”, stanowiącą załączek nowej subdyscypliny w naszym kraju. W tymże wydawnictwie w języku francuskim drukowany jest zbiór wykładów, na temat demografii starości wygłoszonych przez prof. Edwarda Rosseta na uniwersytetach w Rzymie i we Florencji.

W Wydawnictwie Książka i Wiedza ukazuje się niedługo 600-stronicowa praca zatytułowana „Eksplodująca demografia”. W PWN również złożony został rękopis.

A w wypełnionym książkami gabinecie Profesora stopy dalszych konspektów, wymagających jeszcze wielogodzinnej pracy każdego dnia.

Pani Zofia Rosset, nieustrudzona towarzyska życia i pracy, z niepokojem obserwuje to nieustanne napięcie uwagi, to liczenie każdej chwili, nawet tej poświęconej wnukom i rodzinie.

Ale nie może być inaczej, kiedy treścią życia jest właśnie praca. Nie może być inaczej mimo 80 lat, a może właśnie dlatego. Ten okres nazywał prof. Rosset w zamieszczonym przed rokiem w „Życiu Gospodarczym” wywiadzie czasem najlepszym, bo pozwalającym korzystać z nagromadzonych wiadomości i przemyśleń.

— Dla człowieka nauki — uzasadniał te refleksje na spotkaniu w Pałacu Staszica — długie życie to nie tylko przywilej biologiczny. Daje ono coś więcej. Pozwala być koronnym świadkiem dwóch epok: okresu międzywojennego i czasu Polski Ludowej. Pozwala dokonywać porównań nie tylko na podstawie książek, lecz z autopsji.

Nawet w jubileuszowym wystąpieniu (którego fragment zamieszczamy obok) poza chwilą retrospekcji prof. Rosset rozważa aktualne problemy polskiej demografii. Z pasją i zaangażowaniem apeluje o powołanie Instytutu Demograficznego.

— W nowoczesnym państwie — mówi — które musi rozwijać wielkie i ze swej natury trudne problemy demograficzne, instytut demograficzny jest więcej niż potrzebny, jest nieodzowny. Przeciwnicy koncepcji utworzenia instytutu demograficznego wskazują, że przecież nie ma kadry dla takiej placówki. Jest to prawda, ale prawdą jest również, że kadry takiej nigdy nie będzie, jeśli nie powstanie załączek instytutu, który by się zajął szkoleniem kadry dla własnych potrzeb.

Oceniając rozwój polskiej demografii jej Nestor podkreśla, że jest ona produktem zainteresowania, zapалу i ofiarnej pracy wielu ludzi, którym wypadło realizować zadania z tego zakresu. Każdy z nich został w tym wystąpieniu zauważony i wspomnian. Każde dokonanie wymienione z imienia i nazwiska, ocenione.

— We wdzięcznej pamięci — kończy swe wystąpienie prof. Edward Rosset — zachowujemy tych, którzy wnieśli znaczny wkład w rozwój polskiej demografii, a których nie ma już wśród nas... Nieprzejętni to byli ludzie i nieprzejętna jest spuścizna, którą po sobie zostawili. Chciałbym zaapelować do naszych wydawnictw, by w swych planach wydawniczych wygoszczali miejsce na wydanie zbiorowych dzieł czołowych polskich demografów minionego dobru.

I od razu sugestia.

— Za najplenniejszą uważałbym redycję utworów Stefana Szulca i Stanisława Borowskiego. Prace tych autorów nie powinny iść w zapomnienie.

Stało się więc uroczyste posiedzenie — dzięki postawie Jubilata — refleksją nie tylko nad pełnym osiągnięciem życiowym wybitnego Uczzonego, lecz nad dokonaniem wszystkich, którzy z polską demografią związali swą pracę.

A.K.

1) Stanisław Borowski: „O związkach między rozwojem ekonomicznym i demograficznym” — „Życie Gospodarcze” 32/1976
2) „Pochwała wieku dojrzałego” — „Ż. G.” nr 35/1976



Profesor zawsze podkreśla, że może podobać ogromowi pracy dzięki atmosferze rodzinnej, domowi, żonie, która zawsze towarzyszy jego pracy i orientuje się doskonale w przedmiocie jego zainteresowań. Na zdjęciu: profesor Rosset z żoną, synem i synową. Fot. S. ZUBCZEWSKI

CÓŻ JEST CENNIJSZE OD ŻYCIA

EDWARD ROSSET

CHCE spojrzeć na lata, które minęły, i przywołać na pamięć te fakty i wydarzenia demograficzne, którymi kraj nasz żył po wielkim kataklizmie, jakim dla nas wszystkich była druga wojna światowa. Demografowie polscy byli i są zawsze uczuleni na problemy, którymi kraj żyje, a wobec tego retrospekcja, której chcę dokonać będzie zarazem przeglądem, oczywiście nie wyczerpującym, dorobku polskiej demografii okresu powojennego.

Pierwszym powojennym zadaniem polskich demografów było określić, ile nas jest. Nie od razu mogła na to pytanie odpowiedzieć urzędowa statystyka, która wraz z całym krajem dźwigała się dopiero ze zniszczeń wojennych. Trzeba jednak z uznaniem podnieść, że reaktywowanie po wojnie Główny Urząd Statystyczny jako swe pierwsze zadanie uznał przeprowadzenie powszechnego spisu ludności. Z własnych doświadczeń przypominę, że już w marcu 1945 r. przeprowadziliśmy na terenie Łodzi spis ludności i że wykazał on, łącznie z wielką masą żywołu napływającego, 422 tys. mieszkańców, podczas gdy na tym samym terytorium mieszkało przed wojną 800 tys. osób. Niedobra to była wróżba dla oczekiwanych rachunków ogólnokrajowych.

Ale natura nie znośi próżni. W braku oficjalnych danych o aktualnym stanie ludności określeniem jej liczebności zajęli się na własną rękę różni badacze. Jako pierwsze wymienić należy szacunki wykonane już w 1945 r. w Wydziale Pomorznym reaktywowanego Instytutu Bałtyckiego. Wynikało z nich, że jest nas plus minus 22 miliony.

Prasa codzienna przyjęła tę liczbę nieufnie: wyobrażano sobie, że nie doliczyliśmy się tak dużej liczby ludności. A tymczasem w Głównym Urzędzie Statystycznym, którym w charakterze prezesa kierował nasz niezapomniany Mistrz Stefan Szulc przy współpracy Kazimierza Romanika jako wiceprezesa, czyniono ostatnie przygotowania do przeprowadzenia powszechnego spisu ludności. Pracami tymi — o ile się nie myli — kierował Zygmunt Padowicz, późniejszy prezes GUS-u.

Spis ludności, który został przeprowadzony w połowie lutego 1946 r., był jednym z pierwszych powojennych spisów ludności w Europie (wyprzedziła nas pod tym względem tylko mała Albania). Spis wykazał 24 mln ludności, w tej liczbie 2 mln jeszcze nie repatriowanych Niemców. Liczba ludności polskiej wynosiła 22 mln, czyli akurat tyle, ile zakładał szacunek Instytutu Bałtyckiego.

Jednocześnie w Biurze Odszkodowań Wojennych, powołanym do życia po zakończeniu drugiej wojny światowej, podjęto prace nad ustaleniem strat w ludziach, jakie poniósł nasz kraj w związku z wojną. Okazało się, że utraciło życie 8 mln obywateli polskich, z tego 1 milion w wyniku działań wojennych, a 5 mln w obozach koncentracyjnych, więzieniach, kazamatkach gestapo itd. Pod względem procentowej wysokości strat wojennych Polska znalazła się na pierwszym miejscu wśród krajów, które uczestniczyły w drugiej wojnie światowej. Żywy udział w pracach nad obliczeniem strat wojennych Polski brał nasz kolega, dr Henryk Kopec.

Badaniem strat wojennych Polski zajmowało się na własną rękę wiele autorów. Ich wykaz wraz z wynikami obliczeń można znaleźć w książce Kazimierza Dziewońskiego i Leszka Kosinińskiego pt.: „Rozwój i rozmieszczenie ludności Polski w XX wieku” wydanej w 1967 r. Badaniem przebiegu urodzeń i zgonów pod okupacją niemiecką zajmowali się między innymi Stefan Szulc, Jan Czekanowski i Henryk Kopec. Dr Kopec wykazał, że na terenie tzw. Generalnej Guberni poczynawszy od roku 1941 przyrost naturalny był wśród ludności polskiej ujemny, zgony w coraz większym stopniu górowały nad urodzeniami. Ani te, ani późniejsze przyczynki z tego zakresu nie dają pełnego obrazu martyrologii ludności Polski w ponurym okresie drugiej wojny światowej. Będą potrzebne głębsze badania z tej dziedziny, a mogłyby już dziś być podjęte w formie prac doktorskich lub habilitacyjnych.

WIELKIM problemem demograficznym wczesnej doby powojennej było zasiedlenie tzw. Ziemi Odzyskanych, tj. odwiecnie polskich ziem zachodnich i północnych, które, wyrokami sprawiedliwości dziejowej, w wyniku drugiej wojny światowej powróciły do Macierzy. Objęte przez Polskę tereny były zdewastowane i wyludnione. Mało jest w historii przykładów tak trudnego, a zarazem tak skutecznego realizowanego zadania, jak dokonane w krótkim czasie i w atmosferze pełnego entuzjazmu zasiedlenie Ziemi Odzyskanych. Możemy być z tego dumni.

Literaturę demograficzną poświęconą Ziemiom Zachodnim i Północnym zapoczątkował w czasie okupacji Edward Nieżyński pracą pt. „Zróżnicowanie zawodowe ludności w polskiej”. Przyczynę do demografii wsi polskiej”. Dziś nie jest już tajemnicą, że to ja byłem ukryty za tym pseudonimem. Zachowane egzemplarze tej, w konspiracji wykonanej, pracy znajdują się w zbiorach Zakładu Historii Partii przy Komitecie Centralnym PZPR.

Problemami demografii Ziemi Odzyskanych zajmowali się m. in. Rajmund Buławski, Kazimierz Dobrowolski, Władysław Markiewicz, Andrzej Grodek, Wincenty Styś, Kazimierz Secomski, Leszek Kosiniński, Józef Kokot i wielu, wielu innych. Prace tych i wielu innych, nie wymienionych tu autorów, w niemałym stopniu przyczyniły się do pomysłnego rozwiązania skomplikowanych problemów zasiedlenia i repolonizacji Ziemi Odzyskanych. Jest to — rzecz można — wkład polskiej demografii o znaczeniu historycznym.

PROBLEM, którym żywo interesowano się we wczesnej dobie powojennej, był renesans żywotności biologicznej narodu polskiego po krwawej laźni, jaką społeczeństwu polskiemu zgromadził hitlerowski oprawcy w czasie przeszło 5 lat trwającej okupacji.

Stosunek opinii publicznej do zagadnienia dynamiki ludnościowej przechodził u nas różne fazy. Z wielką radością notowaliśmy po skończonej wojnie wysokie, nawet bardzo wysokie liczby urodzeń, widząc w tym dowód niewygasłej siły biologicznej narodu, siły, która zdolna będzie wyrównać straty zadane nawa-

dowi przez wojnę i zbrodniczą okupację hitlerowską.

Potem przyszła refleksja: czy jest potrzebna i czy jest dla kraju korzystna datująca się od kilku lat galopująca demografia. Opinia publiczna przestała się entuzjastycznie utrzymywać się wysokiego przyrostu naturalnego, a wątpliwościom co do płynących z niego korzyści przyszedł w sukurs demografowie, zwołując konferencję na temat konsekwencji tzw. wyżu demograficznego. Idealnie stała się umiarkowana rozróżność i umiarkowany przyrost naturalny.

Gdy jednak okazało się, że tendencje antynatalistyczne prowadzą na dłuższą metę do depopulacji, w opinii publicznej zaznaczył się zwrot. Dziś opinia publiczna jest na tym punkcie podzielona: gdy jedni ostrzegają przed ujemnymi konsekwencjami nadmiernej dynamiki ludnościowej, inni widzą w jej osłabieniu drogę wiodącą do katastrofy. Osobiście sądzę, że prawda leży pośrodku. W każdym razie jestem przeciwny lekceważeniu głosów ostrzegawczych. Jak to przy innej okazji powiedziałem, nie upadłaby Troja, gdyby usłuchano Kasandry.

B OLESNYM dla nas faktem była bardzo wysoka w pierwszych powojennych latach umieralność niemowląt. Przypomnijmy, że była lata, kiedy stopa tej umieralności przekraczała 100 promille. Podobnie rzecz miała się w innych krajach, przez które przetoczył się miazmatyca walc wojny z jego rujnującymi skutkami dla zdrowia ludności i które jeszcze po zakończeniu działań wojennych odczuwały skutki przebytego kataklizmu. „Dłci nam umiera!” — wołał w 1947 r. czechosłowacki demograf Vladimir Srb. Z oskarżeniami pod adresem rządu francuskiego występował z podobnym powodu Jean Fourastie.

U nas zagadnieniem umieralności niemowląt zajmowało się wielu badaczy z grona demografów i lekarzy, a tym, który zapoczątkował ten dział powojennej literatury demograficznej, był Stefan Szulc. Sam fakt, że artykułem profesora Szulca pt. „Umieralność niemowląt” został otwarty numer 1 „Przeglądu Statystycznego” z 1956 r., świadczy może za dowód, jak bardzo leżała nam wówczas na sercu sprawa wysokiej śmiertelności dzieci.

W zeszycie drugim „Studiów Demograficznych” z 1963 r. zamieszczony był artykuł Marcina Kacprzaka i Stanisława Adamowiczowej wskazujący drogi zapobiegania zgonom niemowląt. Umieralność niemowląt obniżyła się w Polsce ze 100 promille w roku 1951 do 24,0 w roku 1976. W tym wielkim osiągnięciu, które oczywiście zapisać należy w głównej mierze na konto resortu zdrowia, niesporny udział mają demografowie: badaniami swymi wskazywali oni na etiologię i lokalizację wysokiego nasilenia umieralności niemowląt.

K ILKA lat temu — było to na początku 1973 roku — gdy po podliczeniu danych za miniony 1972 rok okazało się, że stopa umieralności po raz pierwszy opadła w Polsce poniżej 30 promille, zadzwonił do mnie do Łodzi dyrektor Klimczyk z GUS-u, by się podzielił tą radosną wiadomością. Powiedziałem

wtędy, że niedługo wypadnie czekać, kiedy zejdziemy poniżej 25 promille, a potem poniżej 20 promille. Pierwsze z tych przewidywań już się spełniło: w 1976 r. stopa umieralności niemowląt wynosiła w Polsce 24 promille.

Tu jednak trzeba dodać, iż satysfakcja nasza nie jest jeszcze pełna i tak długo nie będzie pełna, póki nie zejdziemy do poziomu umieralności niemowląt, notowanego w innych krajach socjalistycznych. Nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że w roku 1975 (ostatni rok, dla którego dysponujemy porównywalnymi danymi) ta sama stopa wynosiła w Bułgarii 23,1 promille, w Czechosłowacji — 20,9, a w NRD — tylko 15,7. Wynika stąd, że wciąż jeszcze mamy pewną liczbę zgonów niemowlęcych, których przy dzisiejszych możliwościach medycyny można by uniknąć. Demografowie polscy przy każdej okazji zwracają na to uwagę.

P O skończonej wojnie nasza statystyka państwowa nie od razu mogła sobie pozwolić na sporządzenie tak ważnej pozycji bilansu otwarcia, jaką z natury rzeczy stanowi tablica wymieralności. W tej sytuacji zadanie to wziął na siebie doświadczony demograf polski dr Egon Vieltrose. Wykonał on i poddał wnikliwej analizie tablicę wymieralności według danych o zgonach z roku 1948. Dzieło Vieltrosego stanowi cenny wkład do powojennego dorobku polskiej demografii.

Pierwszą oficjalną polską tablicę wymieralności sporządził w Głównym Urzędzie Statystycznym w oparciu o dane dotyczące zgonów w latach 1952—1953. Tablica ta została wykonana pod kierunkiem dra Ryszarda Zasepy. Tablice wymieralności, obliczane w odstępach pięciu lat (taka była u nas dawniej praktyka), nie spełniają należycie swego zadania. Toteż wskazywałem na potrzebę przejścia, wzorem innych krajów, a przede wszystkim Francji, na coroczne obliczanie takich tablic. Realizacja tego postulatów stała się możliwa dzięki wprowadzeniu nowoczesnej techniki obliczeniowej. Od roku 1970 są u nas obliczane coroczne tablice wymieralności.

Tablice wymieralności unaoczyliły fakt o największej doniosłości: jest nim ogromne przedłużenie życia ludzkiego. Jakie nastąpiło w Polsce w dobie powojennej. Gdy w latach 1931/32 przeciętne trwanie życia mężczyzn wynosiło w Polsce 48,2 lat, to odpowiedni parametr z lat 1973/75 wynosi 67,3 lat. Trwanie życia mężczyzn przedłużono się więc w ciągu tych czterdziestu paru lat o 19,1 lat. Jeszcze korzystniej przedstawiają się dane dotyczące kobiet: z 51,4 lat przeciętne trwanie życia kobiet wzrosło do 74,4 lat, czyli o 23 lata.

O takim przedłużeniu życia powiedział Adam Krzyżanowski: „To nie ewolucja, to rewolucja”. I dodał: „Większej ludzkości nie przeżyła”.

Wielkie są osiągnięcia Polski Ludowej w różnych dziedzinach życia, ale to jest chyba największe; czyż bowiem może być cenniejsze od życia.

MOJE PORACHUNKI Z „GALWĄ”

ALEKSANDER JĘDRZEJCZAK

W kosztach Tarnowskich Zakładów Wyrobów Galanteryjnych GALWA największą pozycją są materiały. Rzecz jasna, raz poruszywszy ten temat trzeba też wysłuchać, że rosną wszelkie stawki, podatki i narzuty, że transport raz po raz stwarza sytuację, przy których włos się jeży, wręty o kosztach handlowych też nie obchodzą się bez rozkładania rąk i jednoznacznych przejawów irytacji. Najważniejsze są jednak koszty materiałów: skór, skajów, podszepek, tektury, okuć, klejów i nici. Z materiałów tych GALWA sporządza walizy, nesesery i najprzeróżniejsze torby, towary rynkowe podlegające bezpośredniej i często też bezlitosnej ocenie konsumentów.

JADĄC do takiej fabryki reporter — też przecież konsument z pewną rezerwą spisuje sprawozdania i buchalteryjne pozycje, które należy prześledzić. Wie, że ominąć tego nie może, ale łatwiej niż w hucie czy stoczni przychodzi mu do głowy takie oto myśli:

Koszty. Oczywiście, nie chciałbym, aby ktokolwiek mógł przypuścić, że lekceważyć lub nie doceniać ogromu rezerw, które wciąż jeszcze w kosztach się kryją. Ale nawet nadtytuł niniejszego cyklu nie powstrzyma mnie od przypomnienia pewnej sprawy elementarnej. Ekonomiki nie można sprowadzać wyłącznie do obniżania kosztów. Pogląd taki bardzo jest rozpowszechniony, ale przez to wcale nie mniej błędny. Koszty można obniżyć tylko tak daleko, jak na to pozwalają zakładane dla danej grupy produktów normy jakościowe. Jesteśmy wciąż jeszcze za biedni, aby produkować tandetę. Co z tego, że jakiś wyrób wytwarzamy tanio, jeśli przez to zmniejsza się jego wartość użytkowa, szybko psuje się, albo robi się szpetny. Każdy produkt może zaspokajać tylko określone potrzeby, ale w tym zakresie musi bezwzględnie odpowiadać przyzwoitym standardom jakościowym. W społecznym rachunku tandeta wychodzi drogo.

Takie myśli przychodzą do głowy przed bramą fabryki produkującej towary rynkowe, nawet jeśli nie ma się z nią osobistych porachunków. A ja z GALWĄ, owszem, mam. W połowie sierpnia nabyłem za osiemset złotych wytworzoną tu wa-

lizę. Dostępną, umiarkowaną modną, bez świecidełek i ozdóbek, które by nie spełniały również funkcji konstrukcyjnych, wykonana porządna podszełka, prezentowała się dobrze. W połowie listopada, włokę z sobą do Tarnowa, zachowało wprawdzie kształt i barwę, ale zamki i sprzączki zdążyły już poczerwieć, śniegi na nitach też nie wyglądały zbyt zachęcająco. Jeśli wytrępię, że obniżyli tu jakieś koszty, że dla groźbowej oszczędności narazili mnie na stratę pieniężną, a branzę galanteryjną i w ogóle przemysł lekki na nieprzychylny osąd publiczny — błada.

OKUCIA ZOSTAŁY W TYLE

Niestety, niczego tu nie trzeba tropić i żadne z moich podejrzeń się nie spełnia. Dyrektor JAN DUDEK wyraźnie jest z mojej wizyty zadowolony.

— Koszty a jakość, znakomicie. Dobrze będzie zacząć właśnie od okuć, natychmiast upadną wszystkie podejrzenia. Na okuciach nie robimy żadnych oszczędności. Przeciwnie. Nieraz sami polecamy je, natomiast, żeby nie poczerwieniały przed sprzedażą, niektóre partie oddajemy nawet do galwanizacji, za każdą z tych dodatkowych czynności płacimy, co kosztów nam nie obniża...

SYLWESTER GIBAŁA, sekretarz KZ PZPR:

— Tych dodatkowych robót nie można odnosić tylko do kosztów w pieniądzu. W złotychkach nie są to wielkie sumy, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto tysięcy rocznie, szkoda, ale dążyć się wytrzymać. Rzecz w tym, że w zakładzie, w placach na przykład, każdy groź się trzy razy ogląda, a tamte tysiące idą za robotę, którą ktoś raz już wykonał i wziął za nią pieniądze. Ludzie to widzą i kiedy potem potrzebę oszczędzania, obniżki kosztów się im tłumaczy, kiedy o jakości się mówi...

TADEUSZ CIECIERĘGA, zastępca dyrektora do spraw technicznych:

— Wszystko w tych okuciach niby zgodne z normą, ale powłoki marnie i nie na to poradzić nie można. Reklamować też nie ma sensu, bo w najlepszym razie wymienia nam że na niedobre. Staramy się zamki ukrywać pod paskami, różne wyuczniamy cuda, nieraz — jak to już mówiono — dopłacamy, żeby przynajmniej na eksport jakoś wyglądały — na marnie powłoki wiele się pomóc nie da.

Okucia galanteryjne to w gruncie rzeczy osobny, obszerny i by-

najmniej nieprosty temat. Jakoś nam ta dziedzina produkcji została daleko w tyle, denerwując obywateli-konsumentów, solidniejsze zakłady narażając na niepotrzebne, dodatkowe koszty, a chyba też nie pozostając bez wpływu na inne dziedziny gospodarki. Zagraniczni kontrahenci też chyba marne powłoki spoglądają. Szczegółowe roztrząsanie sprawy okuć zaprowadziłoby nas jednak zbyt daleko w bok. W interesującym nas tu kręgu zagadnień można co najwyżej wspomnieć, że kiepska jakość okuć galanteryjnych w tym roku naraziła „Galwę” na spore przykrości, po raz pierwszy w historii tego zakładu odbiorca zakwestionował całą dostarczoną mu partię waliz. Z drugiej strony, żeby nam całość nie wypadła zbyt czarno, że w tejże GALWIE, na niektórych wyrobach, można już sobie obejrzeć bardzo ładne, trwale lśniące okucia, wytwarzane na zagranicznej licencji w Lublińcu. Wyrobów tych jednak nie należy oglądać zbyt dokładnie, bo wtedy spostrzeże się, że trwale lśniące klamry występują w towarzystwie dużo gorszych nitów, oczek i ramek, co znów skieruje nasze myśli w stronę nie bardzo zrozumiałych dróg rozwoju tej gałęzi produkcji, niewielkiej, lecz spory mającej wpływ na jakość przedmiotów codziennego użytku. Na koszty solidniejszych fabryk galanteryjnych też.

WYMUSZANY WZROST KOSZTÓW

Przed bramą snulem rozważania o dopuszczalnej granicy obniżania kosztów, dwie godziny później znowu stanowią mi się przyszło nad wymuszonym przez kooperantów marnotrawstwem.

Najdobitniejszym tego przykładem będą podszełki. Rozwijamy przemysł galanteryjny, między innymi GALWA buduje nową halę, ale jak dotąd w zasadzie nie produkuje się galanteryjnych podszepek, Tarebki torby i walizy wykonają się wewnątrz podszepek takimi samymi, jakich używa się do odzieży. Grubszymi i gęstszymi, niż to jest konieczne i oczywiście, odpowiednio do tego droższymi. Od dość dawna już trwają starania o podjęcie produkcji w gatunku odpowiadającym potrzebom, ale tymczasem nie pewnego na ten temat nie słychać.

Łatwo natomiast spotkać przykład nasuwające podejrzenia, że starania te trwać będą jeszcze długo. Zamiast podszepek lżejszych i tańszych wymusza się fabryce nowe asortymenty, od starych różniące się głównie wyższą ceną. Różnice są wciąż duże. Tuż przed moją wizytą dostawca zawiadomił „Galwę”, że



Dyrektor JAN DUDEK: — Jeśli zamiast uwzględnionych w kalkulacji podszepek po 22 złote, musimy używać droższych — zakład ponosi straty...

zamiast dotychczas powszechnie stosowanej „mory” po 22 złote za metr, dostarczać będzie jakąś inną, bardzo podobną, ale już po 39 złotych. Siedemnastozłotowa różnica w cenie masowo używanego materiału musi zachwiać wskaźnikami kosztów, nie zrównoważą jej żadne sztuczki krojowych, ani zbieranie odpadów. W tym jednak przypadku, wyjątkowo, kolejni rozmówcy raczej nie są skłonni przejmować się „egzaminacyjnymi” wskaźnikami. Mają większe zmartwienia.

JAN DUDEK:

— Sprzedajemy swoje towary dwa razy w roku, na wiosennych i jesiennych targach. Wystawiamy tam towary mające już zatwierdzone ceny. Jeśli potem, bez żadnej zapowiedzi, zamiast uwzględnionych w kalkulacji podszepek po 22 złote musimy używać droższych po 39, jeśli zamiast importowanego skaju po złotych 76 musimy stosować krajowy po 113, to zakład ponosi straty nie dające się już niczym nadrobić.

TADEUSZ CIECIERĘGA:

— Dziennikarze to lubią w takich momentach przypominać, że są wewnętrzne rezerwy, a mobilizujące zadania przyspieszają ich wykorzystanie. Wiadomo jednak, że poza pewną granicą tak zwane mobilizujące zadania nie tyle mobilizują, co zniechęcają, wywołują nastroje bezradności. Rozmawiając naszych rezerw rysują planowe zadania w zakresie obniżki kosztów. Zadano nam na ten rok obniżkę półprocentową. Według tego, co zapisano w księgach, mieścimy się w tych granicach, ale jeśli wziąć pod uwagę wymuszone zmiany materiałów, to chyba te wyliczenia traktować trzeba ostrożnie.

NAJCISŁEJSZE ZALEŻNOŚCI

Z trzech podstawowych materiałów używanych w GALWIE — skaj, tkaniny powlekane, skóra — dwa pierwsze nie nastrożają fabryce poważniejszych problemów. Jakość ich w ostatnim czasie wyraźnie się poprawia, dostawy wpływają regularnie, zdarza się nawet, że nadchodzą z pewnym wyprzedzeniem, dobry, terminowo dostarczony surowiec można spokojnie przygotować do produkcji, na czas skompletować wszystkie materiały pomocnicze i wykończeniowe, starannie przygotowanie sprzyja tyleż dobrej jakości, co i utrzymywaniu kosztów na przyzwoitym poziomie.

Inaczej ze skórą.

GALWA przetwarza skóry świńskie z licem naturalnym, wytaczanym w tzw. wzór roślinny. Głównym ich dostawcą jest garbarnia w Rymanowie i żelalbym twierdzić, że w GALWIE słyszy się o niej same tylko pozytywne opinie. Co jednak też nie znaczy, że na rymanowskich garbarzach psy się tu wieszają. Część jakościowych kotopów zaczyna się jeszcze wcześniej, u hodowców, znaczna część niemożliwych do usunięcia skaz na skórach wynika z podłych warunków chowu i transportu świń. Garbarzy obciąża nierównomierna grubość i także barwienie skór. Z kosztami

jedno i drugie wiąże się jak najbardziej.

WŁADYSŁAW RÓŻYCKI, mistrz krajali:

— Na dobrą sprawę, zacząć by trzeba od tego, że teraz hoduje się mniejsze świnię, bardzo rzadko zdarza się skóra, z której można by wykończyć walizę, nawet taką mniejszą. Teraz powierzchnię walizy składa się z dwóch części: trzech części, co pozwala lepiej wykorzystywać surowiec, ale zwiększa pracochłonność. Nierównie wybarwienie i skazy popychają dalej w tę stronę. Skożym się ciąć znacznie cokolwiek, trzeba dobierać kolory, potem kombinować jak dobrać mniejsze kawałki, często też wyrównywać grubość, ścięcia, wszystko to kosztuje, z funduszem plac ciasno, a znowu wszelka niedokładność w tej fazie produkcji spycha towary do drugiego gatunku, co wychodzi jeszcze drożej.

Różnica cen wyrobu pierwszego i drugiego gatunku wynosi 20 procent. Obok wykorzystania surowca jakoś ma więc największy wpływ na wyniki zakładu, a że koszty niemy się ich udziałem w wartości produkcji według cen sprzedaży, zależność są tu bardzo ściśle.

Dążąc do maksymalnego wykorzystania surowca, fabryka w zasadzie specjalizująca się w tak zwanej galanterii podróżnej, ciężkiej, produkuje też towary zupełnie drobne: portmonetki, etui na kluczyki, ramki do wizerunków, damskie paski itp. Drobnostki pozwalają lepiej wykorzystywać surowiec, ale skóry obciążają fundusz plac. Robocizna przy przetwarzaniu skóry odpadowej wypada dwa razy drożej, niż normalnie. Ciasno odmierzony fundusz plac stwarza tu trudne do przełamania bariery.

Na ciągle polepszenie jakości oddziałuje się różnymi sposobami, ciekawszą inicjatywą w tym zakresie jest forma samokontroli polegająca na tym, by nie podawać na dalsze stanowiska w taśmie elementów, w których występują skazy czy jakieś fuzerki czy niedoróbki.

JANINA KUC, mistrz produkcji, jedna z najstarszych stażem pracownic zakładu:

— Można powiedzieć, że to się już przyjęło, rzecz jasna nie w pełnych stu procentach. Większość pracowników przestrzega tej zasady, ale są i bardziej tolerancyjne koleżanki, które brak przepuszczają. Przy dużym rozczłonkowaniu operacji i dużej prędkości na taśmie nie zawsze się daje stwierdzić, kto zwinął. Na stanowiskach szycia i klejenia po kilkanaście osób robi to samo, nie zawsze daje się stwierdzić kto, co.

W planach dyrekcji, opracowanych wspólnie z komitetem zakładowym, zawarte są dalsze pociągnięcia mające zapewnić ciągłe utrzymywanie wysokiej jakości. Będzie to możliwe po uruchomieniu nowej hali, której budowa, tymczasem, spóźniona jest o dwa lata.

orzecznictwo

ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPRZEDAWCY ZA WADY UŻYWANEGO SAMOCHODU

Sąd Najwyższy wypowiedział się w kwestii, która może budzić szerokie zainteresowanie. Mianowicie, czy sprzedawca używanego samochodu odpowiada za jego wady fizyczne? Art. 556 § 1 kodeksu cywilnego stanowi, że sprzedawca jest odpowiedzialny względem kupującego, jeżeli rzecz sprzedana ma wadę zmniejszającą jej wartość lub użyteczność bądź jeżeli nie ma właściwości, o których istnieniu sprzedawca zapewnił kupującego, albo wreszcie jeżeli rzecz została kupującemu wydana w stanie niepełnym.

W sporze, jaki toczył się przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie, Barbara K. wystąpiła przeciwko Tomaszowi B. i Czesławowi W. o odszkodowanie z powodu stwierdzenia ukrytych wad w sprzedanym jej używanym samochodzie.

W związku z wątpliwościami, jakie miał Sąd Wojewódzki zwłaszcza, czy przy kupnie używanego samochodu, po dużym przebiegu i kilkuletniej eksploatacji, może mieć jeszcze zastosowanie odpowiedzialność za wady fizyczne na podstawie art. 556 k.c., sprawa została przekazana z odpowiednimi pytaniami do Sądu Najwyższego.

Sąd Najwyższy po rozważeniu przedstawionych kwestii, w uchwale z dnia 21 marca 1977 r. nr III CZP 11/77 wypowiedział następujący pogląd prawny:

1. Określona w art. 556 § 1 k.c. odpowiedzialność sprzedawcy za wady fizyczne rzeczy sprzedanej odnosi się także do rzeczy używanych, nie obejmuje ona jednakże odpowiedzialności za takie zmniejszenie wartości lub użyteczności rzeczy, które jest normalnym następstwem jej prawidłowego używania.

2. W razie niemożliwości lub znacznych trudności wykazania przez kupującego stosunku, w jakim wartość rzeczy wolnej od wad pozostaje do jej wartości obliczonej z uwzględnieniem istniejących wad (art. 560 § 3 k.c.), kupujący nie może żądać obniżenia ceny. Jego uprawnienia ograniczają się w takim wypadku do odstąpienia od umowy (art. 560 § 1 k.c.).

W uzasadnieniu swego stanowiska Sąd Najwyższy zaznaczył m.in.:

„Kodeks cywilny nie ogranicza określonej w art. 556 odpowiedzialności sprzedawcy za wady rzeczy sprzedanej tylko do rzeczy nowych lub nie używanych. (...) Pogląd taki, który nie był nigdy kwestionowany ani w orzecznictwie Sądu Najwyższego, ani w piśmiennictwie prawniczym, odpowiada zasadniczemu celowi rekonstrukcji, jakim jest ochrona interesów kupującego. Bez względu na wzięcie sprzedawcy. Rozciągnięcie odpowiedzialności sprzedawcy (rekonstrukcji za wady) na wszystkie rodzaje rzeczy (nie używane i używane) nie obciąża sprzedawcy ponad miarę, ponieważ odpowiedzialność za wady może być przez strony wyłączona lub ograniczona w obrocie nie uspołecznionym bez zastrzeżeń, a w stosunkach między jednostkami gospodarki uspołecznionej oraz między tymi jednostkami a innymi osobami — jeżeli zezwalają na to przepisy szczególne (art. 558 k.c.).

Sam fakt, że przedmiotem sprzedaży jest rzecz używana, nie pozostaje wszakże bez wpływu na ocenę, czy kwestionowana przez kupującego wada może być uważana za wadę w rozumieniu art. 556 § 1 k.c. Przepis ten łączy bowiem odpowiedzialność z tytułu rekonstrukcji z taką wadą fizyczną, która zmniejsza wartość lub użyteczność rzeczy ze względu na cel w umowie oznaczony albo wynikający z okoliczności lub z przeznaczenia rzeczy, oraz gdy rzecz nie ma właściwości, o których istnieniu sprzedawca zapewnił kupującemu, lub rzecz została wydana kupującemu w stanie niepełnym.

Przy kupnie rzeczy używanych kupujący jest zazwyczaj przygotowany na to, że normalne zużycie rzeczy zawsze zmniejsza jej wartość, a przeważnie i użyteczność w stopniu zależnym od rodzaju rzeczy i celu, któremu ona służy. Dotyczy to zwłaszcza rzeczy, których używanie polega na eksploatacji mechanicznej, w takich wypadkach bowiem techniczne zużycie materiałów lub poszczególne zespoły powoduje wcześniejsze awarie, nie zawsze możliwe do przewidzenia, a będące normalnym następstwem prawidłowego używania. Takie wady objęte są świadomością kupującego, znajdują ekwiwalent w niższej (od rzeczy nie używanej) cenie kupna i mieszczą się w granicach podjętego przez kupującego ryzyka. Najbardziej bowiem prawidłowa eksploatacja rzeczy zawsze powodują zmniejszenie jej wartości lub użyteczności, zwiększając w realny sposób niebezpieczeństwo awarii będącej normalnym następstwem takiej eksploatacji.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy jedna z wad określonych w art. 556 § 1 k.c. nie jest normalnym następstwem zmniejszonej wartości używania wartości lub użyteczności (trwałości) rzeczy. Tego rodzaju wady objęte są rekonstrukcją sprzedawcy. Odpowiedź na pytanie, czy ujawniona wada jest normalnym następstwem prawidłowego używania rzeczy, wymaga z reguły wiadomości specjalnych, którymi dysponuje biegły (...).

Jeżeli rzecz sprzedana ma wady, kupujący może od umowy odstąpić

DOKONCZENIE NA STR. 6



„Okucia pozostały w tyle...”

Zdjęcia: J. RUBIŚ

albo żądać obniżenia ceny w takim stosunku, w jakim wartość rzeczy wolnej od wad pozostaje do jej wartości obliczonej z uwzględnieniem istniejących wad (art. 560 § 1 k.c.). Stosownie do przepisu art. 6 k.c. ciężar udowodnienia tego spoczywa na kupującym, który z faktu istnienia wady wywodzi dla siebie skutki prawne. W niektórych wypadkach z przyczyn natury faktycznej kupujący nie może udowodnić, w jakim stopniu wartość rzeczy wolnej od wad pozostaje do jej wartości obliczonej z uwzględnieniem istniejących wad. Zdarza się to wtedy, gdy rzeczy już nie ma, albo gdy udowodnienie tego jest nader utrudnione. (...)

Kupujący który nie może wykazać, w jakim stosunku wartość rzeczy wolnej od wad pozostaje do jej wartości obliczonej z uwzględnieniem istniejących wad, nie może żądać obniżenia ceny. Jego uprawnienia ograniczają się w takim wypadku do drugiego z przyzanych mu roszczeń, tzn. do odstąpienia od umowy (art. 560 § 1 k.c.) (...)

nowe przepisy i zarządzenia

KSIĘGI ZWIERZĄT ZARODKOWYCH

Minister Rolnictwa wydał nowe rozporządzenie z dnia 18 października 1977 r. w sprawie prowadzenia ksiąg zwierząt zarodkowych (Dz. U. Nr 31, poz. 138).

W myśl tego rozporządzenia, które wejdzie w życie dopiero 1 stycznia 1978 r., księgi zwierząt zarodkowych prowadzi się dla: koni, bydła, trzody chlewnej i owiec — odrębnie dla każdej płci.

Do celów eksperymentalnych mogą być także prowadzone księgi zwierząt innych gatunków, ras, odmian i typów, jak również księgi zwierząt pochodzących z krzyżowania.

Zwierzę może być wpisane do księgi, jeżeli:

1) jest zdrowe, prawidłowo zbudowane i wyśmienite,
2) odpowiada przepisom o rejestracji zwierząt gospodarskich oraz warunkom określonym w rozporządzeniu.

Do księgi mogą być również wpisane zwierzęta importowane, jeżeli obok wspomnianych warunków instytucja właściwa do spraw hodowli kraju eksportującego wyda świadectwo stwierdzające, że pochodzi ono od rodziców wpisanych do ksiąg zwierząt zarodkowych danego kraju. Zwierzęta wpisane do ksiąg podlegają oznakowaniu, z wyjątkiem koni, które opisuje się.

Księgi dzielą się na: 1) księgi wstępne, 2) księgi główne oraz na 3) rejestry.

Księgi prowadzą: Centralna Stacja Hodowli Zwierząt i stacje okręgowe.

Podstawą wpisu do ksiąg są dokumenty hodowlane dotyczące pochodzenia lub użytkowości, a przy wpisie do ksiąg wstępnych lub głównych — także oględziny zwierzęcia.

Wpisu do księgi dokonuje się z urzędu albo na wniosek.

Ocenę użytkowości zwierzęcia przeprowadzają stacje albo inne jednostki organizacyjne określone przez Ministra Rolnictwa. Ocenę może również przeprowadzać — pod nadzorem stacji — posiadacz zwierzęcia.

Wyniki oceny użytkowości zwierząt są ewidencjonowane przez stacje lub jednostki organizacyjne dokonujące tej oceny.

Z dniem 31 grudnia 1977 r. utraci moc rozporządzenie z 27 grudnia 1962 r. w tym samym przedmiocie, natomiast wpisy zwierząt wniesione już do dotychczas prowadzonych ksiąg zachowują swoją ważność.

STYPENDIA DLA STUDENTÓW OD JEDNOSTEK GOSPODARKI USPOŁECZNIONEJ

W myśl nowego rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 2 września 1977 r. w sprawie pomocy materialnej dla studentów szkół wyższych (Dz. U. Nr 29, poz. 126), jedną z form pomocy materialnej dla studentów są stypendia fundowane. O stypendium fundowane może ubiegać się student niezależnie od jego sytuacji materialnej.

Stypendium fundowane, wynoszące w zasadzie 1 600 zł miesięcznie, otrzymuje student od jednostki gospodarki uspołecznionej, jeżeli zawarł z nią odpowiednią umowę. Stypendium realizowane jest za pośrednictwem szkoły wyższej.

Wypłata stypendium następuje od daty ustalonej w umowie — do końca studiów.

Cofnięcie stypendium fundowanego może nastąpić w razie zmiany przez studenta kierunku studiów bez zgody jednostki fundującej.

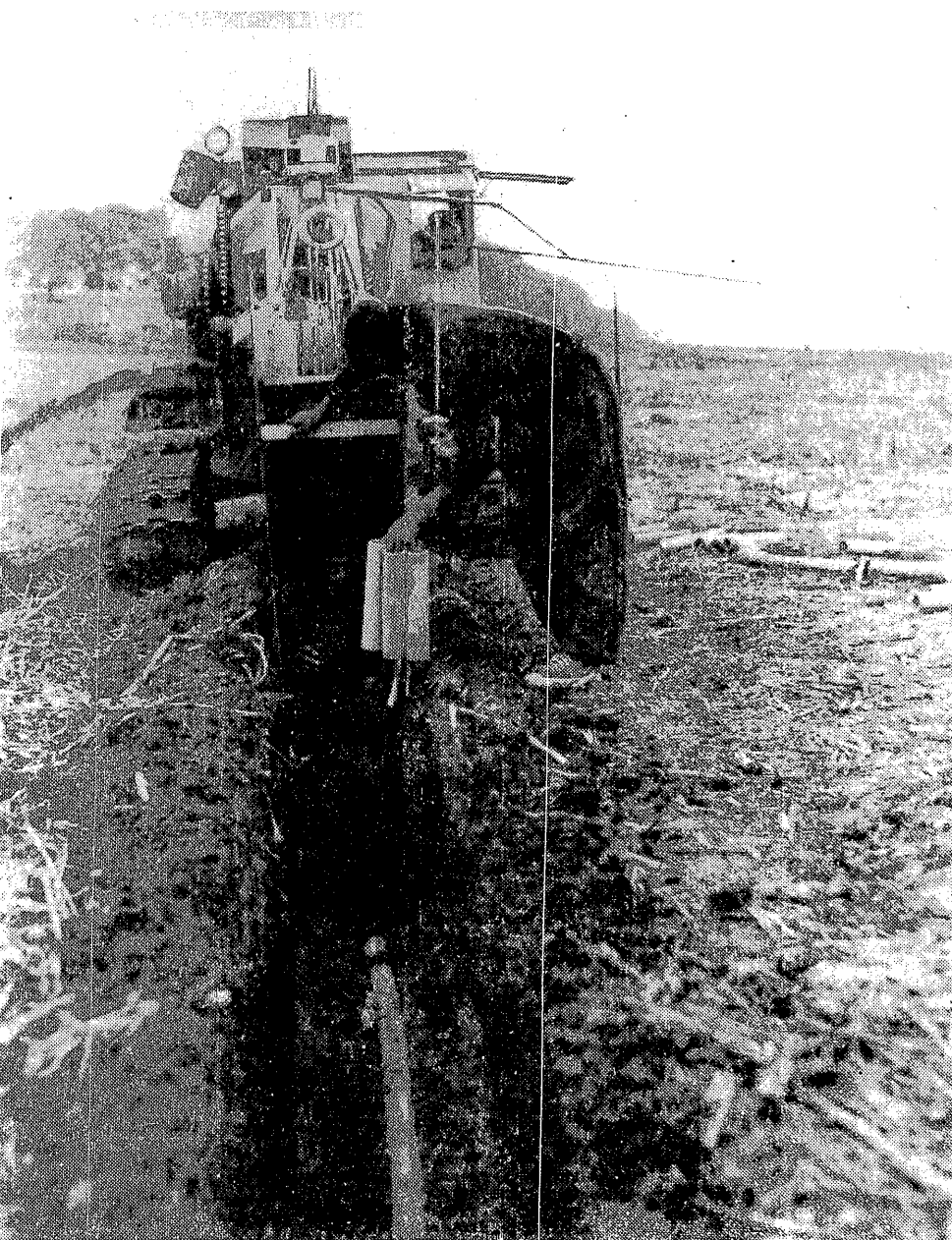
Student pobierający stypendium fundowane obowiązany jest po ukończeniu studiów podjąć pracę zgodną z zawartą umową.

W razie cofnięcia stypendium z powodu skreślenia z listy studentów oraz w razie zmiany kierunku studiów bez zgody jednostki fundującej, student obowiązany jest do zwrotu pobranego stypendium.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

MELIORACJE NA OBSTALUNEK

CZESŁAW OPALIŃSKI



Fot. S. ZUBCZEWSKI

ROZWÓJ technik i systemów melioracyjnych w dużym, jeśli nie w zasadniczym stopniu, determinowany był w swojej historii warunkami przyrodniczymi, głównie klimatem. Na obszarach o wysokich niedoborach wodnych rozwinięły się głównie techniki i systemy nawadniania. Na obszarach o wysokich niedoborach wodnych rozwinięły się głównie techniki i systemy nawadniania. Na obszarach o wysokich niedoborach wodnych rozwinięły się głównie techniki i systemy nawadniania.

Kraje środkowej Europy, leżące w korzystniejszej strefie klimatycznej z punktu widzenia stosunków wodnych, rozwijały raczej tradycyjne techniki związane z odwodnieniem, tj. obniżeniem lustra wody gruntowej i przyspieszaniem wosennego osuszenia pól. Dominacja tego właśnie kierunku melioracji nie sprzyjała rozwojowi technik związanych z nawadnianiem roślin.

MELIORACJE EKSTENSYWNE

Przez szereg lat powojennych prowadzone były w Polsce głównie melioracje odwadniające i systemy nawadnianie podsiąklanych i zalewowych na użytkach zielonych. Zarówno klimat, jak i panujące w tym czasie stosunki na rynku pracy oraz niedobór przemysłowych środków produkcji dla rolnictwa preferowały rozwój melioracji kubaturowych, ekstensywnych, o dużej ilości rowów (otwartych i drenarskich), grobli, wałów, czyli robót pracochłonnych związanych z przetrzaskami mas ziemnych w oparciu o techniki manufakturowe. Również struktura agrarna wsi i rolnictwa, czyli warunki społeczno-ekonomiczne, ograniczały rozwój postępowych technik i systemów melioracyjnych w Polsce. Drobnostawowa struktura polskiego rolnictwa nie sprzyjała rozwojowi takich systemów melioracji, których efektywność uzależniona jest od koncentracji ziemi oraz kooperacji producentów rolnych. Umożliwiało to rozwój tylko takich technik, które nie naruszały historycznie ukształtowanych stosunków własnościowych oraz organizacji terenów rolnych chłopiejskiej wsi. Staje się dlatego zrozumiałe, dlaczego w Polsce dominowały i dominują na-

dal roboty drenarskie, a ostatnio związane z budową wodociągów wiejskich.

Wodociągi wiejskie, które jeszcze od niedawna stanowiły nikły margines w robotach melioracyjnych, urosły ostatnio do rangi priorytetu w nakładach na infrastrukturę chłopiejskiego rolnictwa. Zainteresowanie rolników wodociągami wynika z kilku przyczyn, a mianowicie: wzrostu zainteresowania specjalizacją w produkcji zwierzęcej, zmianami modelu życia (wyższy standard życia i pracy), systematycznego ubytku siły roboczej oraz podrożeń pracy żywej w rolnictwie.

Dominacja technik manufakturowych, stosowanych w melioracjach lat 1960-65, nie wywoływała społecznego zapotrzebowania na techniczne uzbrojenie pracy robotnika melioracyjnego. Rynek pracy mógł dostarczyć w tym czasie każdą liczbę sezonowych robotników do prac melioracyjnych. Długo stosowane techniki manufakturowe w melioracjach oraz brak należytego postępu w technice nawadniania „uśpiły” również zaplecze naukowo-badawcze, które zajmowało się badaniami podstawowymi głównie z zakresu hydrologii i uprawy użytków zielonych. Zbyt małą uwagę poświęcono problematyce techniczno-konstrukcyjnej i technologiczno-organizacyjnej w melioracjach. Również i w kształceniu kadr dla potrzeb melioracji popełniono ostatnio wiele błędów programowych, a skutek jest taki, że na wydziale melioracji najmniej godzin przeznaczonych jest właśnie na melioracje i ekonomikę melioracji. Żenująco niską wiedzą z zakresu eksploatacji urządzeń wodno-melioracyjnych legitymuje się każdy absolwent wydziału rolniczego, który będzie przecież użytkownikiem terenów zmelioryowanych o coraz droższym uzbrojeniu technicznym.

FETYSZYZACJA CELÓW FORMALNYCH

Aby rolnictwo mogło wytwarzać więcej żywności, a produkcja jego była bardziej stabilna, należy przede

wszystkim złagodzić wahania w planowaniu roślin, będące na ogół wynikiem niekorzystnego układu opadów oraz okresowych niedoborów lub nadmiarów wody w glebie. Przyczyny te można usunąć lub skutecznie złagodzić wyłącznie przez rozwój inwestycji melioracyjnych ujętą systemowo i kompleksowo. Chodzi o stworzenie dużych obszarów rolnictwa nawadnianego, to znaczy stabilnego i intensywnego, w małym tylko stopniu zależnego od kaprysów aury.

Przykładem takich rozwiązań może być m. in. rolnictwo NRD, w którym już 10,5 proc. użytków rolnych jest systematycznie nawadniane, a w planie do 1980 r. przewiduje się nawadnianie co piątego hektara ziemi rolniczej.

W ostatnich czasach obserwowano się pewne rozminięcie działalności branży melioracyjnej z głównym celem społecznym postawionym przed tą organizacją — poprawą produktywności ziemi. Sformalizowane metody planowania budżetów i zakresów rzeczowych robót oraz niedoskonały system ekonomicznych rozliczeń inwestycji melioracyjnych, zaadaptowany do melioracji z budownictwa ogólnego, nie były zgodne z usługową rolą, jaką melioracje powinny świadczyć rolnictwu. Było to i jest nadal przyczyną występowania częstych zadrzań między rolnikami a meliorantami.

Efektów melioracji nie mierzy się zwykłą plonów, czy też przyrostem produkcji po ich wykonaniu (np. przez 6-10 lat), lecz stopniem wykonania rocznego planu melioracji, tzw. przerobu rzeczowego i finansowego. Nastąpiła więc zupełna fetyszyzacja celów formalnych nad społeczno-gospodarczymi. W tej sytuacji decyduje o potrzebie melioracji przeszły z gestii rolników w ręce meliorantów (tzw. inwestora zastępczego), którzy według wła-

nych kryteriów zaczęli decydować o lokalizacji, zakresie i sposobie wykonania prac.

DECYDUJĄ POTRZEBY ROLNICTWA

Służby melioracyjne w zakresie programowania i projektowania powinny pozostawać w ścisłym związku z rolnictwem, gdyż wynika to z usługowego charakteru melioracji. Łatwe i tanie obiekty melioracji, które dawały większą satysfakcję meliorantom (wypieszczone i wymuskane) aniżeli producentom rolnym, zostały już wykonane, a tanie źródła uzyskania wody zostały już wyczerpane. Dlatego należy przejść z melioracji ekstensywnych na bardziej intensywne, droższe, ale za to efektywniejsze i bardziej skuteczne w podnoszeniu produktywności ziemi. Za meliorację płaci rolnictwo swoją produkcją i dlatego wszystkie plany inwestycji melioracyjnych (wieloletnie i bieżące) powinny być realizowane w oparciu o zasady wynikające z usługowej roli melioracji, to znaczy na życzenie i przy akceptacji zamawiającego. Program rozwoju rolnictwa jest rzeczą pierwotną, natomiast plan rozwoju melioracji wtórna, gdyż wynika to z jej usługowego charakteru. Plan melioracji jest więc środkiem a nie celem i tak należy rozumieć jego miejsce i rolę w kompleksie żywnościowym. Dlatego też uważam, że:

1) Decyzja dotycząca wykonania melioracji powinna wynikać z wyraźnego zapotrzebowania — „obstalunku” konkretnej organizacji zajmującej się produkcją rolną, przy czym realizacja zamawianych inwestycji powinna być finansowana przynajmniej w 60 proc. z kredytu bankowego, który należałoby rozliczać (głównie odsetki) na podstawie faktycznie uzyskiwanych efektów w rolnictwie, czyli przyrostu produkcji.

2) W przypadku, gdy program rozwoju rolnictwa nawadnianego realizowany i finansowany jest centralnie z budżetu państwa, dochód uzyskiwany na tych obszarach przez jednostki gospodarcze powinien być obciążony odpowiednim oprocentowaniem kapitału społecznego w formie podatku wyrównawczego.

3) W stosunku do inwestycji usługowych, jakimi są melioracje, nie powinno się stosować rygorów za niewykonanie np. rocznego czy pięcioletniego planu melioracji, jeśli np. wielkość obszarów i asortymentu zamawianych obiektów przez rolnictwo jest mniejsza od obszaru planowanego.

4) Nie może też dochodzić do wyprzedzania inwestycji melioracyjnych w stosunku do możliwości eksploatacyjnych rolnictwa, szczególnie pod względem innowacyjnym i technicznym, gdyż rolnictwo, aby mogło skonsolidować skutecznie melioracje i ich efekty, musi być wcześniej do tego przygotowane technicznie, strukturalnie i kadrowo.

5) Zamawiający melioracje nie powinien się również obawiać, że koszty eksploatacji nowej techniki pochłonią cały zysk, a gospodarstwo ujętą straty finansowe. Jeśli nie zapewnimy rentowności ekonomicznej dla rolnictwa nawadnianego, wszelkie próby jego intensyfikacji tą drogą nie dojdą nigdy do skutku.

Zgodnie z ustaleniami VI Plenum KC PZPR, główne zadania gospodarcze w polskim rolnictwie do 1980 r. to między innymi maksymalny wzrost produkcji zbóż i pasz w celu odbudowy i osiągnięcia przewidywanego stanu pogłowia zwierząt gospodarczych. Przewiduje się, że do roku 1980 będziemy mieli 8,5 mln ha powierzchni obsianej zbożami, przeznaczą się pod uprawę zbóż dodatkowo około 200 tys. ha słabszych łąk i pastwisk, zwiększy się powierzchnia zasiewu kukurydzy do 1100 tys. ha (w tym 400 tys. ha na ziarno), zmaksymalizuje się zbiory roślin okopowych, pastewnych (w tym na użytkach zielonych) oraz roślin warzywnych.

Aby można było zrealizować wymienione postulaty, posiadające kluczowe znaczenie dla dalszego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, należy zgodnie z tym programem rozwijać z kierunku melioracji, które stabilizują produkcję rolną w czasie oraz ograniczają import pasz i zbóż, substytuując ziemię uprawną nakładami pracy uprzedmiotowanej i zwiększając efektywność środków obrotowych, głównie nawożenia, oraz pracy. Do takich melioracji należy zaliczyć przede wszystkim systemy o dwustronnej regulacji stosunków wodno-powietrznych w glebie, tj. nawadniająco-odwadniające.

PROGRAM NAWODNIEN

Lata posuszne w rolnictwie polskim zdarzają się częściej niż deszczowe i głównie one decydują o plonach i zbiorach wielu roślin. Przykładem tego mogą być kolejne lata 1974, 1975, 1976, w których niskie urodzaje, głównie pasz i zbóż spowodowane posuchą zaciążyły na bilansie zbożowym kraju.

We współczesnym intensywnym rolnictwie koszty społeczne środków przeznaczonych na produkcję żywności w przeliczeniu na hektar użytków rolnych są coraz wyższe. Wniosek z tego, że przy niskich zbiorach, np. spowodowanych posuchą, gospodarka ponosi ogromne straty. W przypadku powtarzających się posusznych lat nieurodzaju, straty te są dużym ciężarem.

Do sumy strat społecznych, jakie ponosimy z tego tytułu (a wynoszą one 5-10 tys. zł/ha), dochodzi jeszcze koszt dodatkowego, nieplanowanego importu zbóż i pasz. Koszty te musimy ponosić, aby utrzymać poziom i rytmiczność produkcji zwierzęcej, przemysłu rolno-spożywczego oraz zoapatrzania rynku żywnościowego. Wartość tych dwóch pozycji kosztów określa poniekąd społeczną wartość takiego czynnika produkcji roślinnej, jakim jest woda w glebie.

Stosując nawadnianie roślin uprawnych na większych kompleksach gleb żywniejszych można stworzyć obszary stabilnego rolnictwa, w małym tylko stopniu reagującego na wahania pogody. Skierowane na te obszary intensywnego rolnictwa nakłady w każdym roku powinny przynosić oczekiwane efekty gospodarcze. W NRD uzyskuje się w warunkach rolnictwa nawadnianego prawie 60-80 q pszenicy, a w Jugosławii nawet 100 q.

Nakłady na nawadnianie posiadają charakter antyimportowy, gdyż przez stabilizację produkcji roślinnej na określonym obszarze mogą w znacznym stopniu zmniejszyć w roku posusznych ciężar wydatków związanych z zakupem pasz i żywności. Nawadnianie pozwala poza tym uzyskać w rolnictwie opłacalną substytucję powierzchni ziemi uprawnej. Jak wiadomo, obszar użytków rolnych na skutek industrializacji, urbanizacji i motoryzacji kraju zmniejsza się w tempie około 2 proc. rocznie.

Utracona bezpowrotnie produkcja roślinna z ziemi zabranej rolnictwu może być zrekompensowana tylko nakładami środków o charakterze planotwórczym — głównie nawożeniem mineralnym oraz nawadnianiem i pracą w dziedzinie hodowli nowych plenniejszych odmian i gatunków roślin uprawnych. Jednakże uprawa wysokopłennych odmian i efektywność wysokiego nawożenia zależą przede wszystkim od dostępności wody w glebie we wszystkich fazach rozwoju roślin. Bez wody organizm roślinny nie jest w stanie przetworzyć składników mineralnych w biomasę.

CZYNNIK INTENSYFIKACJI

Jak wskazują doświadczenia krajowe i zagraniczne, nawodnienie 2-3 ha użytków rolnych umożliwia uzyskanie dodatkowego plonu równego wolumenowi produkcji z jednego hektara ziemi uprawnej średniej klasy. Tak więc nawodnienie nie tylko podnosi i stabilizuje plonowanie roślin, ale umożliwia również zwolnienie pewnej powierzchni produkcyjnej użytków rolnych pod inne deficytowe uprawy, tj. zboża, okopowe, pastewne, przemysłowe. W pierwszej kolejności należałoby nawadniać rośliny rentowne i reagujące na nawadnianie istotną zwiększą plonów i dochodów. Do takich roślin należy zaliczyć kwiaty, warzywa, sady, rośliny okopowe i przemysłowe. Stosując nawodnienie tych upraw, możemy osiągnąć wymaganą produkcję ze znacznie mniejszej powierzchni użytków rolnych niż wynikałoby to z planowanej pierwotnie struktury zasiewów w warunkach bez nawodnienia. Oszczędność ta np. może dojść do około 1/4-1/3 planowanej powierzchni uprawy warzyw gruntowych.

Nawodnienie wraz z wysokim nawożeniem podnosi poza tym opłacalność uzyskania przyrostu dodatkowej produkcji z każdego hektara. Przy poziomie nawożenia np. 150 kg NPK/ha, przyrosty marginalne plonów zbóż wynoszą 5 kg ziarna na każdy ostatni kilogram NPK, a przy dodatkowym nawodnieniu — 7 kg. Nawodnienie roślin przy wysokim nawożeniu powoduje poza tym równomierny w ciągu okresu wegetacyjnego pobór składników pokarmowych bezpośrednio z rozrozu glebowego oraz kompleksu sorpcyjnego. Składniki te w całości mogą być przetwarzane w biomasę roślinną i bakteriową, gdyż w warunkach optymalnej wilgotności środowiska glebowego aktywizują się bardzo silnie procesy oksydukcji. Nawodnienie chroni więc także środowisko, głównie wody powierzchniowe i gruntowe przed zasoleniem i entrofizacją.

Inwestycje melioracyjne należy więc traktować i rozliczać jako elementy infrastruktury nowoczesnego, intensywnego rolnictwa, związanej z technicznym przeobrażeniem jego całego aparatu wytwórczego. Organizacje melioracyjne nie powinny „wieść” samodzielnego gospodarstwa, niezależnego życia (nie spotyka się tego w żadnym kraju), lecz realizować społeczne zamówienia gospodarki żywnościowej. Plany branżowe, rachunek branżowy, ekonomiczny branżowa to zjawiska nieodróżnialne „emancypacji” służb melioracyjnych prowadzące do osłabienia więzów z rolnictwem.

Programy i plany inwestycyjne technicznej rekonstrukcji rolnictwa powinny obejmować wszystkie techniki wymagane przy realizacji tego historycznego celu — łącznie i kompleksowo. Stosować należy również jeden syntetyczny rachunek efektywności społecznych nakładów, przyjmując za cel tej działalności maksymalizację produkcji żywności i społecznej wydajności pracy w rolnictwie. Wszystkie inwestycje z zakresu technicznej rekonstrukcji rolnictwa powinny być realizowane przez wyspecjalizowane przedsiębiorstwa wykonawcze, ale prognozowane, planowane i rozliczane ekonomicznie przez scalone biura studyjno-projektowe zarówno na szczeblu centralnym, jak i każdego makroregionu społeczno-gospodarczego.



Zatrudnienie ekspedientek na pół czy ćwierć etatu powinno choć częściowo rozładować tłok w sklepach w godzinach szczytu zakupów...

Fot. S. ZUBCZEWSKI

SZTYWNO ZA LADĄ

ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI

Od strony formalno-prawnej zrobiono już wszystko w sprawie półetatów w handlu, gastronomii i usługach. A mimo to zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin wcale w handlu nie wzrasta w oczekiwanym stopniu.

W końcu 1976 roku w niepełnym wymiarze godzin pracowało 46127 osób, które zajmowały 24408 pełnych etatów. Udział „półetatowców” w zatrudnieniu ogółem wynosił zaledwie 2,8 procent.

W bieżącym roku sytuacja niewiele się poprawiła. Jakże są przyczyny stronięcia ludzi od pracy na pół etatu w handlu? A może handel nie chce ich przyswajać? Czy można radykalnie zwiększyć udział „półetatowców” — np. do 20—30 procent?

CZY POTRZEBNE?

Zacznijmy od przykładu sklepu o-buwniczego średniej wielkości, czynnego od 11 do 19 godzin. Załóżmy, że pracuje w nim kierownik i pięć ekspedientek. Sklep funkcjonuje w dużym mieście przemysłowym.

Zastanówmy się, kto może dokonywać zakupów w pierwszych 3—4 godzinach otwarcia sklepu. Urzędnicy zająć się od 8—9 rano do 15—16 godziny. Pierwsza zmiana w fabrykach pracuje do 14. Młodzież uczy się w szkołach. Pracujące na II zmianie kobiety zajęte są szykowaniem obiadu. Potencjalnymi gośćmi sklepu mogą być emeryci, mężczyźni pracujący na II lub III zmianie, przyjezdni i trochę osób samotnych. Tak to wygląda z grubsza.

I rzeczywiście, z analizy tzw. nurtu przepływu klientów wynika niezbicie, że w godzinach 11—14 ruch w sklepie jest mały. Zaczyna się dopiero po 15 i trwa do 18, czasem 18.30. Podobnie jest w sklepach odzieżowych, papierniczych, artykułów gospodarstwa domowego itd. itd.

Rodzi się teraz pytanie o zasadność pracy sześciu ekspedientek przez całe osiem godzin. W pierwszych godzinach pracy nie mają wiele do roboty. Po południu zaś jest ich nawet za mało do obsłużenia wszystkich klientów — tworzą się kolejki, kupujący są gorzej obsłużeni.

Zupełnie logiczne jest więc następowanie zorganizowanie pracy w sklepie: kierowniczka — całe 8 go-

dzin; dwie ekspedientki od 11 do 19 godzin; do trójki tej dołączają w godzinach 15—19 dalsze cztery „półetatowe” pracownice. W szczycie więc siedem pań zamiast sześciu. Natomiast w godzinach przedpołudniowych uzyskujemy oszczędność trzech par rąk.

Zarządzenia o zatrudnieniu w niepełnym wymiarze godzin nie usztywniają form pracy. Może przedsiębiorstwo zatrudniać na 1/4, 1/2 czy 3/4 etatu dodatkowego pracownika. Może on też pracować przez trzy dni w tygodniu. Na przykład w miasteczku, w których odbywają się jarmarki i targi, wzmocniony ruch w sklepach występuje raz w tygodniu. I sklepy mogą zatrudniać „półetatowców” tylko na ten jeden dzień targowy.

Analizy ruchu klientów pozwalają stwierdzić, że właściwie w każdym rodzaju sklepów występują godziny luzu i godziny (bądź dni) szczytów. Dotyczy to też domów towarowych, sklepów spożywczych, restauracji i kawiarni, a nawet magazynów i transportu handlu.

Sklepy spożywcze otwarte są z reguły od 6 rano do 19, a więc przez 13 godzin. Największy ruch występuje tu od 6 do 9—10 rano, oraz po 14. Sklepy te pracują na dwie zmiany: od 6 do 14 oraz od 11 do 19. Tak więc „nałożenie” się obu zmian następuje właśnie w godzinach najmniejszego ruchu.

Ale wróćmy do przykładu pierwszego i przełiczmy efekt zmiany w roboczo-godzinach. W tradycyjnym układzie mamy 6 pracowników razy 8 godzin — 48 roboczo-godzin. Po zmianie: 3 razy 8 — 24; plus 4 razy 4 — 16. Wychodzi razem 40 roboczo-godzin. A więc zaoszczędza się na czysto jeden etat, poprawiając przy tym obsługę w godzinach szczytu.

Jest to oszczędność pozornie niewielka. Jednak trzeba pamiętać, że w Polsce mamy około 122 tysięcy sklepów. W makroskali, łatwo to przeliczyć, oszczędność mierzona będzie już dziesiątkami tysięcy etatów. W rozliczeniu funduszu płac — w grę wchodzić będą dziesiątki milionów złotych.

Mimo, że miliony złotych są istotne, to jednak nie one są najważniejsze. W handlu pracuje obecnie około 815 tysięcy osób. Część tych pracowników (w tzw. wieku produkcyjnym) mogłaby podjąć z powodzeniem pracę w działach gospodarki odczuwających dotkliwy brak rąk do pracy.

A ich miejsce za ladą zajęłyby osoby, które z różnych względów nie mogą pracować na pełnych etatach. Albo inaczej potraktujmy sprawę. Wiadomo powszechnie, że do pracy w handlu ludzie zbytnio się nie garną. Wprowadzając więc elastyczne formy zatrudnienia kierownicy sklepów mogliby zrezygnować z „trzymania” osób nie predysponowanych do pracy w handlu, bądź nie posiadających odpowiedniego przygotowania. Złagodzone byłoby również kłopoty ze zdobywaniem personelu do nowo otwieranych sklepów.

Można też sprawę omówić w jeszcze innym aspekcie. Załóżmy, że w handlu pozostałby dotychczasowa globalna ilość etatów przeliczeniowych. Gdyby np. 200 tysięcy osób na pełnych etatach zastąpić 400 tysiącami osób na półetatach, to osiągnęlibyśmy — zakładając racjonalne dostosowanie godzin pracy do rzeczywistego ruchu — niebagatelny efekt społeczny. Klienci dokonywaliby zakupów w znakomicie mniejszym tłoku, udałoby się skrócić kolejki.

KTO MOGLBY...

Powstaje oczywiście pytanie: skąd wziąć tych kilkadziesiąt tysięcy chętnych do pracy w niepełnym wymiarze godzin? Wnikliwie rozglądając się za kandydatami, można ich jednak znaleźć i to w niebagatelnej liczbie.

Pierwsza grupa, to emeryci i renciści. Znaczną ich część może i chce popracować jeszcze kilka lat po przejściu na rentę. Rozporządzenie Rady Ministrów z 2 kwietnia 1977 roku dopuszcza zarobienie 24 tysięcy złotych rocznie bez konieczności zawieszania renty. Oczywiście, nie ma większego sensu zatrudniania emerytów w sklepach spożywczych (do dzwigania baniek z mlekiem, czy pak z pieczywem), ani też np. w sklepach żelaznych. Ale w sklepach pasmanteryjnych, papierniczych, obuwniczych a przede wszystkim w kioskach — dadzą sobie z powodzeniem radę.

Druga liczna grupa potencjalnych „półetatowców” to niepracujące kobiety zwłaszcza te, które już podchodziły do emerytury. Większe dzieci — to większe wydatki; każdy grosz się przyda. O ile trudno jest pogodzić prowadzenie domu z pracą na pełnym etacie, to z pół czy ćwierć etatem nie jest to niemożliwe.

Coraz więcej młodych matek korzysta z wprowadzonego niedawno

przywileju urlopu bezpłatnego. Mając staż pracy 3—5 lat zwalniali są z pełnego etatu. I dodajmy, że większość z nich szybko męczy zamknięcie w czterech ścianach z małymi dziećmi — odpowiednio zachęcone wyrwałyby się z ochotą do pracy np. na 2—3 godziny dziennie.

Czwarta grupa kandydatów na pracę dorywcza, to młodzież. Z tym, że trzeba tu zdawać sobie sprawę, iż w okresie wakacyjnym o młodzież zabiega wielu pracodawców płacących znacznie lepiej niż handel. Studenti zarabiają więcej przy żniwach, u ogrodników, przy budowlach prywatnych itp.

A jak właściwie płaci handel? Załóżmy że kandydatem na pół etatu (100 godzin miesięcznie) jest emeryt z wykształceniem podstawowym. Musi przejść 3-miesięczny okres przyuczenia, w trakcie którego dostaje wynagrodzenie zasadnicze 750 złotych. Aby zachęcić do pracy na półetatach wprowadzono dodatek 20-procentowy. A więc 750+150 = 900 złotych. Do tego dochodzi zwykła premia też 20 proc. Przechy 3 miesiące zarabia więc po 1080 złotych.

Po okresie 3 miesięcy otrzymuje płacę zasadniczą 1050 zł, co z dodatkiem wynosi już 1260 zł. Dochodzi do tego prowizja 40 proc, czyli 504 zł. Ponadto tzw. premie dodatkowe (10 proc.) — 126 złotych. Zarabiał więc będzie razem 1890 złotych. Przypomnijmy, że gdy sklep przekracza plan obrotu, to część prowizji wzrasta. Wyższe kwalifikacje również wpłyną na wzrost zarobków.

W bieżącym roku wprowadzono zasadę, że wynagrodzenie każdego nowego „półetatowca” nie jest wliczane do funduszu płac; zatrudniani (dorywczo) wynagradzani są z bezosobowego funduszu płac. Tak więc nie działały żadne limity zatrudnienia w przedsiębiorstwie.

Mimo tych ułatwień, niewielki był w skali całego kraju przyrost liczby „półetatowców”. W okresie 9 miesięcy w trzech podstawowych organizacjach handlowych przybyło (w porównaniu do stycznia br.) tylko 7300 osób, które zajęły w sumie 4750 pełnych etatów. Najmniej „półetatowców” zdobyła „Samopomoc Chłopska” — 520 etatów. W „Spółem” 1550 etatów przeliczeniowych zajęli zatrudnieni w niepełnym wymiarze godzin; w Centrali Państwowego Handlu Wewnętrznego — 2580.

KŁOPOTY WIELOWARSTWOWE

Doszukując się przyczyn powolnego wzrostu zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin trafimy na wiele przyczyn przede wszystkim natury finansowej i organizacyjnej, a także na barierę natury — rzecz można — wstydliwej. Zaczniemy od tych ostatnich.

Załóżmy że emerytka czuje się jeszcze w pełni sił i chce dorobić te 2000 złotych. Najpóźniej byłoby w sklepie blisko położonym jej domu. Ale zaraz wyobraża sobie, że przecież musiałaby obsługiwać swoich sąsiadów. Czy wypada? Z kolei praca na 3—4 godziny w sklepie w odległej dzielnicy, to strata dodatkowych dwóch godzin na dojazd. Dodajmy też, że praca w sklepie we własnym osiedlu przysparza dodatkowych kłopotów — wszyscy znajomi nalegają na „rezerwowanie” atrakcyjniejszych artykułów.

Ta ostatnia kwestia jest też bardzo istotna w układzie stały personel — nowy „półetatowiec”. Założa, chcąc nie chcąc, ma cały spłot powiązań nieformalnych. Zwyczajowo ułatwia zakupy np. grupie konwojentów, pracownikom pobliskich sklepów innych branż, wreszcie własnej rodzinie i przyjaciółom. Tego się chyba nie przełamie żadnymi zakazami. I niechętnie przyjmuje nową osobę, która pracując tylko „z doskoku” patrzyłaby im na ręce, bądź obciążałaby „zobowiązania” sklepu o dalszych kilkunastu klientach.

W sklepach już zatrudniających „półetatowców” wciąż są dyskusyjne sprawy sprawiedliwego podziału dochodów i obciążenia pracą. Półetatowiec pracuje w godzinach największego ruchu czy więc nie powinien mieć wyższej stawki godzinowej, od personelu, który tkwi w sklepie również w godzinach małego obciążenia? Z kolei personel sklepu otrzymuje tzw. premię za dbałość o towar. W sklepach spożywczych prace te (np. sortowanie owoców, przesypanie uszkodzonych torebek, itd.) wykonuje się w okresie luzu, bądź przed otwarciem sklepu. Czy półetatowiec ma prawo w tej premii partycypować? A w jakim stopniu ma partycypować półetatowiec w premii za przekroczenie planu obrotów? Przecież stały personel więcej się o tego przyczynia... Z kolei półetatowcy twierdzą: my relatywnie więcej czasu tracimy na dojazd do pracy. Znow stały personel: a dlaczego emeryci mają być zwolnieni od dzwigania towarów z magazynów na salę? A dlaczego półetatowcy nie ślęczą z nami podczas remanentów, albo dyżurów świątecznych?

Założę większość sklepów to z reguły kobiety, które tego typu sprawy, czasem drobne, wakuja w nieskończoność. I kierownicy, aby mieć święty spokój, robią uniki — nie zatrudniają na pół czy ćwierć etatu nikogo.

Wydaje się, że jedną z najpoważniejszych przeszkód w racjonalizacji zatrudnienia stanowi powszechnie stosowany system odpowiedzialności materialnej. Pisał o tym niedawno¹⁾ wskazywał, że nowy system oparty na tzw. zasadzie winy udowodnionej powinien być jak najszybciej upowszechniony. Po prostu za brak towaru — w naszym systemie — odpowiada tylko ci, którym udowodni się kradzież, bądź rażące niedopilewanie powierzonych towarów.

W poprzednim systemie każdy pracownik odpowiada finansowo za straty w sklepie. Doszło do tego, że nie można nawet przesunąć pracownika ze stoiska w danej chwili nieobciążonego do stoiska gdzie akurat jest tłok. Stały personel wciąż patrzył sobie na ręce. Więc jak tu wprowadzić „półetatowca”, który nie podpisuje żadnego zobowiązania o partycypacji w pokrywaniu ewentualnych strat? A nawet jeśli taki cyrograf podpisał, to nie jest on ważny w świetle prawa.

Według regul nowego systemu odpowiedzialności materialnej pracowało w ubiegłym roku w całym kraju zaledwie 3178 sklepów. Stanowi to około 2,5 proc. ogółu sklepów. Dlaczego jest on wdrażany tak opornie — to znów rozległy temat.

Smutno trochę pisać o tym, że największą przeszkodą w racjonalizacji pracy w handlu jest właśnie brak zaufania do pracownika, kolegi w pracy, wzajemna nieufność. Gorzej że te obawy przed nieuczciwością są niejako założone w systemie organizacyjnym handlu. Do tego dołączają cała ołowia biurokratyczna i system stał się sztywny.

MOŻNA I TRZEBA

A może idea odsztywnienia stosunków w handlu jest w ogóle nie-

realna? Warto przy takich wątpliwościach odwołać się do doświadczeń innych.

Oto sztokholmski dom towarowy „Ahleus City” — jak podaje Zofia Bogusławska²⁾ — zatrudnia przy sprzedaży 1200 osób, z których 70 proc. pracuje w niepełnym wymiarze czasu pracy. W spółdzielczym domu towarowym „Kwickly Farsta” 120 (na 250) pracowników pracuje w niepełnym wymiarze godzin. Z kolei „Konsum Stockholm” zatrudnia 5 tys. stałych pracowników oraz 6 tysięcy w niepełnym wymiarze godzin. Ci ostatni składają się z dwóch grup: stałe zatrudnionych w określonym niepełnym wymiarze godzin oraz z zatrudnionych na godziny w zależności od potrzeb.

Dom towarowy „Bazar de l'Hotel de Ville” w Paryżu przedłużył w środy godzinę sprzedaży do 22-ej. Korzysta wtedy z 600-osobowej ekipy (50 proc. studentów) zatrudnionej tylko raz w tygodniu. Amerykański Instytut Supermarketów podaje, że zatrudnieni w niepełnym wymiarze czasu stanowią 56,8 proc. łącznej liczby personelu supermarketów i 88 proc. pracowników sal sprzedażowych. Z badań Monachijskiego Instytutu IFO wynika, że pracownicy domów towarowych, poza stanowiskami kierowniczymi, rekrutują się prawie w całości z zatrudnionych w niepełnym wymiarze czasu: w sklepach z obuwiem stanowili oni 89 proc. personelu, w tekstylnych — 82 proc., w spożywczych — 77 proc.

Zreasumujmy dotychczasowe rozważania:

● Jest oczywiste, że upowszechnienie półetatów w handlu przyniesie wymierne efekty ekonomiczne, usprawnienie organizacji pracy, odczuwalną poprawę obsługi klientów, rozwiązać kwestie zastępstw w sklepach w przypadku choroby i urlopu stałych pracowników — jakże często widzimy drzwi sklepu z napisem: „zamknięte z powodu choroby personelu”.

● Wydaje się prawie pewne, że zarówno zasady nowej odpowiedzialności materialnej, jak i idea zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin nie zostały należycie rozpropagowane przez poszczególne przedsiębiorstwa i centrale handlowe. Nie dotarło to wszystko do podstawowego ognia — kierowników sklepów. Właśnie ci ostatni powinni zostać przekonani, że te innowacje dają możliwość znacznego usprawnienia pracy i osiągnięcia lepszych wyników ekonomicznych. Sam akt wydania nowych przepisów nie przełamie utrwalonego od lat sposobu myślenia i postępowania.

● Osiągnięcie znaczącego przyrostu „półetatowców” uzależnione jest przede wszystkim od postawy kierownika sklepu. Ma on bowiem możliwość przełamania nieufności stałego personelu do nowych osób, może skutecznie łagodzić i eliminować ewentualne konflikty. Co więcej, powinien zachęcać cały personel do aktywnego wyszukiwania — wśród rodziny i znajomych — kandydatów do pracy w niepełnym wymiarze godzin. Do takich „nie z ulicy” załoga mogłaby mieć większe zaufanie.

● W poszukiwaniach kandydatów spośród wymienionych kilku grup, powinno się zwracać uwagę przede wszystkim na byłych, bądź niedoszłych pracowników handlu. Emerytowanych ekspedientów, bądź „biurowych handlowców” nie trzeba byłoby przygotowywać do zawodu. Z drugiej strony bardzo dużo młodych absolwentów szkół handlowych i ekonomicznych nie podejmują etatowej pracy w handlu. Trzeba zachęcić je do pracy choć na pół, czy ćwierć etatu.

● Należy też chyba zwiększyć werbunek „półetatowców” do pracy w usługach. Tu trzeba byłoby zachęcać emerytowanych fachowców z zakładów przemysłowych, którzy byliby cennym nabytkiem w zakładach naprawczych. Dla zakładów usługowych stale odczuwający brak fachowców cenni byłoby również emerytowani zegarmistrz, złotnicy, elektrycy — choćby mogli pracować tylko przez 1—2 godziny dziennie.

● Na zakończenie warto zwrócić centralom handlowym uwagę na fakt że zatrudnieniem „półetatowców” interesuje się coraz więcej działów gospodarki. Przemysł lekki i spółdzielczość rozwija coraz bardziej formę pracy nakładczej. Co będzie, gdy więcej przemysłów intensywnie zacznie przejmować potencjalnych kandydatów do pracy w niepełnym wymiarze czasu? Handel może zostać na lodzie. A przecież ta gruntowna racjonalizacja zatrudnienia jest nieodzowna w handlu.

¹⁾ Andrzej Nałęcz-Jawecki — „Za ladą bez cyrografu”, „Z.G.” nr 43/1976 r.

²⁾ Zofia Bogusławska — „Elastyczność zatrudnienia w handlu detalicznym”, publikacja Instytutu Handlu Wewnętrznego.

KONIEC ERY SYNTETYKÓW?

Poprawa sytuacji w przemyśle włókien syntetycznych krajów kapitalistycznych okazała się bardzo krótkotrwała. W roku 1976 nastąpił wprawdzie dość silny wzrost produkcji włókien syntetycznych w stosunku do kryzysowego roku 1973, ale był on dość zróżnicowany w poszczególnych regionach świata i krajach.

Zwiększyło się również wykorzystanie zdolności produkcyjnych, choć poza Japonią i krajami Azji kształtowało się ono nadal znacznie poni-

żej szczytowego poziomu, do jakiego doszły w roku 1973.

W roku 1977 wzrost produkcji włókien syntetycznych uległ ponownie zahamowaniu. Według informacji zamieszczonej w „The Economist” (z 15—21.X. br.), sprzedaż włókien syntetycznych przez producentów zachodnioeuropejskich ma w br. obniżyć się o 10 proc. w stosunku do ubiegłego roku, a stopień wykorzystania zdolności produkcyjnych do 70 proc. (w roku 1973 wynosił on 90 proc.). Wobec spadku cen

i wysokich kosztów surowca wyjściowego straty wielkich koncernów chemicznych ponoszone w produkcji włókien syntetycznych zwiększyły się o 620 mln dol. w roku 1976 do 900 mln dol. w bieżącym roku.

Sytuacja ta spowodowała, że wielkie zachodnioeuropejskie koncerny chemiczne wystąpiły do Komisji Przemysłu EWG o koordynację swych zdolności wytwórczych i produkcji (gdyby uczynili to sami, byłoby to uznane za kartelizację,

sprzeczną z ustawodawstwem antymonopolowym). Plan tej koordynacji ma być opracowany do końca br., choć jego realizacja może być trudna.

Wśród przyczyn strukturalnej nadwyżki podaży nad popytem na włókna syntetyczne w krajach kapitalistycznych oraz znizki ich cen na podkreślenie zasługują następujące: 1) rozbudowa zdolności produkcyjnych oparta na założeniu, że popyt na włókna syntetyczne wzrastać będzie podobnie jak w latach sześćdziesiątych w tempie 15 proc. rocznie; 2) zmniejszenie ich konkurencyjności w stosunku do włókien naturalnych, związane z podwyżką cen ropy; 3) powrót mody na włókna naturalne, szczególnie silny w zakresie bawełny (dżinsy); 4) ostatecznie popytu na wyroby przemysłu

lekkiego związane z ogólnym zwolnieniem tempa wzrostu gospodarki krajów kapitalistycznych; 5) kurczenie się rynków zbytu w krajach rozwijających się, wobec budowy

własnego przemysłu, który w niektórych przypadkach stał się również eksporterem do krajów rozwiniętych gospodarczo.

	Produkcja tys. ton		Wskaźnik wzrostu w proc.	Wykorzystanie zdolności produkcyjnej w proc.	
	1975	1976		1975	1976
Ogółem	7254,5	8597,7	116,9	74	80
Zachodnia Europa	1869,8	2298,8	122,9	62	71
RFN	629,3	771,2	122,5	66	77
W. Brytania	361,1	414,1	114,7	65	70
Włochy	276,9	376,4	135,9	55	69
Francja	204,5	238,8	116,8	58	67
Benelux	122,9	146,2	118,9	54	63
Hiszpania	119,2	138,5	116,2	64	70
Inne kraje	155,9	193,6	124,2	68	69
Ameryka Północna	2896,0	3009,6	111,6	74	77
Ameryka Południowa	236,4	273,5	115,7	74	81
Azja	1614,5	2025,4	125,4	87	93
Japonia	1020,9	1204,1	117,9	77	89
Pozostałe kraje	577,8	984,4	112,1	82	89

Textil Organon, listopad 1975, kwiecień 1976 i 1977.

PARTNERZY

JACEK BOŁDOK

„Co drugi Polak nie ma jeszcze trzydziestki, co trzeci nie skończył 19 roku życia. Społeczeństwo nasze należy do najmłodszych w Europie. Można tę młodzież traktować jako źródło kłopotów albo dostrzegać w niej przede wszystkim szansę dla kraju. Szansę tkwiącą w wiedzy, kwalifikacjach i zapale (...). Z młodych ludzi, którzy dopiero co podjęli pracę lub podejmą ją w najbliższych latach, rekrutować się będzie większość kadry kierowniczej naszej gospodarki na przełomie XX i XXI wieku.”

W ten sposób zaczynała się relacja z redakcyjnej dyskusji o postawach i problemach młodych, pod tytułem „Kierownicy jutra”, opublikowana w 33 numerze naszego pisma.

DYSKUSJA stanowiła pokłosie obozu szkoleniowego, odbywającego się pod hasłem: „Młodzież-decyzja-postęp-odpowiedzialność”. Organizatorem obozu był Zarząd Główny Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców oraz Zarząd Główny PTE.

Zaczynam od przypomnienia tamtej publikacji, bo chwilę uwagi chciałbym poświęcić tym samym w zasadzie sprawom i temu samemu w dużej mierze środowisku — młodym pracownikom przedsiębiorstw podległych Ministerstwu Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej. Inny nieco jest tylko przedmiot mojej troski. Jeśli tam zastanawiano się głównie nad jakością przyszłych menedżerów, hodowanych na pożywek bardzo niedługożyciowych doświadczonych dziś dzisiejszego, mnie interesuje przede wszystkim: jaka jest szansa, żeby młodzi ludzie po raz pierwszy podejmujący pracę, mogli być od razu wykorzystani z sensem i obopólnym pożytkiem — dla nich

i przedsiębiorstwa — bez względu na odległe perspektywy awansowe.

GORĄCA LINIA?

Praktyka, niestety, dość często spotykana, jest taka: jeśli jakiś zarządzenie dyrektywne nie rozwiązuje problemu, wydaje się nowe zarządzenie, miało usunąć rzeczywiste przyczyny nieskuteczności poprzedniego. Jeśli jakaś instytucja nie jest w stanie podołać nałożonym na nią zadaniom, powołuje się nową, dublującą poczynania tamtej. W jakimś stopniu jest to przyznanie się do porażki.

Pod patronatem Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej, ZG Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców oraz ZG Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej odbyło się w Sopocie seminarium dla aktywistów młodzieżowego przedsiębiorstwa podległych MHZiGM. Uczestnicy obradowali w trzech zespołach problemowych — nad trybem i jakością przygotowania do zawodu, przebiegiem procesów adaptacji społeczno-zawodowej i efektywnością działania macierzystych zakładów pracy.

Cele i potrzeby płynące z tej imprezy, która dostarczyła pretekstu dla tych paru uwag, organizatorzy określili następująco:

Sytuacja na rynku pracy prowadzi do ograniczeń w zatrudnieniu. Ilość trzeba zastępować jakością. Szuka się więc wszelkich możliwych dróg do szybkiego pozyskania kadry o jak najwyższych kwalifikacjach, do sprawnego wdrażania do pracy produkcyjnej. Spotkanie i dyskusja seminaryjna — informująca młodzież o zamierzeniach resortu, a z drugiej strony organizatorów spotkania sygnalizująca problemy środowisk młodzieżowych — mają przyspieszyć przedmiot poszukiwań i jednocześnie pokazać, jaki kształt decyzje odgórne przyjmują w konfrontacji z życiem, czyli na szczeblu konkretnych przedsiębiorstw.

Resort dysponuje rozbudowanym pionem służb pracowniczych, w każdym zakładzie, pracy oczywiście jak wszędzie działa związek zawodowy i organizacja młodzieżowa. Wszystkie zaś te trzy ognia sprawami, o których mowa wyżej, powinny się zajmować na co dzień. Jeśli dla wyjątkowej wymiany informacji i poglądów zachodzi konieczność uruchomienia „gorącej linii”, czyli spotkań seminaryjnych, świadczy to o bardzo niedoskonałej pracy owych ogniw pośrednich.

Potwierdziła to nie tylko dyskusja, jaka toczyła się w czasie seminarium, lecz również rozmowy, jakie miałem okazję przeprowadzić później: z ELŻBIETĄ SALINGER — głównym specjalistą do spraw szkolenia i doskonalenia kadr w MHZiGM, ANNA JEZIEŃSKA-LEŃ — naczelnikiem wydziału przedsiębiorstw w Departamencie Kadr i Szkolenia, doc. dr. EUGENIUSZEM PERYCZEM — głównym specjalistą do spraw prognostyki w Departamencie Żegluga i Transportu, oraz ANDRZEJEM GRUSZCZYKIEM — sekretarzem komisji młodzieżowej Zarządu Głównego Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców.

Niektóre jednostki, i to całkiem pokazuje, jak np. pion gospodarki rybną, mimo najbardziej odgórnych zarządzeń nie wiedzą nawet, że trzeba wprowadzać jakiś proces adaptacyjny. W całym resorcie program od dwóch lat nie był oceniany. W jego realizacji związki zawodowe i organizacja młodzieżowa uczestniczą tylko formalnie.

Oddajmy zresztą głos uczestnikom seminarium, pamiętając jednak, że jest to tylko część wniosków z seminaryjnej dyskusji i że dyskusja toczyła się wyłącznie wokół bolączek.

„MŁODOŚĆ MOŻNA TRAKTOWAĆ JAKO ŹRÓDŁO KŁOPOTÓW...”

Młody człowiek przychodzi do pierwszej w życiu pracy. Przede wszystkim nie ma zielonego pojęcia

o przedsiębiorstwie, o jego specyfice i zadaniach, bo podczas studiów lub nauki w szkole zawodowej o doborze praktyk decydował przypadek.

Jeśli jest to przedsiębiorstwo handlu zagranicznego, stanie bezradny już w chwili, gdy do jego rąk dotrze pierwszy dokument. Przy naszym wcale nienajbardziej zaawansowanym, sama technika obsługi dokumentów stanowi odrębny dział wiedzy, której nie ma gdzie nabyć. Wkrótce natomiast przekona się, że to, czego się nauczył pisząc pracę dyplomową, jest doskonałe i nikomu nieprzydatne w praktyce.

Gdy szczęśliwie przebrnie przez pierwsze szczeble biurowego wiaćmienia, drogę do awansu, o bardziej odpowiedzialnej i samodzielnej pracy zagrozi nieznajomość języków obcych.

Jeśli młody człowiek trafi do portu, skonstatuje, że nie ma pojęcia o nowych wymagających specjalizacji zawodach, jak np. magazynier czy ekspedient portowy, przyzakładowa zaś szkoła rybacka pozostawia go w pełnej nieświadomości zagadnień przetwórstwa...

Ostatecznie fakt, że szkoła nie najlepiej przygotowuje do praktycznego wykonywania zawodu, nie jest niczym nowym. Istotne jest, że młodzi już na progu swojej zawodowej kariery czują się po trochu oszukani. To wrażenie rozczarowania może zatrzeć lub pogłębić pierwsze zetknięcie z zakładem pracy.

Tymczasem przychodzą do przedsiębiorstwa i dostają często pracę niezgodną z wyuczonym zawodem. Trafiają do brygad, których kierownicy mają lekceważący stosunek do potrzeb młodych pracowników. Podnoszą kwalifikacje na rozmaitych kursach i pozostają na tych samych stanowiskach pracy. Domagają się stąd w renomowanych firmach i spotykają ze wzruszeniem ramion. Dopytują się o perspektywy zawodowej kariery — bezskutecznie.

Trudności startu pogłębia nieuregulowana sytuacja bytowa. Nie wysuwają żądań fantastycznych — chcą przyzwoitego miejsca w hotelu robotniczym, mieszkań rotacyjnych dla młodych małżeństw, sensowniejszego uzależnienia wszelkich pożytków i zasiłków od wysokości uposażeń.

Sami nie potrafili rozwiązać tych problemów, lecz szukając pomocy przeważnie trafiają w pustkę. Ani organizacja młodzieżowa, ani związek nie stawia tych zagadnień w centrum swojej uwagi. Albo też nie jest uznawana za równorzadnego

partnera przez kierownictwo przedsiębiorstwa.

Taki właśnie, jak powyżej, obraz pierwszych kroków młodego człowieka w pracy wyłania się z zestawienia spraw, które zdaniem uczestników seminarium wymagają pilnego uregulowania. Nie jest to lista kompletna, bo odrębności przedsiębiorstw kazaliby ją wzbogacić o nianse trudne tutaj do wyliczenia. Z pewnością jednak na plan pierwszy wybija się dążenie do pracy zgodnej z posiadanymi kwalifikacjami i możliwościami, pytanie o perspektywy — zarówno zawodowe, jak bytowe, potrzeba punktu oparcia.

„MOŻNA MŁODOŚĆ TRAKTOWAĆ JAKO SZANSĘ...”

Trudno powiedzieć, czy procesy adaptacji społeczno-zawodowej młodych pracowników w przedsiębiorstwach podległych MHZiGM przebiegały gorzej niż gdzie indziej, czy lepiej. Sądzę, że odzwierciedlają przeciętną. Chciałbym natomiast wrócić do pytania, jaka jest szansa na to, że sprawy, teoretycznie uregulowane licznymi przepisami i zarządzeniami, zaczną być także załatwiane w praktyce.

Młodzi są krytyczni, a brak świadomości wielu warunków pozwala niekiedy widzieć ostrzeżenie. Nawiasem mówiąc, najdobitniejszy wyraz znalazło to podczas obrad zespołu zajmującego się organizacją i efektywnością działania przedsiębiorstw, gdzie padały pytania, na które rzeczywiście trudno znaleźć jest odpowiedź. Np. dlaczego kontrahentów zagranicznych podczas transakcji eksportowych wybiera się niekiedy tak szybko, że powoduje to praktyczną niemożliwość porównania ofert i wynegocjowania korzystnych warunków handlowych? Dlaczego w placówkach znajdujących się za granicą często spotyka się brak fachowego przygotowania pracowników

wszystkich szczebli biur rady handlowej, delegatur i spółek? Dlaczego kupujemy za granicą części do urządzeń produkcyjnych w Polsce? Itd. itp. Nie chodzi mi tutaj o dokumentowanie tezy o krytycyzmie młodych, ważne natomiast się wydaje, czy w naszym konkretnym przypadku krytycyzm ten, z którym często w parze idzie wiedza i zapal, potraktowany zostanie jako źródło kłopotów, czy jako szansa na pozyskanie nowego pomocnika w procesie startu zawodowego, a ponieważ i życiowego? Sprawa jest tym ważniejsza, że z wszelkich bilansów wynika, iż przy

obecnym tempie i poziomie kształcenia profesjonalnych służb pracowniczych na odpowiednią ilość czołową i jakościową kadrę dla tych pionów przyjdzie poczekać jeszcze ładnych parę lat.

Przyjemnym więc zaskoczeniem było dla mnie stanowisko, jakie po zakończonych obradach zajęli przedstawiciele resortu. Przyjąłbym jako rzecz zupełnie naturalną, że ludzie, którzy musieli wysłuchać tyle gorzkich uwag, a wiele z nich mogłoby odnieść zapewne i do samych siebie, podjęliby próbę odbicia piłeczki: że brak umiaru, że brak doświadczenia, że nieświadomość złożonych uwarunkowań obiektywnych... Spotkałem się natomiast z bardzo rzeczą i przychylną oceną seminarium. Podkreślono dojrzałość młodzieży, wyrażającą się m. in. w krytycyzmie wobec własnych umiejętności i przygotowania zawodowego, w szacunku dla doświadczenia zawodowego, w uznaniu dla roli prac naukowo-badawczych.

Rzecz wreszcie najistotniejsza, która skłania, by całą imprezę potraktować serio, jako rzeczywistą próbę szukania nowych dróg do przelamania impasu: wnioski seminarium, zredagowane w formie ostatecznych dokumentów, trafią na obrady kolegium resortowego oraz do odpowiednich komórek organizacji związkowej i młodzieżowej. Za rok zaś, na seminarium, w którym weźmie udział przedstawiciel tych samych środowisk i przedsiębiorstw, władze resortu i organizacja zostaną szczegółowo rozliczone z ich realizacji.

Osobiście staram się być realistą i nie do końca podzielam optymizm organizatorów. Nie wydaje mi się, aby można było zbyt wiele zdziałać w ciągu roku.

Zbyt dużo nawarstwiło się przyzwyczajeni w naszych zakładach pracy.

Struktury placowe i świadczeń socjalnych nie zawsze preferują młodych, niekiedy wprost przeciwnie, a są to sprawy wykraczające poza gestie jednego przedsiębiorstwa

Wreszcie — nie bardzo wiem, co ma przerobić w szermierzy tych działaczy młodzieżowych czy związkowych, którzy do tej pory chętnie przystawali na swój formalny tylko współudział w decydowaniu o sprawach zakładu i załogi?

Niewątpliwie, młodzież w tym wypadku potraktowana jako szansa, ale stąd do partnerstwa jeszcze kawałek drogi.

EKSPORTERZY

W POSZUKIWANIU SUKCESÓW

HENRYK BORUCIŃSKI

CZĘŚĆ działaczy gospodarczych, z którymi miałem okazję rozmawiać, z dużym sceptycyzmem odnosi się do entuzjastów „tradycyjnej” chemii. Uważają, że współczesnie liczy się tylko petrochemia, której ze względu na wysokie ceny ropy nie jesteśmy w stanie szerzej rozwijać. Rzeczywistość przeczy temu rozumowaniu. Chemia liczy się dalej: i ta pochodna od siarki, którą mamy, i ta pochodna od soli kamiennej, którą również dysponujemy. Na bazie tych dwóch surowców można stworzyć wielką chemię.

Fachowcy z przemysłu farmaceutycznego twierdzą, że gdyby dano im możliwość szybszego rozbudowy mocy produkcyjnych, to nie zastanawiliby się dzisiaj m. in. brakiem ludzi do pracy. Daliby wielki eksport o opłacalności wyższej od uzyskiwanych w większości pozostałych branż.

Już wkrótce — chociaż nie tak szybko, jakby sobie życzyli — będą mogli udowodnić swoje racje, bo największa fabryka przemysłu farmaceutycznego, POLFA Tarchomin, uzyskała środki na budowę drugiego zakładu. Będzie to pierwsza wielka inwestycja nie tylko w historii Tarchomina, ale i całego przemysłu farmaceutycznego.

W TARCHOMINIE UMIEJĄ LICZYĆ

Dziwny to zakład. Nietypowy. Przedni dyrektor naczelny przeprowadził w nim 20 lat, aż do spokojnej emerytury. Wszyscy obecni dyrektory są wychowankami Tarchomina. Do niedawna nie wiedzieli co to fluktuacja kadr. Zaczęła się dopiero w lipcu ubiegłego roku po regulacji plac w przemyśle maszynowym. Obecnie odchodzą z zakładu ludzie o zawodach uniwersalnych: mechanicy, elektrycy, ślusarze, tokarze itd.

Zjednoczenie Przemysłu Farmaceutycznego POLFA zdobyło kiedyś rozgłos dzięki nowatorskim metodom zarządzania. Natomiast bez specjalnego rozgłosu przemysł ten umacniał się na dobrej pozycji wśród producentów rynkowych i na coraz lepszej pozycji wśród eksporterów. Jest to swego rodzaju paradoksem, ale dzieki ograniczeniom nakładów inwestycyjnych przemysł farmaceutyczny najwcześniej i najszerzej skorzystał

z dobrodziejstw modernizacji, uzyskując bezinwestycyjnie znaczny wzrost produkcji i stosunkowo wysoką wydajność pracy. Uwagi te dotyczą również POLFY Tarchomin, w której odbijają się wszystkie problemy nurtujące ten przemysł.

I Zjednoczenie, i POLFA Tarchomin podwoiły wartość eksportu w ciągu 5 lat, nie budując w tym czasie żadnego nowego zakładu, a za to... zmniejszając zatrudnienie. W 1976 roku CIECH, który reprezentuje POLFĘ w handlu zagranicznym, wyszedł na pierwsze miejsce wśród zagranicznych dostawców leków na radziecki rynek. POLFA zwróciła na siebie uwagę wielkich koncernów farmaceutycznych świata i... dysponentów środków inwestycyjnych w kraju.

POLFIE pomogły — i znowu paradoks — kłopoty naszego handlu zagranicznego. Gdy pojawił się w bilansie naszego handlu ze Związkiem Radzieckim deficyt — zapadła decyzja rozbudowy przemysłów eksportujących, mających szczególnie duże szanse zbytu na radzieckim rynku. Wśród tych wybrańców znalazła się POLFA, która otrzymała na lata 1976—80 680 mln zł na rozbudowę i 135 mln zł dew. na import urządzeń i surowców. Tymczasem w Tarchominie, niezależnie od wspomnianej decyzji, dojrzały plany dalszej rozbudowy zakładu.

Obecnie roczna produkcja tej fabryki liczona w cenach bieżących osiągnęła wartość około 5 mld złotych, przy 2930 zatrudnionych. Chęć wybudowania Tarchomin II, który przy zwiększeniu zatrudnienia o około 400 osób pozwoli podwoić wartość produkcji. A to już będzie „coś”. Wprawdzie o rok później, bo obecne trudności zmuszają nas do przesunięcia szeregu inwestycji w czasie; zamiast więc w bieżącym roku, budowa ma rozpocząć się w roku przyszłym.

Jest to budowa w dużej mierze z kredytów zagranicznych, które Tarchomin będzie spłacał produkcją przyszłego zakładu. Partnerem jest amerykańska firma farmaceutyczna „Squibb”, która będzie odbierała — również po spłaceniu kredytu — większość produkcji. Jej przedmiotem będą antybiotyki półsyntetyczne, na które systematycznie rośnie

popyt na rynku światowym. Spłate kredytu Tarchomin rozpoczyna w 1980 roku.

Przemysł farmaceutyczny dokonał korekt planu 5-letniego w górę, w związku z decyzją zwiększenia eksportu do Związku Radzieckiego. Dzięki tej decyzji zostaną zrealizowane różne zamierzenia, głównie modernizacyjne, co pozwoli zwiększyć eksport leków do Związku Radzieckiego w bieżący 5-letni o 1 100 mln zł dew., do sumy blisko 3 mld. A po zbudowaniu Tarchomina II przemysł farmaceutyczny równie mocno jak w tej chwili na rynku socjalistycznym usadowi się w przyszłości na rynkach zachodnich.

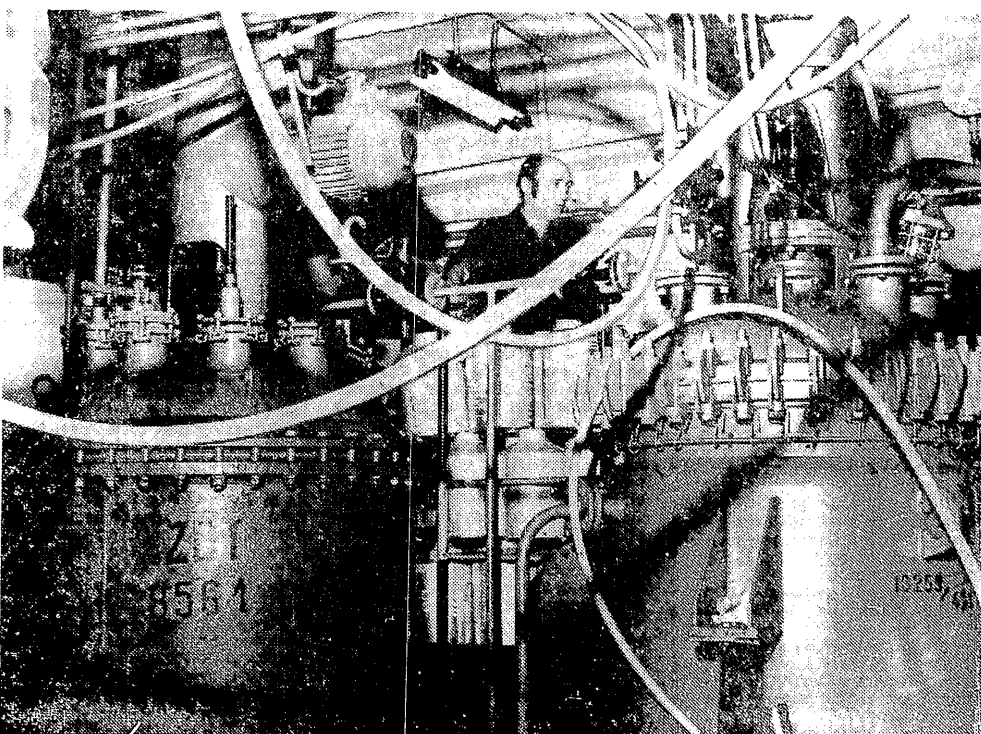
SĄ DWIE SZKOŁY

Jeśli chodzi o teorię wzrostu gospodarczego i politykę handlu zagranicznego. Jedna mówi, że kraj, taki jak nasz, musi mieć rozwiniętą, możliwie szeroką bazę wytwórczą, a druga — wychodząc z teorii kosztów komparatywnych — uważa, że należy selektywnie rozwijać wyłącznie gałęzie o najwyższej efektywności gospodarowania, a zwłaszcza o najwyższej efektywności w eksporcie. Ma się wówczas dość pieniędzy na import tego wszystkiego, czego się w kraju nie wytwarza.

Nie należy tego rozumieć skrajnie. Fakt, że najwyższą opłacalność w eksporcie osiągają na przykład grzyby suszone, nie oznacza, że całą Polskę musimy obsiać kurkami. Nasz eksport potrzebuje towarów, które, mniej opłacalne od przyszłowiowych kurek, dalyby nam makro-pływy dewizowe.

Dla Szwajcarii na przykład złota żyła nie są bynajmniej słynne zegarki, ale właśnie chemia z farmacją. W pierwszej dekadzie szwajcarskich koncernów znajdują się aż trzy chemiczne, z których największy, Ciba-Geigy, zajmuje drugą pozycję na listę. Można wskazać szereg krajów, dla których chemia jest źródłem bogactwa, między innymi przez wielkie wpływy z eksportu.

Ale to tylko dygresja. Chciałbym jedynie podkreślić, że chcąc uzyskać wielkie i szybkie efekty z inwestycji, a zwłaszcza efekty eksportowe — powinniśmy z uwagą



Roczna produkcja tarchomińskiej „Polfy” osiągnęła obecnie wartość ok. 5 mld zł. Na zdjęciu: oddział streptomycyny. Fot. A. JALOŚIŃSKI

WARTO POSTAWIĆ NA TEGO KONIA

W pierwszym półroczu br. wyeksportowaliśmy do Związku Radzieckiego produkty chemiczne za około 617 mln zł dew. Farmacja partycypuje w tej kwocie sumą około 400 mln zł. Tymczasem cały przemysł lekki wyeksportował w tym czasie do Związku Radzieckiego wyroby wartości ok. 940 mln, przemysł drzewnopapierniczy — za ok. 95 mln, mineralny — za ok. 22 mln zł dewizowych, a metalurgicznych — za ok. 131 mln.

Przemysł farmaceutyczny z eksportu do krajów socjalistycznych osiągnął w roku ubiegłym 495 mln zł dewizowych, a w tym roku planuje osiągnąć 610 milionów. Do pozostałych krajów wyeksportował w ubiegłym roku za 111 mln zł dew., a w bieżącym roku zamierza osiągnąć 120 mln. Przrosty na obszarze wolnodelowizowym są więc wolniejsze i sytuację ma dopiero poprawić Tarchomin II, inwestycja obliczona na 40-miesięczny cykl budowy, trafnie osadzona w specjalizacji, z zaprogramowaną elastycznością produkcji, pozwalającą reagować na życzenia odbiorców.

Zjednoczenie POLFA, a zwłaszcza jej Biuro Handlu Zagranicznego CIECH-POLFA, dość trafnie ocenia światowy rynek farmaceutyczny. Poza kilkoma krajami Trzeciego Świata, w krajach kapitalistycznych, penetrowanych przez wielkie koncerny kapitalistyczne, nie wychodzimy z lekami gotowymi. Na tamtych rynkach, żeby sprzedać jakiś lek, trzeba najpierw kupić lekarzy i opłacić długotrwałe próby kliniczne, nie licząc „normalnych” kosztów reklamy — tym większych, że marka POLFY jest tam nieznana. W związku z tym lokujemy w tamtejszych firmach farmaceutycznych tzw. substancje, czyli w gruncie rzeczy leki gotowe, wymagające jedynie konfekcjonowania: nadania im formy tabletki, maści. Również firma „Squibb” będzie odbierać z Tarchomina substancje, które będą naszym innym, jak wysoko uszlachetnionym produktem chemicznym — lekiem z fabryki, która w 1973 roku obchodziła jubileusz 150-lecia.

Nam pozostaje przychód dewizowy. No, i satysfakcja, kiedy nieświadomi rzeczy niektórzy nasi radcy przywożą „znakomite” leki z Zachodu, nie zdając sobie sprawy, że pochodzą one z polskich fabryk.

PRZY JEDNYM OKIENKU

ANDRZEJ CHMIELEWSKI

W województwie bielskim najpilniejsze potrzeby mieszkaniowe w bieżącym pięcioleciu ocenia się na 49-50 tys. mieszkań. Taka ilość wynika nie tylko z racji socjalnych, ale i z przesłanek ekonomicznych. Te dwie funkcje wyznaczają realizację programu budownictwa w tej i w następnych pięciolatkach.

Z jednej strony trzeba — jak napisał przed — zapewnić mieszkańcom tym, którzy najpilniej tego potrzebują, z drugiej — na nowe mieszkania zgłasza zapotrzebowanie rozwijający się przemysł. Dla przykładu: aby wykorzystać w pełni zdolności produkcyjne fabryki mąki, należałoby oddać do użytku około 7 tys. mieszkań.

Podobną sytuację widać i w innych uprzemysłowionych miejscowościach województwa. Wytwórnia Silników Wysokoprężnych w Andrychowie potrzebuje 600 mieszkań. Duże potrzeby w tym zakresie zgłasza Zakład Chemiczny w Oświęcimiu, Fabryka Farb i Lakierów (przed wszystkim dla przemysłu motoryzacyjnego) w Cieszyńsku itd.

Wpływ na sytuację mieszkaniową ma również dość nietykalna sytuacja demograficzna. W miastach żyje około 43 proc. ludności. Rolnictwo charakteryzuje się dość dużym stopniem rozdrobnienia. Gospodarstwa o powierzchni do 0,5 ha stanowią jedną trzecią wszystkich gospodarstw wiejskich. Wśród ludności wiejskiej znaczny odsetek stanowią chłopcy-robotnicy. Konieczność zastawienia rolnictwa na produkcję towarową, a równocześnie duże zapotrzebowanie na mieszkania w miastach zgłaszane przez tę grupę zawodową wywierają dodatkową presję na budownictwo.

W bieżącym pięciolacie w województwie przybędzie około 20,5 tys. mieszkań. Mimo to okres oczekiwania na mieszkanie wynosi 9-12 lat. W spółdzielniach na własne „M” oczekuje prawie 30 tys. członków i kandydatów.

Władze wojewódzkie, wykorzystując w sposób najbardziej optymalny potencjał wytwórczy przedsiębiorstw budownictwa mieszkaniowego, przyjęły tzw. metodę koncentracji robót. Budownictwo mieszkaniowe realizuje się „uderzeniowo” tam, gdzie jest ono najbardziej potrzebne. Na przykład w Skoczowie w ciągu dwóch lat wykonano zadania całej pięciolatki. Metoda ta przynosi konkretne i wymierne korzyści, ale zaspokojenie najpilniejszych potrzeb nastąpi dopiero w latach 1985-90.

JEDNORODZINNE CZY LETNISKOWE

Budownictwo jednorodzinne może przyczynić się do złagodzenia dużego naporu na budownictwo wielorodzinne. Ale jednocześnie przynosi mu aktywnej roli w rozwiązaniu całości programu mieszkaniowego zwiększy liczbę osób chętnych do posiadania własnego domu.

W województwie bielskim w bieżącym planie pięcioletnim przewidziano zbudowanie 9,5 tys. domków. Później program ten podwyższono do 12,7 tys. Ostatnio przeprowadzona inwentaryzacja wykazała, że w trakcie budowy znajduje się ponad 17 tys. domków jednorodzinnych.

Co oznacza taka eksplozja budownictwa jednorodzinnego?

Wicewojewoda bielski i przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania dr JAN WAŁACH charakteryzuje sytuację w taki sposób:

— Cieszy fakt, że ludzie budują coraz więcej. Trzeba jednak mieć na uwadze, że nasze województwo należy do najbardziej atrakcyjnych zakątków turystycznych i rekreacyjnych w kraju. Trudno nam jednoznacznie stwierdzić, który z nowo budowanych domków jest jednorodzinny, a który pełni wyłącznie rolę „daczki”. Standardem i wyposażeniem najczęściej niewiele się różnią, ale dla poprawy sytuacji mieszkaniowej jest to rozróżnienie istotne. W domu wypoczynkowym mieszka się najwyżej kilkadziesiąt dni w roku; w jednorodzinny okragle 365 dni. Nie odprawiając z kwitkiem tych, którzy chcą budować domki letniskowe, musimy dawać pierwszeństwo budownictwu jednorodzinnemu. Województwo ma przyszanować określoną pulę surowców i materiałów budowlanych i tej granicy nie przekroczyć.

Z bilansu materiałowego wynika jeszcze jedno. Pula surowców i materiałów jest o wiele za mała w stosunku do zgłaszanych potrzeb. Dlatego między innymi znacznie wydłuża się cykl budowy domków jednorodzinnych. Przyszły użytkownik stara się za wszelką cenę „zaczepić” w planie, postawić choćby fundamenty, a potem — kończy swój domek w ciągu 6 lat. Na tak długi okres rozkłada się cykl inwestycyjny w województwie. Zamrozenie materiałów budowlanych jest oczywiście smutną sprawą. Obliczono, że gdyby tylko wykonanych było domów jednorodzinnych, których budowa jest już bardzo zaawansowana, stanowiłoby to ponad 2 tys. mieszkań w budownictwie wielorodzinnym. Jest to więc jednoroczny plan budownictwa mieszkaniowego w stołicy województwa.

JAK SIĘ BUDUJE

Najczęściej przyszły właściciel domu, decydując się na budowę, jest skazany na siebie. Co prawda wiele zakładów pracy udziela pomocy; na przykład w dostawach materiałów nawet do 50 proc. Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu uczestniczą w zbrojeniu terenu i dostawach materiałów, Fabryka Samochodów Małolitrażowych w zbrojeniu terenu. Takich przykładów można wymienić wiele. Są one na pewno dobrej pomocy i rozpowszechnienia. Jednak przy takim pedzie do budownictwa jednorodzinnego nie załatwi to sprawy. W chwili obecnej nie ma instytucji, która budownictwem jednorodzinnym zajęłaby się od projektu do efektu. Co prawda spółdzielczość mieszkaniowa zaczyna już dostre-

gać budownictwo jednorodzinne. W tej pięciolatce wybuduje ona 504 domków, co jest jednak przysłowiową kropką w morzu potrzeb.

Na uboczu zainteresowań spółdzielczości mieszkaniowej pozostaje więc kilkanaście tysięcy domków jednorodzinnych, wznoszonych metodami chałupniczymi. Ma to ujemny wpływ i na budownictwo uspołecznione wielorodzinne. Odczuwa się to zwłaszcza w miesiącach wiosennych i letnich, kiedy sezon budowlany trwa w pełni, z placów budów znikają fachowcy. Dniówka przy budowie domu jednorodzinnego wynosi około 1000 złotych, co jest dostatecznym magnesem przyciągającym siłę roboczą z budownictwa wielorodzinnego.

Metoda chałupnicza jest drogim systemem budownictwa jednorodzinnego. W województwie poczyniono pierwsze próby budowania systemem zblokowanym. Zwarty system budownictwa jednorodzinnego jest realizowany przez spółdzielczość mieszkaniową i niektóre zakłady pracy.

Nie nie wskazuje jednak na to, aby system ten się upowszechnił, z prostego faktu — o paradyksie! — że dla budującego taki domek jednorodzinny jest za drogi! W kosztach bezpośrednich, dla właściciela domu, budowa metodą przemysłową jest droższa. Wymaga ona przygotowania chociażby prowizorycznych dróg dojazdowych do placu budowy, zaangażowania specjalistycznego sprzętu i urządzeń, opłacenia fachowców itp. Nie pomogą tu oczywiście racje ekonomiczne, że koszty społeczne metody przemysłowej są o wiele niższe, ponieważ skracają się wydatki na cykl budowy, oszczędza surowce i materiały, zwiększa wydajność pracy. Takie argumenty do właściciela domu jednorodzinnego nie trafiają, ponieważ nie są bezpośrednio odczuwalne.

WPROWADZIĆ PORZĄDEK

W województwie bielskim dąży się do uporządkowania spraw związanych z budownictwem jednorodzinnym. Wynika to z przestrzennego zagospodarowania regionu, a zwłaszcza ochrony gruntów rolnych. Ponadto województwo — szczególnie na południe od trasy E-7 — ma znakomite warunki turystyczne i rekreacyjne. Ochrona tych terenów przed inwazją domków-koszmarek, z którymi tak uporczywie walczy prof. WIKTOR ZINN, jest naczelnym zadaniem władz wojewódzkich. Równocześnie w Urzędzie Wojewódzkim i Wojewódzkim Zarządzie Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich stale ma się na uwadze fakt, że metodami chałupniczymi nie zrealizuje się programu budownictwa jednorodzinnego.

W Wojewódzkim Zarządzie Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich powołano Wydział Budownictwa Jednorodzinnego, którego zadaniem jest koordynacja i załatwianie formalności związanych z domkiem jednorodzinny. Chodzi o to, aby klient mógł załatwić wszystkie sprawy przy jednym okienku, mając jednocze-

śnie zapewnioną fachową pomoc i doradztwo.

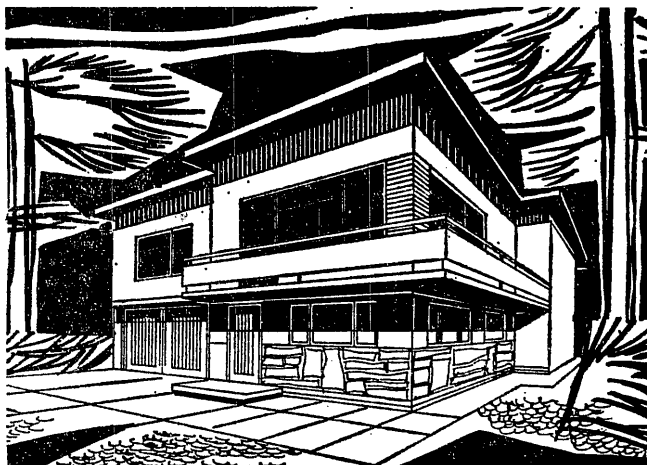
W roku ubiegłym opracowano „Zestaw projektów budownictwa jednorodzinnego dla województwa bielskiego”. W skład zestawu wchodzi 30 projektów sporządzonych przez architektów z Wojewódzkiego Biura Projektów, Biura Projektów Budownictwa Ogólnego Miastoprojekt w Bielsku Białym i Zakładu Spółdzielczo-Mieszkaniowego „Inwestprojekt” CZSMB w Warszawie. Wśród prezentowanych projektów znalazły się domy wolno stojące, bliźniacze, domy szeregowe i atrialne. Dobór dokonano po przeprowadzeniu analiz funkcjonalnych i architektonicznych wielu projektów, biorąc pod uwagę specyficzne warunki województwa, a także konieczność wprowadzania nowoczesnych metod budowy. W większych miastach i gminach utworzono stanowiska architektów, którzy każdy projekt domu jednorodzinnego muszą zatwierdzić pod względem architektonicznym, oszczędności surowców i materiałów, zgromadzonej wielkości materiałów, aby zapobiec przesto- jom w budowie itp. Równocześnie działają w terenie społeczne Komitety Budowy Domków Jednorodzinnych.

NIEZBĘDNY WARUNEK

Na przykładzie jednego województwa widać jednak jak wiele problemów jest jeszcze nie rozwiązanych. Najbardziej odczuwalną i pożądaną z punktu widzenia społecznego byłaby zwarta metoda budowy na skalę przemysłową. Niewielu jednak z niej chce korzystać, ponieważ jest za droga. Nie ma natomiast możliwości stosowania ulg finansowych np. w postaci nieobciążenia właścicieli domków za budowę dróg dojazdowych, niższych opłat za stosowanie drogiego i specjalistycznego sprzętu. Dlatego budownictwo jednorodzinne idzie trochę na żywioł, stosując mało wydajne, materiałochłonne metody chałupnicze.

Dużą siłą motywacyjną — chociaż prawie w ogóle nie wykorzystaną — w realizacji pożądanego struktury i wyboru metod budowy jest polityka kredytowa. W województwie bielskim na kredyty przeznaczono 180 mln złotych. W zasadzie pokrywa to najpilniejsze potrzeby, ale... Kredyt bankowy może być przyznany do wysokości 60 proc. całkowitego kosztu budowy, jednak koszt jednego m kw. nie może przekroczyć 3 tys. złotych, niezależnie od tego, na jakim terenie powstaje domek. Na placu uzbrojonym za tę sumę można nawet wzniesić domek, w stanie surowym jednak na posesji bez infrastruktury technicznej często nie wystarczy na to fundamente.

Metodami dotąd stosowanymi program budownictwa jednorodzinnego nie zrealizuje się. Koniecznym warunkiem jest stworzenie wyspecjalizowanych instytucji odpowiedzialnych nie tylko za projekty, ale i za ich realizację metodami najtańszymi. Materiałochłonnymi przy równoczesnym stosowaniu elastycznej polityki kredytowej.



Wśród trzydziestu kilku projektów domków jednorodzinnych opracowanych dla województwa bielskiego, 14 powstało w pracowniach architektów miejscowych. Trzy z nich prezentujemy naszym Czytelnikom.

GEESOWSKI BOCHENEK NIECO KWAŚNY

JERZY DENISIUK

LUDNOŚĆ wiejska prawie powszechnie spożywa dziś „chleb miejski”, a ściślej mówiąc chleb z geesowskich piekarni. — Czy jej zawsze smakuje, to już inna sprawa. Jednakże również na wsi ludzie chcieliby od czasu do czasu zjeść smaczniejszą bułeczkę, ciasteczek, a z tym jest już gorzej. W wiejskich sklepach brakuje tego asortymentu. Jest to jeden z słabszych punktów geesowskiego piekarnictwa. Jeden, lecz nie jedyny. Zilustrujmy to przykładami z woj. lubelskiego.

KADRY

Zawód piekarza nie ęci ludzi ani społecznym prestiżem, ani zarobkami. Do nauki zawodu jest coraz mniej chętnych. Przed 10 laty tajemnicy sztuki piekarniczej zgłębiało na Lubelszczyźnie około 250 „pierwszoroczniaków”, ale już w 1975 r. (również w starych granicach administracyjnych) na pierwszy rok nauki udało się zwerbować niewiele ponad 20 osób. Jeszcze gorzej było w bieżącym roku. Plan zakładał nabór 20 uczniów, lecz zgłosiło się jedynie kilkanaście osób. Ilu z nich zostanie piekarzami i wytrwa w tym zawodzie, trudno dziś zgadnąć, ale chyba niewielu. Dość stwierdzić, że około 80 proc. chłopów nie wraca już więcej po odbyciu służby wojskowej do swego zawodu.

Geesowskie piekarnie woj. lubelskiego cierpią poza tym na niedobór

doświadczonych kadr, ludzi z długoletnim stażem. Jedynie 8-10 proc. piekarzy, to fachowcy mający za sobą 15-20 lat pracy. Wielu piekarzy wykonuje równocześnie dwa zawody, a więc dogląda nie tylko chleba w piecu, lecz również własnego gospodarstwa, w wielu wypadkach ze szkód dla tego pierwszego. Bywa, że w okresie wzmożonego popytu na pieczywo — a więc w sezonie letnim — brakuje piekarniom 150-170 osób.

I jeszcze jedna uwaga — zawód ten coraz bardziej się feminizuje. Odsetek kobiet w geesowskich piekarniach woj. lubelskiego dochodzi nawet do 70 proc. Podobnie jest w sąsiednich województwach. Jest to z wielu względów sytuacja niekorzystna, bynajmniej nie dlatego, że mężczyźni są urodzonymi piekarzami. Chodzi o to, że procesy produkcyjne w piekarniach są jedynie w niewielkim stopniu zmechanizowane. Większość czynności wykonuje się ręcznie, a to wymaga odpowiedniej siły fizycznej. Ponadto wykonuje się je cały czas na stojąco, co przyspiesza tworzenie się złyków.

W sytuacji deficytu kadr, pogłębionego jeszcze tu i ówdzie przez „podkupywanie” dobrych piekarzy przez konkurencyjne firmy, jest niekiedy bardzo trudno oddziaływać na jakość pracy i produkcji. Wielu prezów GS woli nawet mieć piekarzy partaczy, byleby ich tylko mieć. Nie trzeba rozwozić się chyba nad tym,

że z takiej sytuacji korzystają mało zdyscyplinowane jednostki, do których nie przemawiają ani groźby, a tym bardziej prośby.

W kilku piekarniach — zwierzając się wiceprezes WZSR w Lublinie, CZESŁAW MIROSŁAW — mamy poważne kłopoty z nieodpowiednią jakością pieczywa. Wina to piekarzy i kierownictwa piekarni. Odbywaliśmy z nimi narady, rozmowy. Pospółali się również kary. Niedawno np. wezwaliśmy „na dywanik” kierownika piekarni z Michowa. Zagroziłmy zwolnieniem z pracy, lecz wstrzymujemy się z tym, gdyż na jego miejsce trudno znaleźć kogoś lepszego...

Wielce dokuczliwą sprawą jest także brak personelu pomocniczego. Postanowienia o redukcji etatów dotknęły w wielu GS przede wszystkim sprzątaczk. Obecnie dbałość o czystość, nawet w pomieszczeniach sanitarnych, spadła na samych piekarzy. W tej sprawie miałyby chyba coś do powiedzenia władze sanitarno-epidemiologiczne.

WYPOSAŻENIE

Mimo znacznego postępu w mechanizacji i modernizacji geesowskich piekarni, praca w nich — o czym wspomnieliśmy — bazuje w dużym stopniu na fizycznym wysiłku. Dużym wygóła wyposażenie typowego zakładu piekarniczego? Na to, co możemy nazwać „mechanizacją”, składa

się zazwyczaj mieszanka do ciasta, jakaś ręczna bułko-dzielarka, rogalkarka. I to w zasadzie wszystko. Czyżby piekarnictwo stroniło od nowoczesności? Skądże znowu!

Po prostu — stwierdza ZOFIA SIERADZKA, odpowiedzialna za produkcję piekarniczą w lubelskim WZSR, a pracująca w tej branży od 18 lat — przemysł nie nadąża za naszymi potrzebami. Najbardziej niezbędnymi maszynami są mechaniczne urządzenia dzielące-formujące do ciast żytnich i pszennych. Zapotrzebowanie jest bardzo duże, a dostawy minimalne. Bywa, że nowo uruchamiane piekarnie czekają na nie po kilkanaście miesięcy. Nie dość, że trudno je dostać, to na dodatek mają jeszcze wady konstrukcyjne. Dotyczy to zwłaszcza dzielarów półautomatycznych produkowanych przez oddział „Sposaszu” w Bełżyczach. Sytuację ratowały do niedawna dostawy dzielarów ręcznych z Pleszewa. Tymczasem Pleszew zarzucił produkcję, a w Bełżyczach ją wstrzymmano. I tak stanęliśmy przed przesytką zupełnego braku tych maszyn.

Swego czasu, jakieś 5-6 lat temu, dużo mówiło się w naszej branży o urządzeniach do mechanicznego załadunku trzonu. Był nawet opracowany prototyp takiego urządzenia i przechodził próby w Bochni. Opinie o nim były bardzo pochlebne. A potem sprawa uciechła i tak jest po dziś dzień.

Albo sprawa przesiawczycy do maki. Większość przesiawczy, w które wyposażone są nasze zakłady piekarnicze, to przesiawczycy jedynie z nazwy. Taki „przesiawacz” potrafi przepuścić miazę, nie mówiąc już o guziku, czy czymś mniejszym. Do tego jeszcze wiele piekarni nie ma nawet takich urządzeń. A przecież zostali opracowani przez ZRM we Wrocławiu prototyp nowoczesnego przesiawczycy uszługowego, łatwego w obsłudze i konserwacji. Przeszedł

próby w Szubinie, ale przemysł nie podjął się jego produkcji...

— Za to — wtrąca wiceprezes CZ. MIROSŁAW — produkuje wiele innych bubli. Na przykład trzepakki do worków. Wytworzą je zakłady w Rzeszowie. Mają one rażące wady konstrukcyjne, na co zwracaliśmy uwagę na centralnych naradach branżowych jeszcze w ubiegłym roku. Kilka takich urządzeń stoi w naszych piekarniach zupełnie nie wykorzystanych, a trzepakki worków odbywa się ręcznie, jak za króla Cwieczka.

SUROWIEC

Stara to prawda, że jaka mąka — taki chleb. Jakość maki nie budzi na ogół zastrzeżeń. Natomiast sporo krytycznych uwag uzbierało się na temat sposobów i warunków jej przewożenia. Do transportu maki bardzo często używa się środków lokomocji w ogóle nie przystosowanych do takiego zadania, jak np. samochodów wypożyczanych okazjonalnie z zakładów mięsnych. Zdarza się, że tak przewożone worki z mąką są zawilgocone, ubrudzone. Do tego jeszcze niektóre zakłady młynarskie wpadły na „racjonalizatorski” pomysł i przestały sznurować worki szpagatem, a zawiązują je na węzły. W czasie transportu worki łatwo się rozwiązują, mąka wysypuje się z nich i powstają straty.

Inny problem, to magazynowanie surowca. Z reguły geesowskie piekarnie nie posiadają odpowiedniego zaplecza magazynowego. Dlatego mąka prosto z młyna, prawie „ciepła” idzie do dzieży. Odbija się to ujemnie na jakości pieczywa. Rzecz w tym, że mąka do bieżącego wypieku powinna mieć co najmniej 2-miesięczny okres leżakowania. Tylko z takiego surowca wydzie smaczne i wyrośnięte pieczywo. Jest to chyba ogólnokrajowa bolączka, bo wiem w roku ubiegłym w skali ca-

łego CZSR „Samopomoc Chłopska” około 20 proc. pieczywa było w niezgodzie z normą (w woj. lubelskim — 8,8 proc., w zamojskim — 30,7 proc.).

Na szeroko pojętą jakość pieczywa mają również wpływ sposoby dostarczania go do wiejskich sklepów. A z braku specjalistycznego transportu dostarcza się je czym popadnie — przyczepami ciągnikowymi, „wielozadaniowymi” samochodami itp. Spośród 49 piekarni w woj. lubelskim, prawie połowa, bo 23 nie posiada transportu specjalistycznego.

NIE SAMYM CHLEBEM...

Jak wspomnieliśmy na wstępie, ludność wiejska poza chlebem chciałaby jeść więcej białego pieczywa, ciastek i innych wyrobów. Ich spożycie, a zwłaszcza spożycie ciastek, jest jeszcze na bardzo niskim poziomie. Zresztą nie tylko na wsi. Statystyczny Polak spożywa w ciągu roku około 5 kg ciastek podczas gdy mieszkaniec Czechosłowacji — 9 kg, a NRD nawet 17 kg.

Jakże mizernie, nawet na tle krajowego spożycia, prezentują się dotychczasowe produkcyjne dokonania geesowskich piekarni i ciastkarni woj. lubelskiego. Przed 10 laty wytwarzały one 14 gramów ciastek na jednego mieszkańca regionu, w 1970 roku — 10 dkg, zaś w ubiegłym roku „aż” 89 dkg. Dalszy postęp na tym odcinku uzależniony jest w dużej mierze od polepszenia bazy lokalowej piekarni, polepszenia warunków sanitarno-higienicznych zarówno w samych zakładach piekarniczych, jak i w sklepach prowadzących sprzedaż ciastek.

Ostatecznie, pal licho ciastka, byłoby było więcej, a do tego w większym wyborze pieczywa białego. I to jest cel, do którego obecnie przemierzają się geesowskie piekarnie nie tylko w woj. lubelskim.

SPOSÓB NA EFEKTYWNOŚĆ

LECH FROELICH

— OTRZYMALISMY do rąk wysoko wydajny, sprawny, nowoczesny, ale i bardzo kosztowny, aparat produkcyjny. Naszą sprawą jest każda tonę ropy przetworzyć tak, aby uzyskać wartość optymalną. Może nie mamy wpływu np. na politykę zakupów ropy, ale na efektywność wykorzystania posiadanej majątku na pewno możemy oddziaływać — mówi dyrektor naczelny Gdańskiej Rafinerii, mgr inż. ANDRZEJ WORONIECKI.

Pięć lat temu, w widłach Martwej Wisły i Kanału Rozwójka ruszyła wielka budowa — Rafineria Gdańska. Zdecydowaliśmy się wybudować rafinerię nowoczesną, wyposażoną w najnowocześniejsze urządzenia technologiczne, pozwalającą na uzyskiwanie produktów naftowych na światowym poziomie.

INWESTYCJE SPRĘŻONE

Cechą wyróżniającą Gdańską Rafinerię jest jej pełne zespolenie z Portem Północnym, konkretnie — z bazą paliw płynnych, która przy głębokim pirsie przyjmować może największe tankowce pływające po Bałtyku. Są to inwestycje sprzężone: port naftowy buduje się dla rafinerii, rafineria ma rację bytu tam, gdzie droga wodna zapewnia dogodny, tani transport. System rurociągów w sposób zautomatyzowany, elektronicznie kontrolowany „przetacza” przy pomocy pomp ropę z ładowni zbiornikowców do zbiorników surowcowych rafinerii. Zarazem transport produktów naftowych przeznaczonych na eksport: benzyny, oleju napędowego, oleju opałowego, również bunkru — paliwa dla silników okrętowych, odbywa się w kierunku odwrotnym, czterema nitkami rurociągów.

Koncepcja generalna rafinerii była polska, głównym biurom projektów był „BIPRONAFT” z Krakowa. Natomiast dokumentację realizacyjną w zakresie części technologicznej dostarczyła włoska firma Snam Progetti. Przy tworzeniu dokumentacji szczegółowej współpracowało aż 26 branżowych specjalistycznych biur projektowych. Również w wykonawstwie — jak to zwykle bywa na wielkich budowach — poza generalnymi wykonawcami brali udział około 40 przedsiębiorstw budowlano-montażowych z całego kraju.

Na pierwszym etapie budowy, tzw. bloku paliwowego, generalnym wykonawcą było Płockie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „Petrobudowa”. Na drugim etapie realizacyjnym, przy budowie bloku olejowego, pałeczkę generalnego wykonawcy przejęło Gdańskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Przerób postanowiono o-przeć przede wszystkim na dostawach ropy z Zakum i Kuwejtu. Kompletnie urządzenia przemysłowe dostarczają takie renomowane firmy, jak: Cocci z Francji, Lentjes z

RFN, Lurgi, Bergum, Machine-Implanti Nuovo-Pigone z Włoch.

W swoim założeniu Rafineria Gdańska miała zaopatrzyć Polskę północną w produkty naftowe, ograniczając do minimum kosztowne i dalekie przewozy tych produktów z rafinerii położonych w głębi kraju, ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb gospodarki morskiej. Chodziło m.in. o zaopatrzenie polskiej floty w produkty naftowe przy najniższych kosztach, po najtańszych cenach. Jednocześnie wysoki standard tych produktów powinien umożliwić ich opłacalny eksport.

9 ZAMIAST 16

W lipcu 1975 r. do bazy przeładunków produktów naftowych nowego Portu Północnego przybił MT „Zawrat” — pierwszy tankowiec z ropy dla gdańskiej rafinerii. Roboczy egzamin przeszły pompy. Pierwsza ropy popłynęła do zbiorników. Wreszcie pod koniec 1975 r. załogi budujące rafinerię złożyły meldunek o zakończeniu pierwszego etapu prac przy bloku paliwowym. Cały ten zespół instalacji przeszedł pomyślnie rozruch technologiczny. Po miesiącu tankowiec „Beskidy” załadował do swych zbiorników 12 tys. ton pierwszych produktów przeznaczonych na eksport.

Wcześniej niż oczekiwano nastąpiło osiągnięcie przez nowy zakład projektowanej zdolności produkcyjnej. Przez dwa miesiące blok paliwowy pracował pod pełnym obciążeniem. Dało to podstawę do wnioskowania, że jest w stanie przetworzyć w skali roku 3,1 mln ton ropy.

W efekcie w pierwszym roku eksploatacji, tzn. w 1976 r., Rafineria Gdańska wytworzyła produkty o wartości sprzedaży, według cen zbytu, 5612 mln zł (w tym przeszło połowę stanowił eksport). Plan na rok bieżący zakłada sprzedaż wyrobów naftowych o wartości 8651 mln zł (w tym 46 proc. eksport). Dziś można już przewidywać, że plan ten będzie przekroczony i rafineria dostarczy produkty o wartości około 9200 mln zł.

Efekty produkcyjne rafinerii uzależnione są, po pierwsze, od „dostaw” ropy. Obecnie instalacje nie są w pełni wykorzystane. Teoretycznie, z istniejących urządzeń można by przy pełnym obciążeniu uzyskać produkty o łącznej wartości około 16 mld zł. Efekty ekonomiczne uzależnione są od tzw. „głębokiego przerobu”. Im mniej wśród produktów finalnych tzw. ciężkich, w rodzaju oleju opałowego (orientacyjna cena na rynkach światowych — 70—80 dol./t), a więcej olejów smarowych (których cena sięga 300 dol./t i więcej) — tym, oczywiście, efektywność pracy rafinerii wyższa. Blok olejowy stanowi właśnie ten wyższy technologicznie stopień przetwarzania.

BLOK OLEJOWY NA STARCIE

Na blok olejowy składa się sześć instalacji podstawowych. Kolejno, od lutego br. poczynając, a 31 czerwca kończąc, budowniczy rafinerii przekazywali poszczególne instalacje do rozruchu technologicznego. Wiadomo jednak, że dopiero pełne zgranie i zintegrowanie całego kompleksu „w ruchu” pozwala uzyskać czyste półprodukty wysokiej jakości, które w wytwórni olejów przez stosowne mieszanie pozwala uzyskaćwać najwyższej jakości oleje: marine — dla silników okrętowych, superole — dla silników wysokoprężnych, selektole — dla silników gaźnikowych.

Budowę bloku olejowego zakończono w planowanym terminie. Trzeba jednak dodać, że cykl budowy został oficjalnie o rok wydłużony. Było to konieczne. Złożyło się na to kilka przyczyn: nadmierne spiętrzenie robót, tu na gdańskim placu budowy i w kraju, na innych budowach pierwszego rzędu, gdzie brygady specjalistyczne „Mostostalu”, „Elektromontażu”, „Izokoru”, „Korchemu” itd. itd miały ręce pełne roboty. A także konieczność dokonania pewnych zmian projektowo-technicznych, mających na celu uwspółcześnienie instalacji oraz sięgające pół roku opóźnienia w dostawach aparatury, w tym z importu. Jakich byśmy jednak argumentów usprawiedliwiających użyli, fakt pozostaje faktem: Rafinerii Gdańskiej nie można zaliczyć do inwestycji przemysłowych zrealizowanych sprawnie. Podjęto ją przed „kryzysem naftowym”, w rachunku ekonomicznym rafinerii uwzględniono jeszcze „tanią ropę”. Rok opóźnienia — poza ewidentną utratą produktów, które można było z naszych instalacji otrzymać, a trzeba było importować — wprowadził również, przy zmiennych cenach ropy, istotne korektury w kalkulacji efektów. Obecnie blok olejowy już produkuje, dostarcza dla gospodarki asfalty oraz do zbiorników tzw. olej bazowy.

Przewiduje się, że w grudniu br. blok olejowy osiągnie swoją zdolność produkcyjną — czyli będzie w stanie, przy pełnym obciążeniu, dostarczać 260 tys. ton oleju (100 tys. ton oleju SAE 10 W i SAE 30 W oraz około 60 tys. ton oleju typu bigstock). Dla naszych zamierzeń największe znaczenie ma ten ostatni, dotychczas w całości importowany ze strefy wolnodewizowej.

Przewiduje się, że w roku przyszłym, zgodnie z planem, Rafineria Gdańska dostarczy łącznie 150 tys. ton oleju. Sprawą najistotniejszą jest w tej chwili opanowanie produkcji z zachowaniem wysokich parametrów jakości w grupie superoli (do silników gaźnikowych), największe ze wszystkich stosowanych w kraju. Zmniejszenie zużycia wsadu pierwotnego w tej grupie obiecuje największe efekty.

WOBEC KONIECZNOŚCI

Dotychczasowe nakłady na budowę Gdańskich Zakładów Rafineryjnych wyniosły 12 mld złotych. Inwestycja ta, z punktu widzenia potrzeb gospodarki narodowej, rozwoju motoryzacji, transportu drogowego, morskiego, lotniczego — jest niewątpliwie potrzebna. Jak jednak przedstawia się ekonomiczna efektywność tego przedsięwzięcia? „Jak” są obecnie te potrzeby zaspokajane i „za ile”? Im poważniejsza bowiem inwestycja, im większe środki są w niej zaangażowane, tym bardziej niezbędny jest skrupulatny rachunek ekonomiczny.

Mimo osiągnięcia projektowanej zdolności produkcyjnej, rafineria wykorzystuje obecnie niespełna 3/4 swego potencjału.

— Oczywiście, rafineria nie ma wpływu na politykę zakupów ropy. Przetwarza tę ropę, która jej zostanie przyznana. Sądzę jednak — mówi z-ca dyrektora Rafinerii d/s Technicznych, mgr inż. WOJCIECH SWI-NARSKI — że nie należy przesadnie niepokoić się niepełnym wykorzystaniem mocy produkcyjnych. Średnie obciążenie wielu rafinerii w krajach Europy Zachodniej sięga 60 proc. U nas jest więc wyższe. Ponadto wydaje się, że przy obecnym, znacznie już

rozbudowanym w Polsce przemyśle rafineryjnym, konieczne jest utrzymanie niewielkiej rezerwy, co daje szansę pewnej elastyczności produkcyjnej, a także może stanowić awaryjną rezerwę.

Argumenty te nie są przekonywające. Potrzeby inwestycyjne zawsze były — nadal będą — większe niż możliwości. Z tego punktu widzenia szkoda tych zamrożonych środków, zwłaszcza że opłacalność utrzymania rezerwy w przemyśle rafineryjnym wobec rosnących — ze względu na poziom cen — trudności z nabywaniem ropy jest bardzo dyskusyjna.

Jest natomiast prawdą, że w momencie projektowania Rafinerii Gdańskiej trudno było przewidzieć tak gwałtowną zmianę cen ropy. Stąd też powstała nie zamierzona rezerwa zdolności wytwórczych.

W Rafinerii Gdańskiej zdano sobie sprawę z tego, że tę lukę w opłacalności można jednak przynajmniej w pewnym stopniu zniwelować. Rezerwa efektywności kryje się w pogłębiomym przerobie tej ropy, którą rafineria otrzymuje do dyspozycji. Chodzi o uzyskanie z niej produktów możliwie wysokiej jakości i wysokiej wartości.

Obecnie z jednej tony ropy uzyskuje się w Gdańskiej Rafinerii około 20 proc. benzyny, 28 proc. olejów napędowych, 14 proc. asfaltu, 12 proc. olejów silnikowych, 4 proc. gazów płynnych, 16 proc. olejów opałowych, 1,2—2 proc. siarki, 3 proc. tzw. gazu parafinowego i wreszcie około 1 proc. stanowią gazy zrzutowe, spalane z konieczności w płonącej pochodni. Im więcej uzyska się z każ-

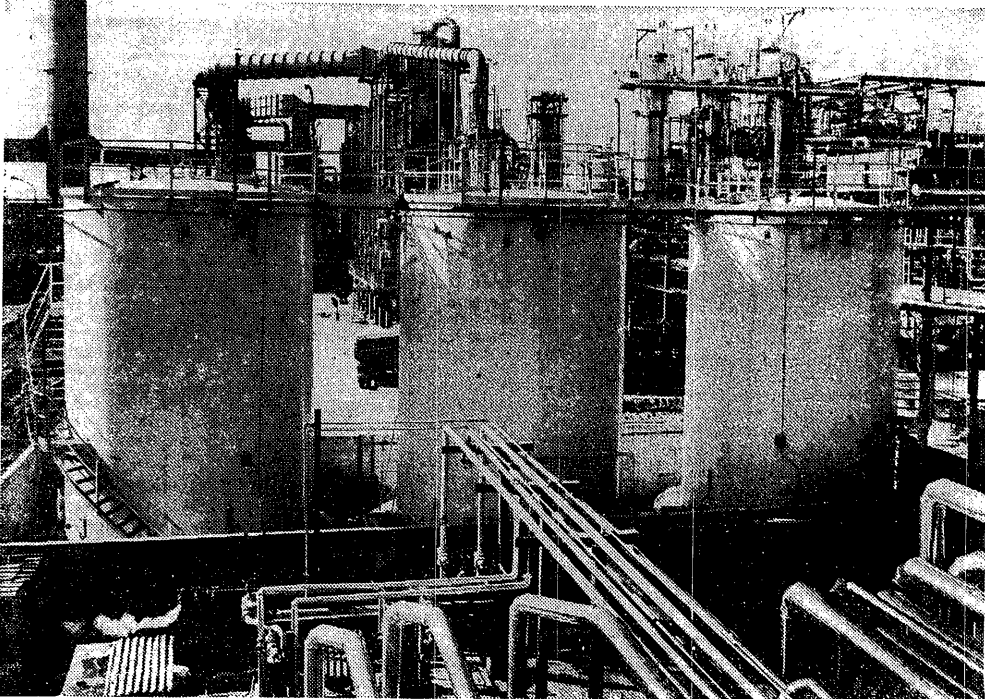
dej tony olejów smarowych i asfaltów, tym relacje ekonomiczne będą korzystniejsze.

Dlatego w Rafinerii podejmuje się produkcję nowych, cennych i poszukiwanych asortymentów, np. olejów transformatorowych (na bazie oleju opałowego), surowej parafiny, rozpuszczalników do farb i lakierów. W ubiegłym roku wydajność pracy mierzona wartością produkcji (w cenach sprzedaży), przypadająca na 1 zatrudnionego, wyniosła 3014 tys. zł, z roku bieżącego ma osiągnąć 3811 tys. zł.

— Jest to, jak widać, wskaźnik wysoki, uzyskiwany nie tylko grą cen — mówi dyr. Swinarski. — ale i technologicznym wysiłkiem.

Istotną cechą rafinerii gdańskiej jest jej uniwersalność: możliwość przetwarzania ropy różnego pochodzenia. Na przykład: (Gdańsk spieję jest z Płockiem rurociągiem) ropę romaszkińską, tę, którą sprowadzamy rurociągiem „Przyjaźni”. Mimo odmiennego składu naturalnego, uzyskano z niej w Gdańsku o kilka procent produktów jasnysz więcej, niż się to udało w Płocku. Świadczy to o technicznym poziomie instalacji, ale również o wysokich już umiejętnościach załogi.

Pomyślnie przebiegają próby wytwarzania na żądanie importera benzyny o liczbie oktanowej 98. Uniwersalność instalacji pozwala na elastyczne, zależne od zmiennego zapotrzebowania, sterowanie produkcją. Wiadomo, na przykład, że w lecie, wobec sezonowego ożywienia prac budowlanych i rolnych, zwiększa się zapotrzebowanie na olej napędowy dla maszyn pracujących w tych działach gospodarki. Letni sezon turysty-



Blok paliwowy Gdańskich Zakładów Rafineryjnych już od dwóch lat dostarcza swoje produkty gospodarce narodowej — jednak dopiero „głęboki przerób” ropy, uruchomienie bloku olejowego pozwala na uzyskiwanie produktów cennych i poszukiwanych; daje szansę uzyskania wyższej ekonomicznej efektywności.

Fot. J. JABLONSKI

Z DZIAŁALNOŚCI PTE

DROGA DO RÓWNOWAGI

MAREK MISIAK

3 listopada 1977 r. w auli SGPiS w Warszawie ekonomiści, naukowcy i praktycy dyskutowali na temat równowagi ekonomicznej dochodów i cen. Konferencję zorganizowały: Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Szkoła Główna Planowania i Statystyki oraz Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR).

KONFERENCJA była prowadzona w sposób dość nowatorski. Zaraz po otwarciu konferencji przez prof. STANISŁAWA NOWACKIEGO zabrano głos w charakterze tzw. moderatorów, czyli zagajających, pięciu znanych naukowców i działaczy gospodarczych w kolejności następującej: WŁADYSŁAW ZASTAWNY, JANUSZ BEKSIĄK, EDWARD WISZNIEWSKI, ZBIGNIEW MADEJ I WOJCIECH PRUSS. Zagajania były krótkie i zwięzłe. Miesiąc w tym czasie do 20 minut każde. Następnie wypowiedzieli się członkowie panelu: MIECZYSLAW MIECZYSLANKOWSKI, TADEUSZ KIERCZYŃSKI, ANTONI RAJKIEWICZ, URSZULA WOJCIECHOWSKA, MAKSYMILIAN POHORILLE, TOMASZ APFELTOWICZ, WIESŁAW KRENCIK. Wypowiedzi były również bardzo zwięzłe, do 15 minut każde. Objęmość one problemy poruszone przez różnych zagajających. Ostatnią, trzecią część

konferencji wypełniły wypowiedzi z audytoryum liczącego około 200 osób. Mówili naukowcy i praktycy: JÓZEF PAJESTKA, WACŁAW WILCZYŃSKI, MIECZYSLAW KUCHARSKI, LUCJAN SIEMION, ALBIN PŁOCICA, MIECZYSLAW RAKOWSKI, TERESA PAŁASZEWSKA-REINDL, TEODOR KRAMER, WIKTOR HERER, BARBARA PŁANDECKA, WACŁAW PRZELASKOWSKI i RYSZARD PŁUTA. Obrady podsumował prof. JAN MUJZEŁ. Zamknięcia dokonał prof. STANISŁAW NOWACKI. Sekretarzem naukowym był RYSZARD ZABRZEWSKI, a organizacyjnym — KAZIMIERZ CWYNAR.

Zagajanie prof. WŁADYSŁAWA ZASTAWNEGO miało charakter wprowadzenia do konferencji. Poimie tego przemówienia była teza, że drogi do równowagi nie można szukać tylko w sferze produkcji bądź tylko w szeroko pojętej sferze organizacji (planowanie, zarządzanie, polityka płac i cen), ale i w jednym, i w drugim. Wskazując na sferę produkcji materialnej, jako główną drogę prowadzącą do równowagi, podkreślał on przede wszystkim sprawę doskonalenia struktury produkcji zarówno w układzie ogólnych kierunków przeznaczania, jak i konkretnych przedstawień asortymentowych oraz w sferze jakości. Produkcja rynkowa stanowi dzisiaj 31,9 proc. produkcji przemysłowej. Zwiększenie tego udziału choć o pół punkta daje przy obecnej skali pro-

dukcji przemysłowej blisko 10 mld zł.

Udział dostaw zaopatrzeniowych w całości produkcji przemysłowej sięga 54 proc. Nie jest jednak łatwo tak zmniejszyć udział produkcji zaopatrzeniowej, by nie wpływało to o granicząco również na możliwości rozwoju produkcji rynkowej. Jest jednak prawdą, że 2/3 ludności zawodowo czynnej zatrudnionej w sferze materialnej zajmuje się produkcją paliw, surowców i materiałów (wliczając w to surowce rolne). Rodzi to określone konsekwencje wynikające z praw reprodukcji gospodarczej, koniecznej produkcji działu pierwszego na potrzeby działu pierwszego i drugiego.

Prof. ANTONI RAJKIEWICZ również nawiązywał do problemów strukturalnych sfery produkcji, podkreślając związek między działaniami podejmowanymi w tej dziedzinie a szczególną sytuacją demograficzną i społeczną naszego kraju. Z sytuacji tej wynika, że droga do równowagi ekonomicznej w Polsce wymaga rozwiązywania bardzo trudnych i skomplikowanych problemów: żywnościowego i mieszkaniowego.

Zagajający i dyskutanci opowiadali się z reguły za koniecznością szybkiego rozwoju sektora żywnościowego mimo jego wysokich kosztów. Podkreślali jednak, że pewne dziedziny rolnictwa charakteryzują się zbyt niską efektywnością, co powinno spotykać się ze skutecznijszym

przeciwdziałaniem ze strony polityki rolnej. Niektórzy dyskutanci (WIKTOR HERER, MIECZYSLAW RAKOWSKI), zwracając uwagę na wysokie koszty sektora żywnościowego, wskazywali na konieczność, dalszy wzrost udziału przemysłu w rozwiązywaniu problemu równowagi.

Podkreślano także w dyskusji znaczenie założeń dotyczących przyspieszenia programu budownictwa mieszkaniowego. Zwracano uwagę (WITOLD NIECIUŃSKI), że realizacja dotychczasowych programów charakteryzuje się znacznymi opóźnieniami, chociaż programy te z ledwością nadążają za wzrostem potrzeb mieszkaniowych.

Ocenie roli inwestycji w polityce rozwoju i równowagi poświęcił swoje przemówienie doc. ALBIN PŁOCICA. Stwierdził on m.in., że inwestycje w naszej praktyce gospodarczej rozpatrywane są zbyt jednostronnie z punktu widzenia wzrostu gospodarki, a niedostatecznie z punktu widzenia równowagi. Podkreślił on równocześnie znaczenie przyspieszenia inwestycyjnego mionego 5-lecia, które wprawdzie przyczyniło się do pewnych komplikacji w dziedzinie równowagi, ale na zupełnie innym poziomie rozwoju w porównaniu z rokiem 1970.

W zagajeniu prof. JANUSZA BEKSIĄKA stosunkowo dużo miejsca zajęły problemy pojęciowe i metodologiczne. Potocznie wiadomo, że

na pojęcie równowagi ekonomicznej składa się równowaga rynkowa, pieniężna, inwestycyjna, zaopatrzeniowo-kooperacyjna i równowaga zewnętrzna. W zagajeniu Janusza Beksiąka istotne wydaje się zwłaszcza dynamiczne podejście do pojęcia równowagi. Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: czy występuje proces dochodzenia do równowagi i jej umacniania, czy też odchodzi od niej? Odpowiedź na te pytania zależy od zamierzeń organów centralnych, przedsiębiorstw i konsumentów.

W zależności od tego, w jakim kierunku te zachowania i zamierzenia zmierzają i w jakim stopniu są zgodne lub rozbieżne — mamy do czynienia z procesem dochodzenia lub odchodzenia od równowagi ekonomicznej.

Opowiadając się generalnie za rozwojem zrównoważonym, J. Beksiąk próbował określić platformę jarzenia równowagi z szybkim wzrostem gospodarczym. Ten ostatni traktowany jako konsekwencja szybkiego wzrostu zatrudnienia oraz polityki innowacyjnej nie musi nieodwołalnie prowadzić do zjawisk inflacyjnych. Zaczynać, że do zjawisk inflacyjnych nie zalicza pewnego, umiarkowanego spadku siły nabywczej pieniądza, będącego zamierzoną konsekwencją wzmocnionego opłacania wzrostu wydajności pracy, a także określonego rozszerzenia uprawnień przedsiębiorstw w dziedzinie cen i płac.

Do warunków kojarzenia polityki równowagi z szybkim wzrostem należy według J. Beksiąka zawarcie w programie wzrostu określonych „luzów”; wykorzystanie regulatora pieniężnego umożliwiającego wzbogacenie planu w toku jego realizacji, ale do granic wyznaczonych tymi „luzami”; bieżące operowania cenami i kontrola nad ruchem cen; niestosowanie tzw. ekspansywnych narzędzi pobudzania (rezygnacja z wielokrotności brutto jako podstawy kształtowania funduszu płac i kryterium oceny wydajności pracy i wykonania planu); przeciwdziałanie negatywnym aspektom monopolu dostawcy, tworzenie elementów

konkurencji między dostawcami, wreszcie stosowanie również innych sposobów oddziaływania na dostawców, ograniczających powstawanie masowego zjawiska rynku dostawcy wraz z jego ujemnymi następstwami społecznymi.

Sprawy pojęciowe i metodologiczne nie były głównym wątkiem dyskusji konferencyjnej. Stosunkowo najwięcej uwagi poświęcono tylko pojęciu równowagi pieniężno-rynkowej. Dyskutanci podkreślali (prof. MAKSYMILIAN POHORILLE i inni), że interpretacja pojęcia równowagi globalnej rynku wewnętrznego nie może przyjmować za warunek wystarczający równość bilansową ogólnej wartości podaży i popytu. Uznając, że uzyskanie pełnej równowagi na wszystkich rynkach towarowych jest w ogóle bardzo trudno osiągalne, kryterium powinna być ocena zjawisk, które dominują na podstawowych rynkach towarowych.

Prof. EDWARD WISZNIEWSKI poświęcił swoje zagajenie konkretnym poczynaniom aparatu handlu zmierzającym w kierunku pełniejszego nadążania podaży asortymentowej za popytem. Narosło w ostatnich trzech latach nierównowagi asortymentowe mogą być w znacznym stopniu wyeliminowane przez lepsze dostosowanie produkcji i podaży do popytu. Są bowiem znaczne możliwości produkcyjne, które powinny być lepiej wykorzystane dla właściwego doskonalenia struktury podaży rynkowej do popytu.

E. Wiszniewski zreferował zasadę opracowywanej przez aparat handlu listy 200 kilku tzw. artykułów standardowych, nazywanych również listą artykułów pilnie poszukiwanych. Lista ta staje się instrumentem oddziaływania na produkcję częściowo bezpośrednio przez sześciel centralny (tutaj służy im dyscyplina realizacji planu centralnego), a w pozostałej części za pośrednictwem ministerstw i jednostek, które powinny bieżąco kontrolować zarówno wykorzystanie możliwości produkcyjnych pod kątem asortymentów wykazanych w liście, jak i współdzia-

PROPONUJĘ KWOTĘ ZYSKU

JAN KRAWCZYK

czy wywołuje również zwiększone zapotrzebowanie na benzynę. Rzecz w tym, by te zmiany w strukturze potrzeb uwzględnić w reżimie pracy instalacji. By móc uwzględnić również żądania importerów. Rafineria jest przystosowana do produkcji olejów według najwyższych standardów. Inne są wymagania jakościowe wobec produktów eksportowanych, inne wobec wyrobów przeznaczonych dla kraju.

— W tym drugim przypadku trzymamy się polskich norm — mówi dyr. Swinarski — a są one dość tolerancyjne. Natomiast, kiedy w grę wchodzi eksport, musimy się trzymać norm obowiązujących na tamtych rynkach.

Pewne rezerwy poprawy efektywności kryją się także w zatrudnieniu. Obecnie w Rafinerii Gdańskiej pracuje 2200 osób. Jest to personel znacznie wyższy od obsady w podobnych rafineriach krajów wysoko rozwiniętych.

— Obawiałbym się jednak bezkrytycznych porównań — mówi dyr. Swinarski. — U nas rafineria jest w istocie organizmem samowystarczalnym, natomiast tam, w niezwykle szerokim zakresie korzysta się z usług, a więc ci, co rafinerię remontują, wytwarzają części zamienne, obsługują transport, pełnią służbę w straży przemysłowej — nie są zaliczani do załogi rafinerii, oni świadczą usługi na zlecenie. Można oczywiście dyskutować, który system jest lepszy, nie można ich jednak porównywać bezpośrednio. Z drugiej strony niewątpliwie w okresie rozruchu technologicznego mieliśmy pewne przerwy zatrudnienia. Z chwilą pełnego opanowania technologii, oswojenia się obsługi ruchu z nową techniką, będziemy dążyć do zmniejszenia obsługi instalacji. Na przykład, widzimy na bloku paliwowym, który ruszył pierwszy, możliwość zmniejszenia personelu ruchu o około 15 proc. Zaoszczędzony tym samym fundusz płac pozwoli lepiej wynagradzać, awansować tych, którzy ten proces w szerszej liczbie będą prowadzić. Myślę, jednak, że rafineria, od strony technologicznej, została przez włoskich specjalistów rafineryjnych obliczona i zaprojektowana oszczędnie...

Wobec niepełnego obciążenia Rafinerii Gdańskiej, wobec rozpoczęcia prac budowlano-montażowych w Blachowni przy wznowieniu rafinerii południowej, nie wydaje się, aby już dziś paląca była sprawa dalszych inwestycji.

Na dziś sprawą najważniejszą jest poprawa jakości produkcji. Szansą dla niej są rezerwy zdolności produkcyjnych. Ale są one także poważnym bodźcem dla polepszenia jakości. W sytuacji, w której znalazła się obecnie Rafineria Gdańska, tylko w ten sposób można uzyskać postęp w efektywności.

— Dopiero za parę lat po roku 1980 — mówi dyr. Swinarski — rosnące zapotrzebowanie kraju na produkty naftowe niewątpliwie znów postawi przed nami problem nowych rafineryjnych inwestycji. Gdańsk jest do nich przygotowany, dysponuje terenami rozwojowymi, infrastrukturą, doświadczeniem, kadrami.

łać w aktualizowaniu listy. Jedną trzecią asortymentów wykazanych w liście artykułów standardowych powinna zostać dostarczona w ilościach pokrywających potrzeby rynku już w 1978 r. Pozostałe zjawiska nierównowagi asortymentowej obejmujące ok. 180 wyrobów, powinny zostać wyeliminowane w roku 1979 oraz w roku 1980.

Wśród dalszych działań służących lepszemu dostosowaniu asortymentu podaż do potrzeb rynku E. Wisniewski wymienił: wykorzystanie funduszu aktywizacji produkcji rynkowej, który jest w rękach Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług instrumentem pobudzającym do doskonałości struktury asortymentowej podaż, wprowadzania wyrobów nowych i zmodyfikowanych oraz poprawiania jakości produkcji rynkowej; rozwinięcie ekonomiczno-finansowego oddziaływania handlu na przemysł za pośrednictwem ulg od marż i innych sposobów elastycznego pomniejszania albo powiększania marż; rozwinięcie oddziaływania na podnoszenie jakości produkcji przez znakowanie jakościowe artykułów oraz silniejsze uzależnianie warunków odbioru towarów od ich poziomu jakościowego (zadanie trudne w warunkach niedoborów ilościowych); ograniczanie „dobrej sytuacji”; co osłabia siłę nabywczą pieniądza (za tym działaniem obseksnie wypowiedział się w dyskusji m.in. również prof. A. RAKIEWICZ); wykorzystanie tzw. wymiany komercyjnej oraz importu konsumpcyjnego do przemieszczania się sukcesywnego przewidywania nierównowagi asortymentowej oraz kształtowania warunków konkurencyjnych dla produkcji krajowej, pobudzających do ostatnią do podnoszenia jakości i atrakcyjności podażi.

Do tematyki handlu najbardziej nawiązywały dwie wypowiedzi dyskusyjne: doc. TERESY PAŁA-SZEWSKIEJ-REINDL oraz prof. TEODORA KRAMERA. T. PAŁA-SZEWSKA wskazywała, że niewystarczające jest rozwijanie form administracyjno-dyrektywnych wzrostu produkcji rynkowej i doskonałości jej asortymentu. Struktury organizacyjne handlu i przemysłu są zorientowane na realizację zadań, które wymagają więc bardziej precyzyjnych instrumentów regulacji. Natomiast T. KRAMER podkreślił, że szczególne znaczenie w długofalowym rozwiązywaniu problemów

równowagi rynkowej ma „pas transmisyjny”, wiążący ze sobą bezpośrednio niższe ogniwa aparatu handlu i przemysłu.

Dr ZBIGNIEW MADEJ poświęcił swoje przemówienie dwóm sprawom. Pierwsza dotyczyła przyczyn powstałego w ostatnim czasie wyprzedzenia wzrostu produkcji przez wzrost dochodów oraz odpowiadającym im aktualnym kierunkom przeciwdziałania ze strony polityki gospodarczej. Druga natomiast polegała na określeniu zasadniczych warunków polityki równowagi ekonomicznej, która będzie realizowana w naszym kraju w latach nadchodzących. Przyczyny wyprzedzenia produkcji przez dochody są następujące: szeroki i napięty program inwestycyjny; niedoskonałe mierniki produkcji; niezadawalająca dyscyplina płac (ten ostatni czynnik odgrywa dużo mniejszą rolę w porównaniu z poprzednim). Aktualna polityka gospodarcza potwierdzona przez IX Plenum KC zmierza w kierunku przeciwdziałania tym wszystkim przyczynom, a zwłaszcza racjonalizacji procesów inwestycyjnych oraz doskonałości mierników produkcji. Nie chodzi przy tym bynajmniej o wyeliminowanie dążenia ludzi do pomnażania swoich dochodów, jak też organizacji gospodarczych — do inwestowania. Są to bowiem motywy działania służące celom społecznym, pod warunkiem ich właściwego ukierunkowania.

W sprawie warunków polityki równowagi gospodarczej w latach nadchodzących Z. Madej wypowiedział się za ich określoną hierarchizacją w czasie. Na pierwszym miejscu postawił rozwój produkcji żywności; na drugim — stworzenie rzeczywistych przesłanek wyboru dla gospodarstw domowych między zakupem artykułów żywnościowych i przemysłowych, co wymagałoby wydatnego zwiększenia podażi artyku-

łów przemysłowych, oraz na trzecim miejscu: wykorzystanie do tego celu aktywnej polityki cenowej.

Zwrócił on także uwagę na istotne dla polityki równowagi pieniądze-rynkowej zjawiska ze sfery psychologii i emocji społecznych, które mogą np. wywoływać spontaniczne zmiany poziomu oszczędności. Postulował w związku z tym szersze badania zjawisk ze sfery psychologii społecznej. Powiedział o wzajemnym stosunku pomiędzy równowagą ekonomiczną a równowagą społeczną, podkreślając w znacznym stopniu autonomiczny charakter tej ostatniej.

Obszerne na temat genyzy aktualnej sytuacji w dziedzinie równowagi ekonomicznej oraz dróg rozwiązywania występujących w tej dziedzinie problemów wypowiedział się prof. J. PAJESTKA. Główna droga do równowagi prowadzi przez politykę produkcji i podażi, przez podnoszenie efektywności gospodarowania we wszystkich ogniwach gospodarki, a przede wszystkim w przedsiębiorstwach i wielkich organizacjach gospodarczych. Nie można osiągnąć równowagi tylko przez ograniczanie wzrostu płac. Polityka dochodów i cen ma tu znaczenie wtórne. Wyprzedzenie wzrostu produkcji przez wzrost dochodów nie było u nas zamierzonym ani proponowanym w naszej polityce społeczno-gospodarczej. Nadrobienie opóźnienia produkcji za dochodami wymaga natomiast działania przede wszystkim w sferze materialnej, doskonałości jej struktury, poprawy jakości i efektywności. Względnie mniejsze możliwości osiągania równowagi przez hamowanie wzrostu dochodów nie oznaczają oczywiście, że rozwój systemu ekonomiczno-finansowego nie może i nie powinien bardziej wpływać na mobilność płac. System ekonomiczno-finansowy jest ciągle doskonałym, dotyczy to również zmodyfikowanego systemu ekonomiczno-finan-

wał niewykonanie zadań planowych (niższe ceny na „odchudzone” wyroby). W takim przypadku pogarszają się również relacje ekonomiczne. Rosnie relatywnie zaangażowanie funduszu płac, spada wydajność pracy.

W systemie WOG bodźce oparte na zysku spowodowane są prawie do zera. Wprawdzie premia dla kierownictwa przedsiębiorstwa uzależniona jest od zysku, ale dla tego kierownictwa jest rzeczą obojętną, skąd ta premia jest wypłacana; ważne, żeby ją otrzymać.

Praktycznie w rachunku ekonomicznym liczy się tylko jeden składnik kosztów, tj. fundusz płac, bowiem za jego przekroczenie grożą określone sankcje. Oszczędność tego składnika prowadzi jakże często do nieleczenia się z kosztami innych czynników produkcji, które praktycznie nie są limitowane.

Jednocześnie na przeszkodzie prawidłowemu funkcjonowaniu systemu WOG stoi wiele elementów systemu nakazowego, jakie pozostawiono z dawnego systemu ekonomiczno-finansowego, między innymi limitowanie bezosobowego funduszu płac, wydatków na gospodarkę nieuspołeczniowaną itp. Oczywiście, że przy tych ograniczeniach kierownictwo przedsiębiorstwa nie zawsze może w swych decyzjach kierować się w pełni zasadami rachunku ekonomicznego.

Ponadto znaczenie systemu WOG jest deprecjonowane przez zjednoczenia, które widząc trudności przedsiębiorstw (często obiektywne) w różny sposób manipulują wskaźnikami „R” i „N”, tak, aby każde przedsiębiorstwo możliwe „sprawiedliwie” rozliczyć. Manipulacja tymi wskaźnikami odbywa się na zakończenie każdego roku obrachunkowego, a przecież miały to być wieloletnie normatywy. Tak więc kryteria oceny nie zostały zobiektywizowane, lecz w dalszym ciągu oparte są na wskaźnikach, które są przedmiotem stałego przetargu.

Jaki zatem powinien być miernik oceny działalności przedsiębiorstwa? Powinien on spełniać jeden podstawowy warunek: zapewnić racjonalność na każdym odcinku działalności gospodarczej.

Wydało się, że ten postulat mogą w określonych warunkach spełniać mierniki rentowności, a szczególnie kwota zysku. Tylko bowiem mierniki syntetyczne oparte na wyniku finansowym odzwierciedlają całokształt pracy przedsiębiorstwa. Miernik kwoty zysku wyraża w sposób syntetyczny wszystkie — dobre i złe — strony działalności organizacji gospo-

darczej. W jego ujęciu jest zawarta właściwa gospodarka środkami trwałymi i obrotowymi, oszczędność surowców i materiałów, i w ogóle oszczędność wszelkich nakładów pracy żywej i uprzedmiotowionej.

Jednocześnie miernik kwoty zysku stymuluje wzrost produkcji, co ma niebagatelne znaczenie w rozwoju gospodarczym.

Oczywiście, miernik kwoty zysku może spełniać te role tylko w określonych warunkach, a przede wszystkim wówczas, gdy:

- na tym mierniku oparte są bodźce materialnego zainteresowania, zwłaszcza dla kierownictwa przedsiębiorstwa;
- zapewniona jest równowaga gospodarcza, a przede wszystkim równowaga rynkowa;
- zagwarantowany jest prawidłowy poziom cen.

Miernikom syntetycznym opartym na zysku zarzuca się często, że nie zapewniają struktury asortymentowej produkcji zgodnej z potrzebami społecznymi. Zarzut ten wydaje się jednak nieuzasadniony, ponieważ żaden miernik pracy nie zapewni takiej struktury asortymentowej, jaka jest pożądana na rynku. Sprawa ta leży w zupełnie innej płaszczyźnie. To brak równowagi rynkowej, nie-dobór wielu asortymentów w produkcji prowadzi do sytuacji dyktatu producenta i braku konkurencyjności między przedsiębiorstwami. W warunkach łatwego zbytu, przy jakimkolwiek mierniku oceny, przedsiębiorstwa będą dokonywać dogodnych dla siebie manewrów w zakresie polityki asortymentowej.

Zysk może spełniać rolę miernika pracy i stymulatora racjonalnego działania w gospodarce socjalistycznej. Oczywiście, nie można oczekiwać, aby wprowadzenie tego miernika przyniosło natychmiast bardzo dobre rezultaty gospodarcze: aby nowy model prawidłowo funkcjonował, musza nastąpić duże przeobrażenia nie tylko w sferze gospodarczej, ale przede wszystkim w sferze psychicznej społeczeństwa. Musi ukształtować się zapotrzebowanie na ekonomiczne myślenie i racjonalne działanie.

Zysk na szczeblu przedsiębiorstwa jest w skali państwowej elementem dochodu narodowego. Jest oczywiste, że czym zysk będzie większy, tym większy będzie dochód narodowy, tym więcej będziemy mogli przeznaczyć na rozwój gospodarczy kraju i tym lepiej będziemy mogli zaspokajać potrzeby społeczeństwa. Warto więc rozważyć, czy nie wykorzystywać zysku jako syntetycznego miernika oceny działalności gospodarczej.

trendami realnego opłacania wzrostu wydajności pracy.

Dr WOJCIECH PRUSS podkreślał, że najbardziej racjonalną społecznie jest polityka względnej stabilizacji poziomu cen. Dla stworzenia warunków konsekwentnej polityki stabilizacji poziomu cen potrzebne jest skuteczne realizowanie polityki poprawiania stanu równowagi, jak i rozwiązanie problemu cen podstawowych artykułów żywnościowych, a w szczególności mięsa i jego przetworów. Niezależnie od tego potrzebne jest opanowanie pewnych żywiołowych, zdecentralizowanych ruchów cen, wyeliminowanie korzyści, które w sposób niezasłużony osiągały z tego tytułu niektóre jednostki gospodarcze. Powołując się na zastosowane w tym kierunku środki przeciwdziałające w ramach zmodyfikowanego systemu ekonomiczno-finansowego, zwrócił on uwagę na pożądaną ich realizację między innymi przez wykorzystanie do tego celu bardziej selektywnych (w porównaniu na przykład z podatkiem od zysku) cenowych instrumentów regulacji.

★

Podjęliśmy próbę podsumowania całości obrad, prof. JAN MUJZEL starał się wykazać współzależność i komplementarność wielu różnych dróg prowadzących do równowagi ekonomicznej, jakie były postulowane przez poszczególnych zagajających i dyskutujących. System ekonomiczno-finansowy oraz polityka płac indywidualnych są — jego zdaniem — ogniwami sprzężonego działania, które pod warunkiem równoległych, skutecznych działań po stronie produkcji i podażi oraz efektywnej jakości, może zapewnić sukcesywnie osiąganie pożądanego równowagi ekonomicznej i pieniężno-rynkowej.

*) Patrz zapowiedź konferencji w „Z.G.” nr 37/1977.

Z OBRAD PREZYDIUM RZĄDU

PREZYDIUM RZĄDU na posiedzeniu 11 listopada br. rozprawiło problemy ochrony zdrowia i opieki społecznej.

Stwierdzono, że w wyniku realizacji działań wytyczonych w Uchwałach VI i VII Zjazdu PZPR nastąpiły dalsze korzystne zmiany w stanie zdrowia społeczeństwa. Przeciętą życia wzrosła do 67 lat u mężczyzn i 74,3 u kobiet. Współczynnik zgonów niemowląt obniżył się o jedną trzecią. Praktycznie zlikwidowano błonicę i chorobę heinemedina. Poważnie obniżyła się liczba zachorowań na ostre choroby zakaźne, gruźlicę oraz choroby weneryczne. Tendencje wzrostu wykazują natomiast zachorowania na tzw. choroby cywilizacyjne, przede wszystkim układu krążenia i nowotworowe. Poprawił się, aczkolwiek jeszcze w stopniu niewystarczającym, stan sanitarny kraju.

W latach 1971—76 wydatnie wzrosły nakłady na bieżącą działalność oraz na budowę i modernizację obiektów służby zdrowia. W rezultacie, liczba łóżek w szpitalach zwiększyła się o 24,7 tys., a liczba miejsc w łóżkach o 22 tys. Jednakże nie zaspokaja to jeszcze rosnących potrzeb społecznych. Liczba lekarzy, lekarzy-dentystów i pielęgniarek na 10 tys. mieszkańców jest obecnie w Polsce wyższa niż w wielu wysoko rozwiniętych krajach Europy.

Prezydium Rządu uznało za konieczne: dalszy rozwój działalności profilaktycznej, szybszą poprawę w sferze dostępności i poziomu świadczeń, zwłaszcza w placówkach podstawowej opieki zdrowotnej w miastach i zakładach przemysłowych, a także zapewnienie szybszej i bardziej rytmicznej realizacji zadań inwestycyjnych.

Na posiedzeniu rozpatrzone także przedstawiona przez Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych informacja o realizacji postanowień podjętych w marcu tego roku przez Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium Rządu w sprawie produkcji i zaopatrzenia w odzież ochronną, roboczą i sprzęt ochrony osobistej. Prezydium Rządu stwierdziło, że nastąpiła w tej dziedzinie poprawa. Nie we wszystkich jednak asortymentach zdołano zaspokoić potrzeby. Zobowiązano zainteresowanych ministrów i przezesów związków spółdzielczych do nasilenia działań, które są niezbędne dla lepszego sprostanie potrzebom, zarówno w tym jak i przyszłym roku. Za sprawę szczególnie istotną uznano poprawę jakości wyrobów, o których mowa. Podkreślono również wagę racjonalnego gospodarowania i znacznie oszczędniejszego zużycia odzieży robotniczej i ochronnej w zakładach.

Prezydium Rządu rozprawiło informację ministra łączności o pracach technicznych i organizacyjnych, prowadzonych przez resort w celu ułatwienia zarządzania w nowym układzie administracyjnym kraju, zwłaszcza w relacji województwo—gmina.

W końcu I półrocza 1977 r. zakończono ważną z tego punktu widzenia akcję instalowania połączeń teleksowych w gminach. Wiele zrobiono również dla poprawy łączności telefonicznej w urzędach wojewódzkich i gminach. Wszystkim urzędem gminnym zapewniono nieprzerwaną łączność telefoniczną przez całą dobę. Telefonami dysponują dzisiaj wszystkie sołectwa.

Powzięto decyzję o utworzeniu nowych zjednoczeń państwowych przedsiębiorstw gospodarki rolnej w następujących miastach wojewódzkich: Suwałki, Elbląg, Słupsk, Gorzów Wlkp., Legnica, Pila, Kalisz, Przemyśl i Toruń. Celem, który przyswaja temu posunięciu, jest lepsze powiązanie działalności PGR z terenowymi organami administracji państwowej. Nowe zjednoczenia zostały utworzone w województwach, gdzie udział gruntów należących do sektora państwowego jest znaczny.

Na posiedzeniu rozprawiło również informację o wynikach działalności polskich przedsiębiorstw i specjalistów pracujących za granicą. Podkreślono rosnące znaczenie eksportu kompletnych obiektów, który charakteryzuje się wysokim udziałem myśli technicznej oraz pracy naszych specjalistów. To samo odnosi się do eksportu budownictwa i usług specjalistycznych. Przyjęto wnioski zmierzające do dalszej wydajnej intensyfikacji tych dziedzin eksportu oraz doskonałości pracy zainteresowanych organizacji gospodarczych i handlowych.

Prezydium Rządu powzięło decyzję, która zmierza do uzyskania poprawy stanu technicznego wagonów towarowych. Rozszerzono na wszystkie przedsiębiorstwa gospodarcze korzystające w znacznym stopniu z usług kolei obowiązki dokonywania niezbędnych napraw wagonów, które zostały uszkodzone w czasie prac ładunkowych.

STARE I NOWE OBLICZE WŁOCH

EUGENIUSZ MOŻEJKO

Wśród rozwiniętych krajów kapitalistycznych Włochy stanowią w powojennej historii przykład wyjątkowy. Startując z niskiego poziomu, w krótkim czasie osiągnęły rangę siódmej potęgi przemysłowej świata. Obecny kryzys spowodował ogólne osłabienie tempa rozwoju tego kraju, jest to jednak udziałem wszystkich krajów zachodnich.

Jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych dochód narodowy Włoch wynosił zaledwie około 700 dol. na 1 mieszkańca. Około 40 proc. ludności utrzymywało się z rolnictwa, które zatrudniało ponad 37 proc. siły roboczej wynoszącej blisko 20 mln osób. W 1976 r. w rolnictwie włoskim pracowało już niespełna 3 mln osób, a jego udział w produkcie narodowym brutto spadł do 9 proc.

BURZLIWY PROCES UPRZEMYSŁOWIENIA

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Włochy przeżyły burzliwy proces uprzemysłowienia. Średnia stopa wzrostu produkcji przemysłowej w okresie 1958–1963 wyniosła 9,7 proc. rocznie, co stawiało Włochy w rzędzie najszybciej rozwijających się krajów świata. W latach 1964–1969 średnia ta spadła do 5,6 proc., był to jednak ciągle jeszcze przyrost stosunkowo szybki.

Rozbudowano w tym czasie szereg nowoczesnych gałęzi przemysłu. Do sektorów o najwyższej dynamice należały włoski przemysł chemiczny i maszynowy. Zbudowano prawie od podstaw potężny przemysł żelaza i stali, dysponujący obecnie mocą wytwórczą około 29 mln ton stali rocznie (produkcja — ze względu na spadek koniunktury — osiadała w ostatnich latach poziom 21–23 mln ton). Do najbardziej dynamicznych gałęzi należał przemysł samochodowy. W powojennym rozwoju Włoch ogromną rolę odegrał przemysł państwowy z wielkimi holdingami IRI i ENI na czele. Przedsiębiorstwa państwowe wytwarzają np. 60 proc. krajowej produkcji stali, odgrywają pierwszoplanową rolę w energetyce (ENI i ENEL) oraz chemii, a także w usługach i sektorze bankowym.

W latach 1967–1973 inwestycje we włoskim przemyśle chemicznym osiągnęły ogromną wartość blisko 3,5 bln lirów i były wyższe niż inwestycje w tej samej gałęzi realizowane we Francji czy Wielkiej Brytanii. Stanowiły one 18 proc. globalnych nakładów inwestycyjnych w przemyśle; udział produkcji chemicznej wzrósł do 12 proc. produkcji przemysłowej ogółem.

W rozwoju przemysłu stalowego czołową rolę odegrał państwowy koncern Finsider, który w ciągu ostatnich 15 lat zainwestował 4,5 bln lirów.

W zmianie oblicza kraju niebagatelną rolę odegrał włoski przemysł samochodowy na czele z firmą Fiat. Zapewnił on możliwości rozwoju wielu drobnym przedsiębiorstwom wokół Turynu i przyczynił się do niezwykłej szybkiej motoryzacji kraju. W 1950 r. na Włochy przypadało 6 proc. zarejestrowanych w Europie Zachodniej samochodów osobowych, w 1960 r. — 9 proc., w 1970 r. — 15 proc., a w 1974 r. — ponad 17 proc. Liczba samochodów przypadająca na 1000 Włochów zrównała się prawie z liczbą samochodów przypadających na tę samą liczbę Francuzów. Był to zewnętrzny wyraz zmiany

statusu społeczeństwa włoskiego, jako społeczeństwa wysoko uprzemysłowanego.

Wiodący koncern samochodowy Fiat dysponuje obecnie mocami wytwórczymi około 1,8 mln samochodów osobowych rocznie. Przy tym stanowią one już tylko około 2/3 całej produkcji tej firmy. W związku z kryzysem naftowym i przejściowym — jak się okazało — spadkiem popytu na samochody osobowe, Fiat zaczął się szybko przestawiać na produkcję samochodów ciężarowych, traktorów i maszyn do robót ziemnych oraz innych wyrobów nie związanych z motoryzacją. Równocześnie stał się on jedną z czołowych firm włoskich o znaczeniu międzynarodowym, mającą rozgałęzioną sieć sprzedaży także w krajach socjalistycznych.

Obok wielkich koncernów prywatnych i państwowych istnieje nadal we Włoszech wielka liczba drobnych przedsiębiorstw, odgrywających ważną rolę w gospodarce narodowej. Często współpracują one z wielkimi firmami jako poddostawcy zapewniając im wielką elastyczność w dostosowywaniu profilu produkcji do zmian popytu na rynkach zagranicznych. Nierzadko, jak w branży tekstylnej, same odnoszą niemałe sukcesy eksportowe. W dobie kryzysu wykazują one często większą żywotność niż niektóre giganty przemysłowe.

Spadek koniunktury i inne zjawiska kryzysowe w gospodarce kapitalistycznej stwarzają, oczywiście, nową, trudną sytuację zwłaszcza dla Włoch, których status potęgi przemysłowej jest stosunkowo świeżej daty. Niektóre trudności gospodarki włoskiej tłumaczy się zresztą właśnie napięciami, wywołanymi wyjątkowo szybkim i dość chaotycznym procesem uprzemysłowienia. Znaną są np. dysproporcje w rozwoju regionalnym tego kraju oraz względne zacofanie rolnictwa, które nie nadąża za rozwojem przemysłu, zwłaszcza w produkcji zwierzęcej. Trudności te pogłębia silne powiązanie gospodarki z rynkami zagranicznymi, na których panuje obecnie stagnacja. Z drugiej strony trzeba stwierdzić, że handel zagraniczny odegrał zasadniczą rolę w powojennym awansie gospodarczym Włoch.

SUKCESY EKSPORTOWE

Szereg gałęzi produkcji rozwijało się w oparciu o eksport, a jego udział w całości produkcji przemysłu przetwórczego osiągnął 27 proc. (1975 r.). Ale proeksportowe nastawienie przedsiębiorstw włoskich, to tylko jedna strona zagadnienia. Nie mniej żywotne znaczenie dla rozwoju gospodarki włoskiej ma import. Pokrywa on ponad 80 proc. zapotrzebowania energetycznego Włoch. Na złomie i importowanej rudzie pracuje włoski przemysł stalowy. Nawet przemysł tekstylny, mający ciągle jeszcze duży udział w produkcji przemysłowej, zaopatruje się w większej części w potrzebne surowce za granicą. Są to tylko niektóre pozycje otwierające długą listę importowa, obejmującą wiele surowców i — w coraz większej proporcji — także środków żywności.

A więc Włochy po prostu muszą eksportować, aby możliwe w największej części pokryć niezbędne wydatki importowe. Trzeba też stwierdzić, że z wyjątkiem ostatnich lat przemysł włoski z powodzeniem wywazywał się z tego zadania. Od pierwszych lat powojennych firmy włoskie zaczęły torować sobie drogę na najbardziej chłonne rynki krajów rozwiniętych. Początkowo były

to głównie tekstylia, odzież i obuwie, których udział w całości eksportu przekraczał w pierwszych latach pięćdziesiątych 37 proc. Odzwierciedla to stosunkowo niski poziom rozwoju przemysłowego, z jakiego startowały Włochy. W późniejszych latach wizytówką eksportową Włoch stały się elektryczne urządzenia gospodarstwa domowego, a także odbiorniki radiowe i telewizyjne. Jedną z najważniejszych gałęzi eksportowych stał się w krótkim czasie także przemysł samochodowy. Obok tego w eksporcie włoskim pojawiły się coraz to nowe, coraz bardziej skomplikowane wyroby przemysłu maszynowego. Wzrastał wywóz wyrobów chemicznych i hutniczych. Stały wzrost importu i eksportu doprowadził w ciągu ostatnich dwudziestu lat do niemal podwojenia udziału Włoch w handlu światowym — do 4,4 proc. w 1976 r.

Równocześnie dokonały się głębokie przekształcenia struktury wywozu. Udział przemysłu włókienniczego, odzieżowego i obuwniczego zmniejszył się w 1976 r. do 16 proc. Równocześnie w okresie 1951–1976 r. udział wyrobów przemysłu maszynowego w eksporcie wzrósł z 13,6 do 25,5 proc., środków transportu — z 7,2 do 13,2 proc., hutniczego — z 4 do ponad 8 proc. Do początku lat siedemdziesiątych wzrastał udział w wywozie również produktów chemicznych, jednak późniejszy kryzys spowodował względne osłabienie jego pozycji jako eksportera.

Wśród gałęzi eksportujących największą część swojej produkcji, nadal czołową pozycję zajmują we Włoszech urządzenia gospodarstwa domowego oraz aparaty radiowe i telewizyjne (około 60 proc.), chociaż lata największej ekspansji na rynku zachodnioeuropejskim i innych dość dawno minęły. Na drugim miejscu znajduje się przemysł środków transportu, który eksportuje połowę swoich wyrobów, podczas gdy pozostałe branże przemysłu maszynowego — około 40 proc. Również najstarsza gałąź, przemysł tekstylny i branża pokrewna, które od szeregu lat borykają się z poważnymi trudnościami, w dużej mierze zawdzięczają swoją dalszą egzystencję wywozowi (34 proc. produkcji ogółem).

Do rozwoju włoskiego eksportu niewątpliwie przyczynił się udział tego kraju we Wspólnym Rynku. Świadczy o tym wzrost udziału krajów „szóstki”, a od 1973 r. „dziewiątki” w całości wywozu. Dotyczyło to zwłaszcza pierwszych 10–12 lat istnienia EWG. W 1976 r. na rynki krajów EWG przypadało blisko 48 proc. włoskiego wywozu. Rzecz charakterystyczna — koncentracja włoskiego wywozu na rynkach krajów partnerskich okazuje się nawet nieco większa, niż pozostałych krajów EWG, które także powiększyły swój udział w tzw. wymianie wewnętrznej Wspólnego Rynku. Jednakże wydaje się, że możliwości dalszej ekspansji eksportowej w tym kierunku już się wyczerpały.

Przemawia za tym nie tylko fakt, że dynamizujący wpływ utworzenia unii celnej na handel wewnętrzny jest ograniczony w czasie (teoretyczny nie powinien on jeszcze oddziaływać na wzrost wymiany z nowymi członkami EWG), lecz także wyraźnie i od dość dawna odczuwana przez Włochy potrzeba geograficznej dywersyfikacji wymiany. Kraje Wspólnego Rynku nawet w latach bardzo szybkiego wzrostu wymiany wewnętrznej odgrywały mniejszą rolę jako dostawcy Włoch. Wynikało to z dużego

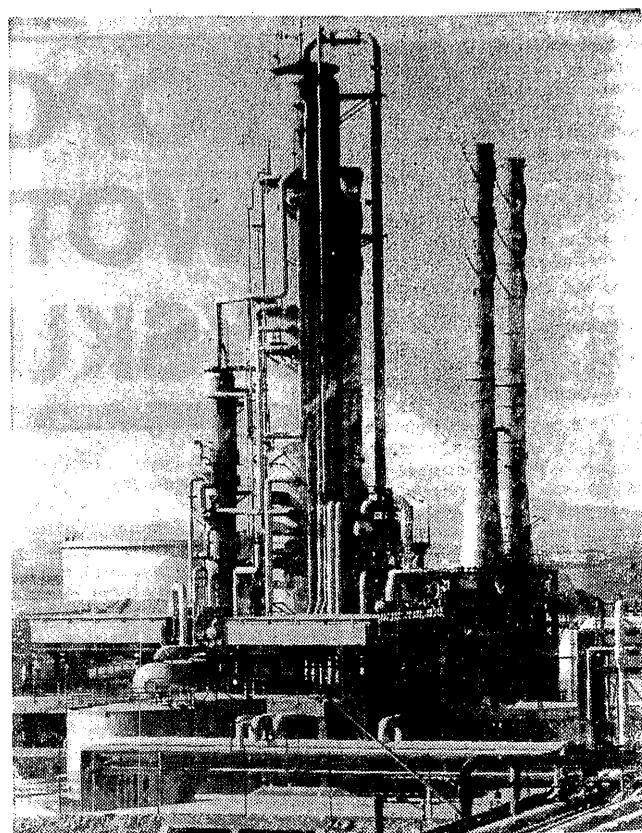
udziału surowców, a zwłaszcza nośników energii w imporcie włoskim, które pochodziły w przeważającej części spoza EWG. Z tego względu Włochy zawsze były zainteresowane rozwojem stosunków handlowych z innymi regionami geograficznymi.

-ZAIINTERESOWANIE RYNKAMI SOCJALISTYCZNYMI

Tym można tłumaczyć także wcześnie zaangażowanie Włoch w wymianę Wschód—Zachód. W grupie państw zachodnich stały się one — wraz z Francją — pionierami przecierającymi szlaki rozwojowi wymiany handlowej i współpracy gospodarczej z krajami socjalistycznymi. Znana elastyczność firm włoskich w stosunkach z partnerami zagranicznymi, gotowość do podejmowania nowych, niekonwencjonalnych przedsięwzięć, były ważnym czynnikiem ułatwiającym to zadanie. Nowym, potężnym czynnikiem pobudzającym do rozwoju wymiany stał się tzw. kryzys energetyczny i ogólne podrośnięcie surowców. Zmusiło to Włochy przede wszystkim do zmniejszenia wysiłków zmierzających do zwiększenia wywozu do krajów naftowych dla zrównoważenia wydatków na ropę naftową. Jednocześnie uzależnienie od dostaw bliskowschodnich pobudziło też do poszukiwania nowych, bardziej stabilnych źródeł zaopatrzenia. Z kolei kryzys gospodarki kapitalistycznej i spadek popytu na oferowane przez Włochy towary postawił też z całą ostrością problem poszukiwania nowych możliwości zbytu. Szczególne zainteresowanie Włoch — i to od dawna — budził rynek Związku Radzieckiego, oceniany jako wyjątkowo atrakcyjny i rękawicę wielkich możliwości szybkiego powiększenia obrotów handlowych. Podobnie zresztą oceniono to w innych krajach zachodnich.

Ale o stworzeniu warunków systematycznego rozwoju wymiany handlowej i współpracy gospodarczej między Włochami a krajami socjalistycznymi można mówić dopiero od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy ZSRR, Polska i inne kraje socjalistyczne zawarły z tym krajem wieloletnie umowy handlowe i umowy o współpracy gospodarczej (nieco wcześniej — w 1963 r. — Włochy zawarły umowę handlową z Jugosławią). Niektóre wielkie koncerny włoskie, jak ENI, Montedison, Sniawis-Viscosa, IRI, zawarły już w tym czasie także porozumienia o współpracy naukowo-technicznej z radzieckim Państwowym Komitetem Nauki i Techniki. Na ich podstawie zbudowano szereg ważnych obiektów przemysłowych w ZSRR.

Do tego tematu wymiana handlowa Włoch z krajami socjalistycznymi wróciła w latach 1965–1970 szybko niż obroty tego kraju ogółem. Włoski eksport do tych krajów zwiększył się w tym czasie o 133 proc., podczas gdy eksport ogółem tylko o 84 proc. Również dynamicznie wzrastał import. Kolejne lata przyniosły dalszy wydatny wzrost obrotów, choć podlegał on znacznym wahaniom. W roku 1971 i 1972 tempo rozwoju wymiany handlowej Włoch z krajami RWPG osłabło (wzrost obrotów wyniósł 6,2 i 9,2 proc.), zaś w dwóch kolejnych latach uległo gwałtownemu przyspieszeniu, wzrastało w 1973 r. o ponad 29 proc., a w 1974 r. o bez mała 56 proc. W 1975 r. na skutek recesji we Włoszech obroty wzrosły tylko o 7 proc., a gdy chodzi o import z krajów socjalistycznych — po raz pierwszy od wielu lat wystąpił nawet niewielki spa-



Fragment rafinerii w Porto Torres należącej do Società Italiana Resine (SIR) — trzeciego co do wielkości koncernu chemicznego we Włoszech. Fot. ARCHIWUM

dek. Ponowny wzrost tempa przyrostu rok 1976.

Na wahaniami te, obok sytuacji koniunkturalnej, wpływały też trudności płatnicze Włoch, które zmniejszały okresowo ich możliwości kredytowania eksportu inwestycyjnego oraz zmuszały do ograniczania przywozu. Istotnym czynnikiem ograniczającym eksport z krajów socjalistycznych była i jest polityka rolna EWG, która doprowadziła do wyeliminowania wywozu szeregu tradycyjnych towarów eksportowych tych krajów, szczególnie zaś mięsa (trzeba pamiętać, że Włochy są największym importem mięsa w skali całego Wspólnego Rynku). Mimo stałego wzrostu udziału gotowych wyrobów przemysłowych w eksporcie krajów socjalistycznych do Włoch struktura towarowa tego wywozu nie uległa głębszym przeobrażeniom. Zachowuje on nadal charakter przeważnie surowcowy. Jest to dalszy negatywny czynnik w rozwoju handlu.

Jest to także jeden z powodów, które poczynając od 1974 r. doprowadziły do wzrostu nadwyżki eksportu włoskiego do krajów socjalistycznych nad importem z tych krajów. Do końca lat sześćdziesiątych sytuacja była odwrotna.

Mimo takich czy innych problemów rozwój wymiany handlowej Włochy — kraje socjalistyczne można uznać za pomyślny i rękawicę duże nadzieje na przyszłość. Wiąże się one z rozwojem coraz bardziej zróżnicowanych form współpracy długofalowej. Jedną z największych transakcji w skali stosunków Wschód—Zachód była np. 20-letnia umowa z ENI na dostawę radzieckiej ropy i gazu w zamian za dostawy kompletnych obiektów chemicznych do ZSRR. Gigantycznym przedsięwzięciem w dziedzinie kooperacji przemysłowej był udział Fiata, a z nim około 140 pomniejszych firm włoskich, w budowie zakładów samochodów osobowych w Togliatti o zdolności produkcyjnej 600 tys. szt. samochodów rocznie. Zanim Fiat wkroczył na rynek radziecki, realizował on szereg podobnych choć mniejszych umów kooperacyjnych z europejskimi krajami

socjalistycznymi, w tym — poczynając od 1965 r. — z Polską.

WSPÓŁPRACA Z POLSKĄ

Polska jest po Związku Radzieckim drugim partnerem Włoch wśród krajów RWPG. W ciągu piętnastolecia 1960–1975 wzajemne dostawy towarowe wzrosły ponad dziesięciokrotnie, przekraczając 2,38 mld zł dew. W ciągu pierwszego pięcioletnia tego okresu powiększyły się one ponad dwa razy, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych wzrosły o prawie 80 proc., natomiast w latach 1971–1975 ponad trzykrotnie. Można więc mówić o pomyślnym i, z wyjątkiem lat 1965–1970, niezwykle dynamicznym rozwoju handlu polsko-włoskiego. Zgodnie z ogólną tendencją w handlu Włoch z krajami socjalistycznymi przez wiele lat utrzymywała się przewaga polskiego eksportu nad importem i dopiero w ostatnich latach Włochy uzyskały poważne nadwyżki w swym eksporcie. Przyczyniły się do tego dostawy związane z budową Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku Białym oraz udział firm włoskich w budowie Rafinerii Gdańskiej.

W ubiegłym roku po raz pierwszy nastąpił pewien spadek włoskiego eksportu do Polski — z 1389 mln zł dew. w 1975 r. do 1134 mln zł dew. Wzrósł natomiast polski eksport do Włoch, przekraczając granicę 1 mld zł dew. Do pomyślnych zjawisk należy wzrost dostaw kooperacyjnych z Polski notowany od 1973 r. Obejmują one, jak dotychczas, detale i zespoły do samochodów Fiata, wskazują jednak na poważne możliwości dalszego rozwoju kooperacji przemysłowej. Już obecnie wiadomo, że zapoczątkowana w 1965 r. kooperacja z turyńską firmą będzie się nadal rozwijać.

Do dotychczasowych sukcesów współpracy gospodarczej przyczynia się, oceniany pozytywnie przez obie strony, rozwój całokształtu stosunków polsko-włoskich, których podstawą jest zaangażowanie obu krajów w umacnianiu procesu odprężenia i tworzenie coraz lepszych warunków dla dalszego rozwijania współpracy na kontynencie europejskim.

za granicą piszą

PROTEKCJONIZM CZY WOLNY HANDEL

Miesięcznik SPD — DIE NEUE GESELLSCHAFT — opublikował artykuł Wilhelma Haferkamp, wiceprezesa Komisji EWG, poświęcony dylematom wspólnego handlu międzynarodowego. Opowiadając się zdecydowanie przeciwko protekcjonizmowi w wymianie międzynarodowej, Haferkamp dochodzi jednak do wniosku, że obecnie liberalizacji polityki importowej dokonano powoli przede wszystkim główni partnerzy handlowi „Wspólnego Rynku”. Poniżej zamieszczamy ten artykuł z niewielkimi skrótami.

W minionych miesiącach znacznie wzrosły tendencje do protekcjonizmu — zarówno w jego formach otwartych, jak i ukrytych. Wprawdzie wszyscy opowiadają się werbalnie „zasadniczo” przeciw protekcjonizmowi, często jednak żądają jednocześnie ochrony tej lub innej branży przed konkurencją zagra-

niczną, lub domagają się posunięć prowadzących do „stabilizacji” importu.

Szczególnie jaskrawym przykładem werbalnego antyprotekcjonizmu i rzeczywistego opowiadania się za zdecydowanym protekcjonizmem jest wniosek wniesiony przez frakcję gaullistowską w Parlamencie Europejskim 4 lipca 1977 roku. Bepośrednio po stwierdzeniu, że frakcja „odrzuca wszelką politykę protekcjonistyczną”, domaga się ona nie tylko wprowadzenia świadectw pochodzenia towarów w handlu między krajami Wspólnoty lecz również rozszerzenia systemu opłat wyrownawczych z sektora rolnego na sektor przemysłowy, automatyczne stosowania mechanizmów ochronnych oraz „organizowania rynków” w skali ogólnowspólnotowej. Zbędne jest podkreślenie, że realizacja tego rodzaju propozycji oznaczałaby koniec dotychczasowej polityki hand-

lowej Wspólnoty oraz upadek całego systemu handlu światowego.

Dyskusja na temat protekcjonizmu jest skutkiem ogólnowspólnotowych problemów gospodarczych. Ich załaski występowały wprawdzie już przed kryzysem naftowym, ale zaczęły dawać one mocno o sobie znać pod wpływem zmian relacji w wymianie gospodarczej, doprowadzając do silnej inflacji oraz wysokiego bezrobocia. W ciągu trzech minionych lat wyrażano nadzieję, że trudności gospodarcze występujące po szoku naftowym zostaną usunięte przez kolejne ożywienie koniunktury. Po niespełnieniu się tych nadziei wszyscy kompetentni politycy zdają sobie dzisiaj sprawę, że musimy uporać się z głębokimi przemianami strukturalnymi w gospodarce światowej. Ich rozmiary i skutki są znacznie większe od tych, jakie obserwowaliśmy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

W niektórych sektorach — by wymienić tylko kilka przykładów — te przemiany strukturalne pozostawiły już głębokie ślady:

● Liczba miejsc pracy w europejskim (czytaj w zachodnioeuropejskim — przyp. red.) przemyśle tekstylnym spadła w ostatnich latach przeciętnie o ponad 50 000.

● Przemysł stalowy ma do czynienia od 1975 roku z długotrwałym kryzysem zbytu — wykorzystanie mocy produkcyjnych wynosi przeciętnie we Wspólnocie ok. 65 proc. Spowodowane to jest nie tylko przyczynami o charakterze koniunkturalnym, lecz przede wszystkim przemysłu stalowego przynus wrowadzenia korektur w europejskim przemyśle stalowym jeszcze się z pewnością nasili w nadchodzących latach.

● W przemyśle włókienniczym poziom wykorzystania mocy produkcyjnych w roku ubiegłym wyniósł zaledwie ok. 70 proc.

Jasne jest, że sektory te, których kryzys rzutuje również na inne gałęzie, nie są w stanie przyczynić się do stabilizacji obecnego słabego ożywienia gospodarczego.

O ile dokonuje się w ogóle inwestycji, to prowadzi one do racjonalizacji lub przekształceń strukturalnych, powodując dodatkowo ograniczenie liczby miejsc pracy.

Decydujące pytanie brzmi: czy można skutecznie i na trwałe uporać się z tego rodzaju problemami strukturalnymi przez restryktywne posunięcia w polityce handlowej?

Posunięcia tłumaczące import mogą być przejściowo uzasadnione i wskazane, jeśli stymulować mają zapoczątkowany już proces dostosowania strukturalnych lub mają łagodzić jego skutki społeczne. Trwała i szeroka ochrona rynków oraz sektorów pociąga jednak za sobą tak znaczne szkody gospodarcze, społeczne i polityczne, że należy jej unikać we wszelkich okolicznościach, również w okresach zastraszonych trudności gospodarczych, jakie występują obecnie.

Wymienię najważniejsze powody takiego stanu rzeczy:

● Restryktywna polityka importowa przynosi ujemne skutki konsumpcyjnym. Wśród konsumentów ponad 90 proc. stanowią pracownicy. Brak lub osłabiona konkurencja ze strony importu może wywierać znaczny wpływ na poziom cen i tym samym na stopę życiową pracowników.

● Ograniczenia importu nie mogą służyć, przynajmniej na dłuższą metę, jako środek zapewnienia miejsc pracy.

Wobec naszej wielkiej zależności od eksportu można zapewnić miejsca pracy tylko wtedy, jeśli wydajność przesądza będzie o konkurencyjności

ści danych wyrobów na rynku światowym. Miejsca pracy w branżach chronionych przed konkurencją importu wykazują z reguły niższą wydajność. Również okresowa ochrona przed importem mogłaby prowadzić do zaniedbywania koniecznych przedsięwzięć w dziedzinie racjonalizacji i podnoszenia wydajności oraz do coraz większego spadku konkurencyjności wyrobów. Uświadomienie sobie tych zaniedbań stanowiłoby potem tym większy wstrząs.

● Zdolność konkurencyjna przemysłu europejskiego w niektórych sektorach niewątpliwie pogorszyła się w ostatnich latach.

Wymienimy jako przykład dane opublikowane przez zrzeszenie przemysłu stalowego we Francji (dotyczące co prawda tylko wydajności pracy, podczas gdy zdolność konkurencyjna zależy od wielu różnych czynników): Japończycy potrzebują na wyprodukowanie jednej tony stali surowej 6 godzin pracy. Niemcy — 7 i 1/2 godziny, Francuzi — aż 11,7 godziny. Jeśli przyjąć, że godzina pracy w RFN kosztuje 15 DM, to Japończycy uzyskują tylko w tej dziedzinie oszczędność w wysokości 22,50 DM, a wobec Francuzów aż 85,50 DM.

Nie trzeba w szczególności sposobu udowodnić, że różnice w wydajności na taką skalę nie mogą być wyrównane przez posunięcia ochronne

KOSZTY I BODŹCE

W rubryce zatytułowanej „Dokonał mechanizm gospodarczy” dziennik „Socjalistieskaja Industrija” opublikował artykuł, którego autorzy opowiadają się za szerszym uwzględnieniem poziomu kosztów dla usprawnienia aktualnie obowiązujących systemów bodźców.

„W dziewiątej pięciolatce — pisała na wstępie G. SAŃKOW i A. SZADRINA, autorzy omawianej publikacji — nakłady na jeden rubel produkcji przemysłowej zmniejszyły się co roku o 0,4—1,0 kopiejki. Te na pozór niewielkie zmiany przekształcają się w olbrzymie oszczędności. Jeśli policzyć, obniżka kosztów produkcji o jeden procent równoznaczna jest w skali gospodarki narodowej z „wygraną” niemal 6 miliardów rubli. Okazuje się, że obecne „groszowe” oszczędności w ciągu roku są równe co do wartości trzy-czterodniowej produkcji całego krajowego przemysłu.

Analiza wykazuje, że w tych gałęziach, w których wytwarza się materiałochłonna produkcja, czyli tam, gdzie duży jest udział surowców i materiałów, koszt własny wyrobów z roku na rok z reguły maleje. I odwrotnie, wykazuje on tendencję wzrostową tam, gdzie produkcja jest kapitałochłonna.

Do kapitałochłonnych gałęzi należą między innymi przemysł gazowy. Przeciwnie w Ministerstwie Przemysłu Gazowego amortyzacja w nakładach produkcyjnych stanowi przeszło 20 proc., podczas gdy w całym przemyśle ZSRR — 6,4 proc.

Przy tym w przedsiębiorstwach wydobycia gazu na amortyzację w strukturze kosztów własnych przypada do 70 proc. Podobna sytuacja istnieje w elektroenergetyce, w przemyśle węglowym i w wydobyciu ropy naftowej, gdzie kapitałochłonność jest 3—4 razy większa niż przeciętna w całym przemyśle.

Dlaczego w tych gałęziach nakłady na jeden rubel produkcji wzrosły w okresie dziewiątej pięciolatki? Specjaliści wymieniają szereg przyczyn. Jedną z nich jest wzrost cen urządzeń. Im droższe jest sprzęt techniczny, tym droższa jest również osiągnięta przy jego pomocy produkcja. Inną przyczyną jest coraz wyraźniejsze przesuwanie się punktu ciężkości energetyki i przemysłu wydobywczego na północ i wschód. Budownictwo tam jest droższe, warunki wydobycia i produkcji bardziej złożone, trudniejsza też jest dostawa wyrobów do odbiorcy.

Jednakże — podkreślają autorzy — oprócz przyczyn obiektywnych istnieją również, naszym zdaniem, przyczyny subiektywne. Należy do nich zaliczyć pewne zmniejszenie roli wskaźnika kosztów własnych.

Tak na przykład, w przemyśle gazowym, jak również w szeregu innych gałęzi, do niedawna wskaźnik ten nie był należycie uwzględniany przy sporządzaniu planów rocznych i perspektywicznych, w niewielkim stopniu wpływał na ocenę pracy załóg. W materiałochłonnych gałęziach przy pomocy różnych dźwigni ekonomicznych udawało się osiągać sukcesywnie obniżanie nakładów surowca wyjściowego, a tym samym również kosztów własnych. Natomiast w gałęziach kapitałochłonnych, gdzie niewiele udało się zaoszczędzić na materiałach, jeden z głównych składników kosztów własnych — od-

pisys amortyzacyjne — traktuje się na ogół jako stałą, niezmienną część wydatków.

Przy takim podejściu służby ekonomiczne, kierownictwo przedsiębiorstw i załogi produkcyjne nie zwracają należytej uwagi na konieczność stałego obniżania nakładów z tego tytułu. Dlatego niekiedy nie dość efektywnie wykorzystywano nakłady inwestycyjne, a inwestorzy nie sprawowali należytej kontroli nad jakością budowanych obiektów i nad terminami oddawania ich do użytku. Obserwuje się również pewną bierność w wymaganiach stawianych nowej technice, nowej technologii i organizacji produkcji. Nierzadko służby inżyniersko-techniczne przedsiębiorstw zadowalają się tym, co daje im przemysł maszynowy i projektanci i nie domagają się od nich takich urządzeń i technologii, które najbardziej odpowiadają tym czy innym warunkom produkcji i gospodarowania.

Sańkow i Szadrina przypominają, że wielu ekonomistów, w tym i oni, postulowali włączenie kosztów własnych do rzędu wskaźników tworzących fundusze zachęt materialnych. „Możemy dziś z zadowoleniem stwierdzić — piszą — że w przemyśle gazowym i w niektórych innych gałęziach wysokość funduszu bodźców ekonomicznych dla załóg zależy obecnie przede wszystkim od dynamiki kosztów własnych.

Wynika to choćby z normatywnych opisów na fundusz bodźcowy przedsiębiorstwa „Mingazpromu”: za każdy procent obniżki kosztów

własnych nalicza się 5 proc. jego planowanej wielkości w bazowym 1975 roku, a za każdy procent wzrostu wydajności pracy — 2 proc. i za taki sam przyrost produkcji globalnej — 1 proc.

Wprowadzenie kosztów własnych jako wskaźnika tworzącego fundusze (dotychczas wskaźnikiem takim była rentowność) radykalnie zmieniło sytuację w dziedzinie bodźców. Dawniej załogi nie odczuwały prawie zupełnie dopingu do obniżania nakładów produkcyjnych. Dziś jest odwrotnie: obniżenie kosztów własnych przesądza o podstawowej masie przyrostu funduszu bodźców. W pierwszym kwartale roku bieżącego łączna suma dodatkowych odpisów w zjednoczeniu „Kubańgazprom” wyniosła 34,7 tysięcy rubli, z czego większość, bo 23,5 tysiąca rubli, ma swe źródło w obniżce kosztów własnych.

Autorzy stwierdzają, że nadanie wskaźnikowi kosztów własnych dużej roli w mechanizmie gospodarczym jest korzystne nie tylko dla załóg produkcyjnych, lecz również dla państwa. Tak na przykład obniżenie nakładów na wydobycie gazu przynosi oszczędności nie tylko dla przemysłu resortowy. Gaz jako paliwo i surowiec chemiczny wykorzystywany jest w przeszło 80 gałęziach i wszystkie one są zainteresowane w obniżeniu kosztów własnych produkcji gazu.

„Jednakże — podkreślają autorzy — za wcześniej byłoby spoczywać na laurach. Nie wszystkie problemy zostały już rozwiązane. A główny z nich polega na tym, że branżowe koszty własne w dużym stopniu zależą od ich poziomu w przedsiębiorstwach-dostawcach z innych gałęzi. Tak więc konieczne są skoordynowane posunięcia w sferze obniżania nakładów. Droga do rozwiązania tego problemu jest, wydaje się, włączenie wskaźnika kosztów własnych nie tylko do rzędu wskaźników tworzących fundusze, lecz również do rzędu głównych wskaźników zatwierdzanych przy tworzeniu planów przedsiębiorstw i gałęzi. Taki krok znacznie zwiększy rangę tej ważnej dźwigni ekonomicznej”.

(oprac. L)

NA POLSKI RYNEK

WIEKSZOŚĆ naszych wielkich inwestycji, fabryki, huty i rafinerie, a w ostatnich latach w coraz większym stopniu w szerokim zakresie rynek wewnętrzny korzystają z dostaw radzieckich towarów i surowców. W roku bieżącym zaplanowaliśmy wzajemne dostawy o wartości 5,8 mld rubli, czyli o ponad 11 proc. większe niż w roku 1976.

Największą pozycję w obrotach z ZSRR stanowią wyroby przemysłowe, a wśród nich maszyny i urządzenia. Asortyment ich jest bardzo szeroki — od obrabiarek skrawają-

cych do metali, pras i urządzeń górniczych do wielkich turbogeneratorów o mocy 200 i 500 MW. Bardzo pomocne w realizacji manewru gospodarczego są dostawy radzieckich maszyn budowlanych i drogowych. W pierwszym półroczu br. otrzymaliśmy z Kraju Rad 444 koparki, 160 spychaczy, 74 równiarki, 81 żurawi samojezdnych, 251 wózków elektrycznych i spalinowych itp.

Duży zastrzyk nowoczesności otrzymało również nasze rolnictwo w postaci blisko 9 tys. ciągników różnych typów, ok. 800 przyczep, 812

silosokombajnów, 800 kosiarzek, a także kilku tysięcy bron, kultywatorów i rozrzućników obornika i innych. Zakupiliśmy w ZSRR dla potrzeb naszego kolejnictwa 37 lokomotyw spalinowych, kilkadziesiąt wagonów samowyładowczych, maszyny i urządzenia do naprawy nawierzchni torowych, a ponad blisko 2 tys. samochodów ciężarowych różnych typów oraz 2 samoloty pasażerskie.

Do grupy towarów przemysłowych należą cieszące się niesłabnącym powodzeniem na naszym rynku radzieckie wyroby konsumpcyjne powszechnego użytku. Ich asortyment stale rozszerza się, a same wyroby stale rosną. ZSRR dostarczył nam już 126 tys. lodówek, 70 tys. mylników elektrycznych, 11 tys. pralek, blisko milion zegarków, ok. 120 tys. rowerów turystycznych,

200 tys. telewizorów (w tym ponad 28 tys. do odbioru programu w kolorze), ok. 7 tys. samochodów osobowych oraz duże ilości różnych artykułów gospodarstwa domowego, sportowych i turystycznych, aparatów fotograficznych i zabawek.

W zakresie surowców i materiałów do produkcji ZSRR zrealizował w okresie pierwszego półrocza dostawy 6,3 mln ton ropy naftowej, 3,3 mln ton rudy i koncentratów żelaza w czystym składniku, ok. 600 tys. ton surowców żelaza, 1,4 mld m sześć. gazu ziemnego, ponad 200 tys. ton rudy manganowej, ponad 85 tys. m sześć. tarcicy i 55 tys. ton celulozy. Należy również wspomnieć o radzieckich dostawach artykułów rolnospożywczych do Polski. Są to m. in. bawelna, len, sadzonki i nasiona.

MIARA STULECI

KIRGIZIA, jedna z radzieckich republik związkowych, w okresie minionych 60 lat przeżyła drogę od feudalizmu do rozwiniętego socjalizmu, i to zarówno pod względem politycznym, ekonomicznym, jak i społecznym; drogę — liczoną miarą stuleci. Mniej niż życie jednego pokolenia potrzebne by-

ło Kirgizji, aby z kraju z koczowniczą hodowlą bydła, prymitywną gospodarką rolną, feudalnymi stosunkami i kolonialnym uzależnieniem przekształciła się w dynamicznie rozwijającą się republikę.

Obecnie republika może się poszczycić ponad 100 gałęziami przemysłowymi. Ogólna produkcja przemysło-

wa w porównaniu z rokiem 1913 wzrosła 301 razy. W tym okresie wybudowano ponad 500 obiektów wielkoprzemysłowych. W szczególności szybkim tempie rozwijają się takie gałęzie przemysłu jak: elektronika i elektrotechnika, elektroenergetyka, hutnictwo metali nieżelaznych, przemysł maszynowy, produkcja aparatów.

Prawie 50 asortymentów tej produkcji dostarcza się do krajów wspólnoty socjalistycznej, a także do Francji, Anglii, RFN, Japonii i innych krajów Europy, Azji, Afryki,

Ameryki Łacińskiej. Udział przemysłu maszynowego w globalnej produkcji przemysłowej republiki stanowi obecnie prawie 25 proc. W roku 1976 wyprodukowano 4,8 miliarda kilowatogodzin energii elektrycznej, a więc więcej niż produkowano w całej przedrewolucyjnej Rosji.

Dziś na każde 10 tys. mieszkańców Kirgizji przypada trzykrotnie większa liczba studentów, aniżeli w RFN, dwukrotnie większa aniżeli w Anglii i półtora raza większa, niż we Francji.

w polityce handlowej. Nic więc dziwnego, że udział Wspólnoty Europejskiej w światowym handlu stał się z roku do roku. W 1960 r. do 40 proc. w 1974 r., podczas gdy udział Japonii zwiększył się w tym samym okresie z 27 proc. do 41 proc.

Przy wysuwaniu żądań wprowadzenia protekcjonistycznych przedsięwzięć ochronnych z powołaniem się na argument o zagrożeniu miejsc pracy — zapomina się na ogół o zależności Wspólnoty od eksportu, który ma przynajmniej równie znaczny wpływ na bezpieczeństwo miejsc pracy. Wymienię tylko nie-liczne przykłady:

● Import żelaza i stali do Wspólnoty wzrósł w 1976 roku w porównaniu z rokiem poprzednim o 19 proc. — do 4,2 mld dolarów, eksport Wspólnoty był jednak w 1976 roku ponad dwukrotnie wyższy i miał wartość 9,5 mld dolarów.

● Import obuwia do Wspólnoty w 1976 roku wyniósł 695 mln dolarów, podczas gdy eksport 885 mln dolarów.

● W sektorze tekstylnym import w 1976 roku osiągnął wartość 9 mld dolarów i został prawie wyrównany przez eksport Wspólnoty o wartości 7,6 mld dolarów.

Ograniczanie importu przez Wspólnotę wywoła automatycznie kontrospisunięcia innych krajów i wytworzy w ten sposób dodatkowo

znaczne kłopoty w dziedzinie zatrudnienia.

Tezę tę potwierdzają liczne przykłady z przeszłości. Po tej i po tamtej stronie Atlantyku robiono już porównawcze zestawienia eksportowanych i importowanych samochodów oraz kurczaków, koniaków i mięsa indyjskiego. Wspólnota musi wykazywać swą zdolność konkurencyjną nie tylko na własnych rynkach wewnętrznych, lecz przede wszystkim na rynkach krajów trzecich. Tak np. nie na wiele się przyda ochrona europejskiego rynku elektrycznicznego przed konkurencją japońską; jeżeli bowiem wyroby europejskie nie będą konkurencyjne tutaj na naszym kontynencie, to tym bardziej nie sprostatą konkurencji na innych rynkach.

Restrykcyjna polityka importowa Wspólnoty Europejskiej stanowiłaby w wysokim stopniu „negatywną politykę rozwojową”.

Jedną z wielkich sprzeczności w dyskusji nad tzw. nowym porządkiem w gospodarce światowej polega na tym, że często te same państwa i grupy występują w roli adwokatów trzeciego świata, a jednocześnie chcą utrudniać krajom rozwijającym się dostęp do rynków krajów uprzemysłowionych przez posunięcia ochronne.

Najsensowniejsza pod względem gospodarczym pomoc rozwojowa po-

lega przecież na tym, że kraje uprzemysłowione otwierają swe rynki dla wyrobów krajów rozwijających się. Mimo wielu rokowań w sprawie liberalizacji i mimo przyznania ogólnych preferencji istnieją ciągle jeszcze — przede wszystkim w sektorze rolniczym, ale również w przemyśle — liczne i odczuwalne, celne i pozacelne bariery handlowe wobec wyrobów krajów rozwijających się.

Występowanie za możliwie otwartym i swobodnym handlem światowym nie jest dla mnie problemem ideologicznym, lecz wyłącznie kwestią rozsądku gospodarczego i politycznego. Nie chodzi o ochronę jakiejś zasady i tym bardziej jakiejś ideologii. Decydujące jest wyłącznie to, że według wszystkich dotychczasowych doświadczeń można najłatwiej zapewnić wzrost gospodarczy i tym samym zatrudnienie właśnie przez swobodny handel światowy i międzynarodowy podział pracy.

Swobodny handel światowy może istnieć oczywiście tylko wtedy, gdy przestrzegane będą reguły uczciwej konkurencji. Dlatego Wspólnota nie wahała się i nie będzie się w przyszłości wahać przed zwalczaniem dumpingu, subwencji oraz podejmowaniem okresowych przedsięwzięć ochronnych w przypadku udowodnienia zakłóceń rynku.

Należy jednak podkreślić, że nie zawsze oferowanie niższej ceny to

dumping. Praktyki dumpingowe występują tylko wtedy, gdy oferuje się dany wyrób na rynku światowym po cenach niższych niż na rynku rodzimym. Przeciwdziałanie dumpingowi następuje w ramach dokładnych precyzowanych procedur prawnych. Nie mogą one służyć jako środek pozbawiania się konkurentów w drodze administracyjnej.

Obecna runda rokowań w sprawie GATT, która wešla w końcową fazę, stanowi dla Wspólnot Europejskich i ich partnerów handlowych, przede wszystkim dla Stanów Zjednoczonych i Japonii, okazję do analizy obecnego stanu handlu międzynarodowego i wprowadzenia doń — w razie konieczności — poprawek.

Poprawki wydają się potrzebne przede wszystkim w jednym punkcie: jeżeli dzisiaj jakiś kraj pragnie wzmocnić przejściowo ochronę pewnego sektora gospodarki przed importem, aby ułatwić konieczne przekształcenia tego sektora, to może on na podstawie reguł GATT podwyższyć cła lub ustanowić kontyngenty importowe. Musi on jednak zastosować te posunięcia wobec wszystkich bez różnicy partnerów handlowych — nawet wtedy, gdy „zakłócenia na rynku” powodowane są głównie przez wzrost importu z jednego lub dwóch krajów.

W związku z tym brane są pod uwagę także zmiany reguł GATT,

z krajów socjalistycznych

PERSPEKTYWY ENERGETYKI RWPG

Obecnie (dane za rok 1976) kraje RWPG produkują łącznie 1,5 biliona kilowatogodzin energii elektrycznej (22 proc. produkcji światowej, przy 10-procentowym udziale w zaludnieniu świata). Również w najbliższej przyszłości liczy się można z szybszym wzrostem zapotrzebowania krajów naszego systemu na energię. Stąd też narastanie zjawiska, które nazwać można „dojrzeniem energetycznej rewolucji”. W naszych warunkach jest przede wszystkim dynamiczny rozwój energetyki atomowej.

W Związku Radzieckim budowa nowych elektrowni atomowych postępuje w szybkim tempie. W jednym tylko pięciolatku 1976—1980 wchodzi do eksploatacji elektrownie tej kategorii o łącznej mocy 15 tysięcy megawatów, co stanowi około 20 procent całej instalowanej w tym czasie mocy w elektrowniach wszystkich typów. Udział energetyki atomowej w całkowitym przyroście mocy zainstalowanej w elektrowniach wyniesie w tych latach w CSRS — 7 do 10 proc., w Bułgarii — ok. 20 proc., w NRD — 27 proc. Rozpoczętą bądź planującą w najbliższym czasie budowę siłowni jądrowych Polska, Węgry, Rumunia, Jugosławia. Jest projekt, aby dwie elektrownie atomowe kraje RWPG zbudowały wspólnymi siłami. Byłyby one użytkowane w zachodnich rejonach europejskiej części ZSRR. W roku 1980 energetyka atomowa krajów RWPG (wraz z Jugosławią) dysponować będzie potencjałem wynoszącym 30 tysięcy megawatów zainstalowanej mocy.

RUMUNI NA 100 BUDOWACH

Rumuńscy specjaliści pracują obecnie na 100 placach budów w ponad 30 krajach. Realizują obiekty dla przemysłu chemicznego, górniczego, maszynowego, materiałów budowlanych itp. Do największych inwestycji prowadzonych przy udziale Rumunii zaliczyć można cementownię i fabrykę superfosfatu w Syrii, rozbudowę rafinerii w Jordani, osiedla mieszkaniowe i szkoły w Libii oraz porty w Maroku, Libii i Iranie.

Rumuni specjalizują się również w badaniach geologicznych. Przeprowadzili np. badania złóż fosforu w Egipcie, ołowiu i boksytu w Algierii, rud metali w Iranie. Poszukiwania geologiczne, jak również usługi konsultacyjne świadczą przedsiębiorstwa rumuńskie także wspólnie z firmami zagranicznymi.

KUBAŃSKIE KOMAJNY

Na Kubie uruchomiono w rocznicę zwycięstwa rewolucji fabrykę kombajnów do zbioru trzciny cukrowej, zbudowaną przy radzieckiej pomocy technicznej. Zakład produkować będzie 600 maszyn w ciągu roku. Pełną moc produkcyjną osiągnie w 1980 roku i będzie zatrudniał 7 tysięcy pracowników. Tak wielkiego obiektu produkcyjnego dotychczas jeszcze na Kubie nie było.

Kombajny DTP-1, opracowane wspólnie przez radzieckie i kubańskie projektantów, pozwolą na radykalne zwiększenie efektywności produkcji cukrowniczej — podstawy gospodarki kubańskiej.

ELEKTROWNE WODNE W CSRS

Trzy miliardy kilowatogodzin najtańszej energii elektrycznej produkować będą rocznie cztery nowe czeskosłowackie elektrownie wodne, zlokalizowane w północnej i południowej części Moraw oraz na Słowacji. Budowa pierwszej z nich — w miejscowości Liptowska Mara nad Wagiem — została już ukończona. Druga elektrownia — w Dalešvicach (Morawy) jest na ukończeniu — jej roczna produkcja wyniesie

745 mln kWh energii, a użytkowane przy niej sztuczne jezioro zaopatrywać będzie w wodę również wznowioną nie opodal elektrowni atomową Dukovany. Największa z nowo budowanych elektrowni wodnych powstaje w Czarnym Wagu — w rejonie, gdzie różnica poziomów w biegu rzeki wynosi 250 metrów. Czarna elektrownia jest w stadium projektowania.

EKSPORT PAPIEROSÓW

Bulgaria jest największym w świecie eksporterem papierosów. Największym klientem jest Związek Radziecki, dokąd kieruje się 85 proc. wywożonych z Bułgarii wyrobów tytoniowych. Do roku 1980 planuje się w Bułgarii zwiększenie produkcji tytoniu do 160 tys. ton w ciągu roku; będzie to prawie dwa razy więcej, niż obecnie. Zakłada się przy tym specjalizację poszczególnych przedsiębiorstw przetwórczych. W północno-wschodnich rejonach kraju produkować się będzie tytoń „wschodni”, w zachodniej i środkowej części równiny dunajskiej skoncentrowane będą plantacje tytoniu typu „Virginia”, a w okęgach Michajłow, Wraca, Silistra i Jambol — tytoniu typu „Barley”. Gatunki te zdobyły sobie dużą popularność na rynku międzynarodowym.

MEBLE Z JUGOSŁAWII

W roku 1976 Jugosławia wyeksportowała różnych mebli na sumę około 2 miliardów 200 milionów dinarów (aktualny kurs: 1 dolar — ok. 18 dinarów). Ale już w pierwszych miesiącach tego roku sprzedali Jugosławianie o 31 proc. więcej mebli, aniżeli w tym samym okresie roku ubiegłego. Od wielu lat głównymi odbiorcami mebli jugosłowiańskich są kraje Europy Zachodniej oraz Stany Zjednoczone. Poważnym klientem są też kraje socjalistyczne, w tym i Polska, głównie jednak Związek Radziecki. Najszybszy rozwój się sprzedaż eksportowa do krajów Trzeciego Świata. Ogółem obroty jugosłowiańskiego eksportu mebli w latach 1971—1975 zwiększyły się z 679 mln do 1 mld 574 mln dinarów rocznie.

BULGARSKA WIEŚ

W Bułgarskiej wsi brak strzech, polne drogi i tego, co nazywamy losem natury. Wieś bułgarska kojarzy się nam raczej z małym, zadbanym miasteczkiem. Już 119 bułgarskich wiosek szczyci się dziś prawami miejskimi. Nie oznacza to, że pozostałe nie mają pretensji do nowoczesności: wszystkie wiejskie domy są murowane, w każdym z nich oprócz telewizora i lodówki stoi pralka.

Wzrastająca zamożność rolników produkcyjnych i PGR powoduje ciągły wzrost dynamiki budownictwa mieszkaniowego na wsi. W ciągu ostatnich dwudziestolecia wioski mogły sobie pozwolić na budowę 750 tys. nowych domków. Oddawano je rolnikom po wniesieniu przez nich wpłaty, wynoszącej 20 proc. wartości domu. Resztę pokrywało państwo w formie wieloletniego kredytu, rozłożonego na bardzo długie raty. Wraz z domkami powstawały obiekty towarzyszące — sklepy, warsztaty usługowe, przedszkola, szkoły.

PILZNER NAJLEPSZY

W ubiegłym roku Stany Zjednoczone — największy na świecie producent piwa — zakupił w Czechosłowacji 8 milionów litrów Pilznera. Fakt ten, połączony z wieloletnią już praktyką eksportu piwa czeskosłowackiego do Anglii, Francji, Japonii, RFN, Włoch, Belgii, Kanady, Polski, ZSRR i kilkadziesiąt innych krajów, jest niewątpliwie dowodem bezkonkurencyjnej jakości Pilznera — zwłaszcza, że odbiorcy zazwyczaj chcą znacznie więcej niż są w stanie dostarczyć czeskosłowackie browary.

aktualności

SKUP ZBOŻ

Wyniki działalności punktów skupu zbóż wskazują, że poziom skupu zbóż z nowych zbiorów jest nieco niższy niż przed rokiem. Częściowo jest to uzasadnione wyższym stanem pogłowia trzody chlewnej. Częściowo decydują o tym jednak chyba i słabsze niż przed rokiem zbiory.

Zwraca jednak uwagę wysoki wzrost skupu zbóż w woj. kroszeńskim, kieleckim, tarnobrzeskim i przemyskim. Pożądane wydaje się więc podjęcie bliższych analiz przyczyn tego zjawiska, a zwłaszcza wyjaśnienie, czy nie decyduje o tym regionalne osłabienie zainteresowania rozwojem hodowli trzody. (Sb)

SPADEK SPRZEDAŻY NAWOZÓW

Sprawozdania napływające z sieci handlu nawozami sztucznymi CZSR „Samopomoc Chłopska” wskazują, że ich sprzedaż pod przyszłoroczne zbiory w okresie od lipca do września br. ukształtowała się niżej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Na niektórych terenach spadek sprzedaży sięga ponad 20 proc., chociaż zapasy nawozów są wyższe niż przed rokiem.

Częściowo może to być uzasadnione trudnymi warunkami atmosferycznymi i spiętrzeniami robót polowych. Nadmierne opady na wielu terenach wyplukają jednak znaczną część mineralnych składników pokarmowych. Niezbędne jest więc wydane wzmocnienie nawożenia. Służba rolna powinna podjąć intensywne starania o zwiększenie zainteresowania rolników wysiewem nawozów i przygotowaniem wydajnej intensyfikacji nawożenia w okresie wiosennym. (Sb)

WIEŚ WOLA O TOWAR

Poczynając od września na poziom przychodów pieniężnych rolników w decydującym stopniu oddziałują nowe zbiory zbóż, okopowych i owoców. Wskazane jest więc, aby handel wiejski poddał analizie kształtowanie wydatków z tytułu skupu we wrześniu i październiku br., aby móc odpowiednio skorygować dostawy na zaopatrzenie wsi.

Odnosi się to zwłaszcza do terenów województw: łódzkiego, nowosądeckiego, radomskiego, śląskiego, szczecińskiego i zielonogórskiego, gdzie wrześniowy wzrost wydatków z tytułu skupu produktów rolnych jest szczególnie wydatny (w granicach kilkunastu procent). (Sb)

WZROST SPRZEDAŻY PASZ

Wrzesień br. przyniósł wydatne dynamizowanie tempa wzrostu sprzedaży pasz przemysłowych indywidualnym odbiorcom. Była ona bowiem o około 60 proc. wyższa niż we wrześniu ubiegłego roku, podczas gdy jeszcze w okresie 8 miesięcy br.

była zbliżona do sprzedaży z analogicznego okresu ubiegłego roku. Na niektórych terenach wrzesniowa sprzedaż pasz wzrosła nawet ponad 2-krotnie.

Na tym tle zwraca uwagę spadek sprzedaży pasz we wrześniu br. w porównaniu z wrześniem ubiegłego roku na terenie województw: gorzowskiego, nowosądeckiego i częstochowskiego. Pożądane wydaje się więc, aby służba rolna na tych terenach podjęła próbę wyjaśnienia przyczyn tego spadku sprzedaży: czy jest on uzasadniony nadwyżkami własnych pasz, czy też niedomaganiem w zaopatrzeniu handlu wiejskiego. (Sb)

CENY PASZ

Ceny pasz w obrotach pomiędzy rolnikami we wrześniu br. były nieco niższe niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Odnosi się to zwłaszcza do cen żyta, które spadły o 4 proc. i ziemniaków, które spadły o ponad 10 proc. Nieznacznie wzrosły ceny siana łąkowego (o 2,5 proc.), a ceny słomy ozimej pozostały bez zmiany. Sprzyjać to powinno rozwojowi hodowli. (Sb)

Zwraca jednak uwagę dość znaczny wzrost cen żyta w woj. łódzkiej, sieradzkim i wałbrzyskim oraz cen ziemniaków w woj. płockim, siedleckim i wrocławskim. Większe wzrosty cen siana zanotowano w woj. bydgoskim, koszalińskim, legnickim, suwalskim i wałbrzyskim. Na tych terenach zwiększonej uwagi wymaga odpowiednie zaopatrzenie w paszę treściwą bądź w paszę objętościową. (Sb)

SPRZEDAŻ WAPNA NAWOZOWEGO

Sprzedaż wapna nawozowego pod przyszłoroczne zbiory była w okresie od lipca do września br. o ponad 10 proc. niższa niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Zwraca zwłaszcza uwagę znaczny spadek tej sprzedaży na terenach województw: białkopodlaskiego, białostockiego, ciechanowskiego, konińskiego, mieleńskiego i pińskiego — znanych z dużego zakwaszenia gleb.

Główną przyczyną tych zakłóceń w sprzedaży są, jak się wydaje, niedomagania w zaopatrzeniu handlu wiejskiego, spowodowane głównie trudnościami przewozowymi. Na wielu terenach poziom zapasów wapna nawozowego spadł bowiem do bardzo skromnych rozmiarów. Zwiększonej uwagi wymaga więc przygotowanie zapasów nawozu do wapnowania gleb w okresie wiosennym. (Sb)

KAMPAANIA GORZELNICZA

W czasie ubiegłorocznej kampanii gorzelniczej ponieśliśmy znaczne straty, spowodowane niewłaściwym, niestannym zmagazynowaniem ziemniaków. Zaniedbania polegały głównie na: wyborze niewłaściwego terenu pod kopce (zbyt wilgotnego); kupowaniu ziemniaków nadspójnie; niedostatecznym zabezpieczeniu kopców słomą i ziemią itp.

W bieżącym roku jakość dostarczanych do gorzelni ziemniaków jest prawdopodobnie gorsza niż przed rokiem. Wskazane jest więc przeprowadzenie specjalnych kontroli prawidłowości zmagazynowania ziemniaków na tegoroczną kampanię gorzelniczą.

Ze względu na niską jakość ziemniaków, wskazane wydaje się ponadto podjęcie pracy wielozmianowej drogą skrócenia okresu fermentacji wszędzie tam, gdzie pozwalają na to istniejące warunki, a zwłaszcza gdzie jest dostateczne zaopatrzenie w wodę. Trzeba by również zwiększyć zaopatrzenie w kadzie do fermentacji, które są niedostępnymi dla przedłużenia zmianowości pracy pozostałych urządzeń. (Sb)

ROZWOJ USŁUG BYTOWYCH

Mimo dość wysokiego tempa wzrostu usług dla ludności opłacanych z jej środków pieniężnych (ponad 20 proc.) w okresie minionych trzech kwartałów, zaawansowanie zadań rolnych ukształtowało się poniżej 75 proc. planu rocznego. Szczególnie słabe zaawansowanie realizacji zadań rolnych zanotowano w województwach: zielonogórskim, koszalińskim, tarnobrzeskim, bydgoskim, przemyskim i śląskim (poniżej 70 proc.). Na tych więc terenach powinna pod koniec roku nastąpić szczególna intensyfikacja zabiegów zmierzających do przyspieszenia rozwoju bazy usług świadczonych przez jednostki gospodarki społecznej. (Sb)

INWESTYCJE PLANU TERENOWEGO

Przegląd stanu zaawansowania realizacji terenowego planu nakładów inwestycyjnych wskazuje, że w okresie minionych trzech kwartałów budowlani nie zdołali zrealizować 75 proc. zadań rolnych. Największe opóźnienia zanotowano na terenie województw: nowosądeckiego, płockiego, skierniewickiego i toruńskiego. Nie osiągnięto tam nawet 70 proc. zaawansowania zadań planowych.

Nadrobienie opóźnień terenowego planu nakładów inwestycyjnych w wymienionych województwach może okazać się więc bardzo trudne. (Sb)

PO ŚWIATOWYM KONGRESIE EKONOMISTÓW

O wrażeniach z V Światowego Kongresu Ekonomistów w Tokio mówić będzie na zebraniu organizowanym przez Koło Absolwentów SGH-SGPIs przy PTE doc. dr ZDZISŁAW SADOWSKI (współreferent na kongresie ze strony polskiej).

Zebranie odbędzie się w środę, dn. 23 listopada 1977 r., o godz. 18 w Domu Ekonomistów, Warszawa, ul. Nowy Świat 49.

stawy to br. — 57,6 tysięcy (wykonano za 3 kwartały — 41,3 tysiące), co oznacza wzrost o 34,6 proc. w porównaniu do ub. roku.

W bilansie dostaw na 1978 rok założono dalszy przyrost tapczano-pótek — do 62,5 tysięcy. Ten typ mebli produkować będą też Swarzędzkie Fabryki Mebli.

Zjednoczenie zdaje sobie sprawę z szybkiego wzrostu popytu na ten asortyment, niż wynoszący przyrosty dostaw rynkowych. Niestety, w sytuacji ogólnego niedoboru mebli skrzyniowych i przy obecnych możliwościach inwestycyjnych, każde zwiększenie w istotny sposób wielkości produkcji jednego asortymentu, może się odbyć tylko kosztem ilości innych mebli poszukiwanych na rynku.

Cieszą zapewnień o dalszym przyroście dostaw i wyjaśnienie można uznać za wyczerpujące... w zasadzie. Nie jestem bowiem przekonany o tym, że wszystkich bez wyjątku mebli brakuje na rynku. Równomierność nie ma w tym względzie. Doszły mnie np. sygnały z handlu, że jest dość dużo, a nawet tworzą się zapasy, mebli tapicerowanych. Tak więc, czy nie można byłoby przez korektę profilu produkcyjnego lepiej trafić w aktualne potrzeby rynku? Może więc zamiast 62,5 tys. tapczano-pótek w 1978 roku udałoby się wyprodukować np. 100 tysięcy? (A.N.-J.)

w ubiegłym tygodniu

w kraju

● **BIURO POLITYCZNE KC PZPR** na posiedzeniu w dniu 9 bm. zaaprobowало sprawozdanie delegacji partyjno-państwowej PRL, która pod przewodnictwem I sekretarza KC PZPR brała udział w uroczystościach 60-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Państwowej.

Biuro Polityczne rozpatrzyło informacje o realizacji zadań w dziedzinie specjalizacji i kooperacji gospodarskich rolnych, nakreślonych przez IV i VI Plenum KC. Specjalizacja i kooperacja gospodarskich rolnych to ważny czynnik modernizacji rolnictwa i szybkiego zwiększania produkcji rolniej. Przewiduje się, że do końca bieżącej pięcioletniej ilości gospodarstw specjalistycznych znacznie wzrosło. Stawia to przed administracją, służbą rolną, jednostkami obsługi rolnictwa i kółkami rolniczymi poważne zadania. Naczelniczy gmin powinni zapewnić gospodarstwu podejmującym specjalizację pierwszeństwo w nabywaniu środków produkcji rolniej, a także w korzystaniu z kredytów. Gospodarstwa te powinny też mieć możliwość powiększania swego arealu, zwłaszcza drogą zagospodarowania gruntów Państwowego Funduszu Ziemi.

Biuro Polityczne zaleciło, aby w toku indywidualnych rozmów z rolnikami prowadzonych po IX Plenum określić możliwości dalszego wzrostu produkcji towarowej gospodarstw specjalistycznych, a równocześnie ustalić formy pomocy dla tych gospodarstw ze strony władz wojewódzkich, gminnych i służby rolniej.

Biuro Polityczne zapoznało się z informacją o skupie oraz gromadzeniu rezerw zimowych ziemniaków, warzyw i owoców ze zbiorów 1977 r. W wyniku nieźle urodzajów warzyw i owoców dobrze przebiega ich skup oraz gromadzenie rezerw na okres zimowy. Również zaopatrzenie aglomeracji miejskich w ziemniaki przebiega prawidłowo.

Zlecono dalsze działania na rzecz dobrego zaopatrzenia ludności w owoce, warzywa i ziemniaki.

● **KANCLERZ RFN**, Helmut Schmidt złożył oficjalną wizytę w Polsce w dniach 21—25 listopada br.

● **SPOTKANIA Z ZAŁOGAMI**. I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek przebywając w Gorzowie Wlkp. 10 bm. odwiedził Zakłady Włókien Chemicznych „Chemitex-Stilon”. 14 bm. Edward Gierek uczestniczył w zakładowej konferencji partyjnej w Zamojskich Fabrykach Mebli. W zakładowych konferencjach sprawozdawczo-wyborczych PZPR wzięli także udział: przewodniczący Rady

Państwa, Henryk Jabłoński — w WSK Świdnik i w Warszawskich Zakładach Maszyn Budowlanych im. L. Waryńskiego oraz premier Piotr Jaroszewicz — w Kopalni „Lenin” w Mysłowicach-Wesołej.

● **WYBORY DO RAD NARODOWYCH** stopnia podstawowego odbędą się 5 lutego 1978 r.

● **POPRAWA ZAOPATRZENIA RYNKU** była tematem krajowej narady 14 bm. w Komitecie Centralnym PZPR w Warszawie. Przewodniczył jej sekretarz KC PZPR, Stefan Olszowski, a uczestniczyli: przewodniczący Komisji Planowania, Tadeusz Wrzaszczyk, wicepremier Tadeusz Pyka, kierownicy wydziałów KC zajmujący się sprawami gospodarczymi, ministrowie, sekretarze organizacji partyjnych resortów gospodarczych i wybranych wielkich zakładów przemysłowych oraz dyrektorzy niektórych zjednoczeń — największych dostawców towarów rynkowych.

● **MAŁE SKLEPY NA ZŁECENIE**. Rada Ministrów podjęła uchwałę w sprawie prowadzenia punktów sprzedaży detalicznej na podstawie umowy na warunkach zlecenia. Przedsiębiorstwa państwowe będą miały prawo przekazywania osobom fizycznym prowadzenia sklepów o różnego rodzaju drobnych punktów detalicznych zatrudniających do 3 osób personelu, a w uzasadnionych przypadkach nawet 4 — z wyjątkiem punktów sprzedaży mięsa i wędlin, wyrobów garmażeryjnych, sklepów komisyjnych i jubilerskich oraz z napojami alkoholowymi (powyżej 18 proc.) do których to placówek przepisy te nie mają zastosowania.

Zgodnie z nowymi przepisami, prowadzenie sklepu można przekazać każdej osobie fizycznej — przy czym prawo pierwszeństwa mają ci, którzy dysponują własnymi lokalami lub zaangażują swoje środki finansowe w budowę lokali handlowych, osoby, które już prowadzą 1—4 osobowe punkty sprzedaży detalicznej na podstawie umowy o pracę, pracownicy zarządów przedsiębiorstw handlowych oraz pracownicy administracji państwowej. Osoba przejmująca sklep lub też inny punkt sprzedaży detalicznej, w okresie pierwszych trzech lat płacić tylko określonej stawki ryczałtu, a w następnych latach kwota ta określana jest procentowo — w zależności od wysokości obrotów — na okresy 5-letnie.

Przepisy uchwały dopuszczają również możliwość zatrudniania pracowników lub korzystania z pomocy członków rodziny i innych osób pozostających z nią we wspólnym gospodarstwie.

Osoby, które przejęły prowadzenie sklepów detalicznych, mogą nabywać towary nie tylko w magazynach jednostek gospodarki społecznej,

ale również w sklepach i u osób trudniących się wytwórczością ludową i artystyczną, a także u producentów rolnych i ogrodników oraz u rybaków. W placówce takiej można sprzedawać również plody rolne z własnej działki oraz wykonane przez siebie niektóre przetwory.

Obowiązują ceny detaliczne ustalone przez Państwową Komisję Cen i jej oddziały lub upoważnione organy.

● **W HUCIE „KATOWICE”** — z pięciomiesięcznym wyprzedzeniem w stosunku do pierwotnego harmonogramu — rozpoczęła produkcję trzecią taśmą spiekalniczą. Przed uruchomieniem wielkiego pieca nr 2, taśma, która dostarczać będzie wsad dla tego kołosa, powinna osiągnąć pełną zdolność produkcyjną: 350 — 450 ton wysokiej jakości aglomeratu na godzinę.

W urzędniczej trzeciej taśmie, na podstawie wniosków z eksploatacji dwóch poprzednich, zastosowano szereg usprawnień w instalacjach elektrycznych, urządzeniach mechanicznych i kontrolno-pomiarowych.

● **SILNE WIATRY**, które przeszły nad Polską w początkach tygodnia, zahamowały niektóre prace w portach oraz uszkodziły linie energetyczne. W górach od wysokości powyżej 500 m spadł pierwszy śnieg.

● **POŁONIJNA FIRMA „KORE”** z USA, której prezesem jest znany ze współpracy z krajem Mitchell Kobelinski, zbuduje w Warszawie wielki zespół turystyczno-usługowy. Będzie to ok. 600-pokojev hotel z zapleczem gastronomicznym w zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej oraz trzy 150-pokojowe motele w rejonie Wilanowa, ul. Pułkowej na Żoliborzu i Świdrow Malych. Ponadto „Kore” wzniesie szereg obiektów towarzyszących. Jest to największy tego typu kontrakt zawarty w naszym kraju — jego wartość szacuje się na ponad 50 mln dolarów.

Budowa hotelu (metoda „IED” — najpierw trzon budynku, a potem wokół niego, poczynając od góry, kompletne wykończone i wyposażone piętra) ma się rozpocząć w połowie przyszłego roku, a zakończyć pod koniec roku 1978.

Głównym architektem-konsultantem będzie jeden z najwybitniejszych architektów USA, Stanisław Gładych, urodzony w Warszawie.

● **W HARCERSKIEJ AKCJI LETNIEJ** uczestniczył w br. 1,6 mln młodzieży.

● **SPÓŁDZIELCZOŚĆ STUDENCKA** oczekwała się już II zjazdu, który odbył się 14 bm. w Warszawie. W br. wartość usług świadczonych przez studenckie spółdzielnie pracy wyniosła ponad 800 mln zł. Kilkaście lat temu bywało to milionów kilka.

radzieckich, a także unieważnia radziecko-somański Układ o Przyjaźni i Współpracy z 11 lipca 1974 r.

Jak pisze agencja TASS, rząd somalijski powziął tę decyzję jednostronnie i w warunkach faktycznej wojny, rozpetanej przeciwko sąsiedniej Etiopii. W rzeczywistości za akcją władz somalijskich kryje się niezadowolenie z tego, że Związek Radziecki nie poparł pretensji terytorialnych Somalii wobec sąsiedniego państwa i odmówił współdziałania w wywołaniu bratobójczej wojny na kontynencie afrykańskim.

15 lutego przyszłego roku w Libii odbędzie się spotkanie przywódców państw arabskich.

W czasie obrad KC FPK, G. Marchalski oświadczył, że zwycięstwo wyborcze nie jest dla komunistów celem ostatecznym, lecz środkiem do przeprowadzenia głębokich reform ekonomiczno-społecznych kraju. Gdyby zatem FPK zaopatrzyła obecną platformę programową partnerów z Unii Lewicy, oznaczałoby to zgodę na taką linię przyszłego rządu lewicy, która nie wykraczałaby poza ograniczone zmiany realizowane przez zachodnioeuropejską socjaldemokrację.

Z materiałów plenum wynika, że Francuska Partia Komunistyczna liczy obecnie 611 tys. członków, zaś w najbliższych trzech latach planuje dojść do miliona członków.

W czasie wizyty we Włoszech ministra handlu zagranicznego, Jerzego Olszowskiego podpisano polsko-włoskie porozumienie handlowe, którego wartość wynosi około 360 mln dolarów. Minister J. Olszowski został przyjęty przez premiera Włoch, Giulio Andreottiego.

Prezydent Ludowej Republiki Angolii, Agostinho Neto otrzymał Nagrodę Leninowską „za utrwalenie pokoju między narodami”.

W Addis Abebie opublikowano komunikat o skazaniu na śmierć i straceniu pułkownika Atanafu Abate, który zajmował stanowisko zastępcy przewodniczącego Tymczasowej Rady Administracyjnej Etiopii. W oświadczeniu rządu stwierdzano, że Atanafu Abate utraczył wiarygodność i siłąmi kontroli rewolucyjnymi i amerykańską agencją wywiadowczą CIA, występował przeciwko reformie rolniej i innym rewolucyjnym przeobrażeniom.

Papież Paweł VI przyjął grupę 29 biskupów polskich z prymasem Polski, kardynałem Stefanem Wyszyńskim na czele.

Rząd Somalii oznajmił, iż nie uważa za konieczne dalsze przebywanie w swym kraju specjalistów

z państw OPEC, aby ustalić cenę ropy na rok 1978. Większość państw OPEC opowiadała się za podwyżką od 5 do 10 proc. Arabia Saudyjska opowiadała się poprzecznie za zamrożeniem wskaźnikowej ceny ropy na obecnym poziomie 12,70 dolarów za baryłkę, ale spadek notowań dolara wpłynął na zmianę stanowiska tego kraju. W sytuacji tej obserwatorzy spodziewają się „umiarkowanej podwyżki”, która sięgać będzie od 5 do 10 proc.

Prasa Kuwejtu podała, powołując się na oficjalne źródła iraackie, że Irak opowiadał się będzie na grudniowej konferencji OPEC za podwyżką cen ropy naftowej o 23 proc.

USA zwiększyły potrącenie dla importowanego cukru. Celem tego posunięcia jest pomoc amerykańskim producentom cukru, którzy nie są w stanie konkurować z cenami rynku światowego.

Szef wojskowej administracji Boliwii, gen. Hugo Banzer zapowiedział przeprowadzenie w lipcu przyszłego roku wyborów powszechnych i powrót do rządów cywilnych.

W oczekiwaniu na decyzję w sprawie przyjęcia do EWG, Portugalia wezwała „Wspólny Rynek”, do niedyskryminowania portugalskiego eksportu sardynek, wina, przetworów pomidorowych, a także tekstyliów.

Rząd szwajcarski odrzucił prośbę Włoch o informację na temat numerów kont w bankach szwajcarskich, na których znajdują się pieniądze przebrane przez łapowników z afery „Lockheeda”.

„Niechodliwe towary trzeba przeceniać” — pod takim tytułem „Prawda” opublikowała artykuł, w którym czytamy m. in.: „Fabryki, nie placąc za surowce, w niedostatecznym stopniu uwzględniają koniunkturę rynku. A handel wiecie, że w końcu zalegający sklep towary zostają i tak przecenione, odnosi się to do towarów, które nie zostały sprzedane”.

Przyspieszenie zbytu wyrobów będzie przyczyniać się również do ustalenia ostatecznego terminu ich sprzedaży. Wyroby, których termin znajdowania się w sklepach i hurtowniach upływał, należy wyodrębnić w osobną kategorię dóbr materialnych, wymagających szybkiej rozprzedaży. Obecnie czas cyrkulacji wyrobów powszechnego użytku wynosi przeciętnie 110 dni, czyli prawie dwukrotnie więcej niż czas produkcji. Rozpiętość to jest bardzo duża. A tymczasem przyspieszenie cyrkulacji maszyn towarowej o jeden tylko dzień daje gospodarce narodowej około 800 mln rubli zysku. Udoskonalenie mechanizmu przeceny pozwoli uruchomić tę ważną rezerwę.”

na rynku

BARY MLECZNE POD OCHRONĄ

Zgodnie z dezyderatem sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytwarzalności i Usług, CZSS „Społem” wydał zakaz likwidacji barów mlecznych. Jeśli jakiś bar musi zostać zamknięty — na przykład z powodu wyburzenia budynku czy złych warunków sanitarnych — spółdzielnie spożywców zobowiązane są do przekształcenia innego zakładu gastronomicznego w bar mleczny. Zgodnie z planem, w tym roku przybyć miało w kraju 11 tych niemiernie wśród konsumentów popularnych placówek gastronomicznych. Do 31 września otwarto już 10 barów, a do końca roku przebiedzie jeszcze prawdopodobnie 6. Plan na rok przyszły przewiduje otwarcie 30 nowych barów. Jest więc postęp, ale wciąż jeszcze niewystarczający w stosunku do potrzeb. Dlatego stoiska z daniami i napojami mlecznymi organizuje się również w barach szybkiej obsługi. Do końca września zorganizowano ich 106, ponad dwukrotnie więcej niż przewidywał pierwotny plan na ten rok. (zd)

HANDLOWE PUSTYNIE

W 1976 r. plan budowy sieci handlowej i usługowej, towarzyszącej budownictwu mieszkaniowemu — a więc głównie na nowych osiedlach — wykonany został zaledwie w oko-

KTO TAM? TO MY, FACHOWCY!

MIESIĄC temu, w telewizyjnym programie XYZ poszukiwanym iksem okazał się Zbigniew Zapasiewicz. Opowiedział on historię, która brzmiała mniej więcej tak:

Przyjacieli Zapasiewicza zgubił klucz od mieszkania. Żadne konwencjonalne metody otwarcia drzwi nie wchodziły w rachubę, bo zamek był jakiś super-ekstra-de-luz. Zrozpaczonego właściciela mieszkania gotów był wywołać do pomocy, kiedy ktoś z przywołanych na pomoc fachowców, polecił mu pewnego fachowca od otwierania zamków. Fachowiec przyszedł, pogrzebał w zamku przez kilkanaście sekund, otworzył, powiedział, że należy się słowa, zainkasował i — polecą się na przyszłość — znikł. „Zawsze cenilem ludzi, którzy znają się na swojej robocie — skomentował to Zapasiewicz. — Ten człowiek po prostu mnie wzruszył”.

Podobało mi się to opowiadanie, bo mnie też wzruszają prawdziwi fachowcy. Tacy chociażby, jak ów arcydotychny mechanik samochodowy,

który przez kilka chwil słuchał, jak pracuje dychawiczny silnik, po czym wziął młotek do ręki, stuknął, a kiedy silnik zaskoczył równym rytmem, zażądał stu złotych.

Jak to, za jedno stuknięcie młotkiem chce pan sto złotych? — oburzył się właściciel samochodu. — Nic podobnego — oświadczył mechanik. — Za stuknięcie biorę 5 złotych, a pozostałe 95 za to, że wiem, gdzie stuknąć.

Ktoregoś dnia, jak zwykle, kładę się spać nakręciłem zegarek. Budzę się rano — zegarek nakręcony stoi. Tradycyjne metody uruchomienia go (stukanie, potrząsanie itp.) nie dały egzaminu. Udałem się do zegarmistrza.

Otworzył kopertę, zajrzał przez lupę, pogrzebał w środku i orzekł: — Nic się nie da zrobić. Tu jest wyrobione łożysko. Trzeba dać nowe, ale zegarek jest szwajcarski, a my nie dostajemy do nich części.

Nie jestem specem od zegarków, ale na technice znam się na tyle, żeby wiedzieć, iż łożysko na ogół nie wyrabia się w ciągu minuty. Zwyk-

le trzeba na to nieco więcej czasu. Zresztą nawet przy wyrobionym łożysku zegarek dałby się uruchomić, choćby na chwilę. Ten zaś stał jak zamurowany i nie chciał nawet drgnąć.

„Szukajcie, a znajdziecie” — mawiał pewien klasyk mądrości życiowych. — „Wierzyć — znaczy sprawdzić” — mawiał zupełnie inny klasyk.

Zegarmistrzowi w „Sezamie” podsunąłem zegarek, nie mówiąc o poprzednio usłyszanym diagnozie. Popatrzył, pogrzebał i oddał mi go mówiąc: — Nic się nie da zrobić. Tu jest skrzywiona ośka. Trzeba ją wymienić, ale zegarek jest szwajcarski, a ja dostaję części tylko do radzieckich.

Trudno — mruknąłem i utwierdziłem się w przekonaniu, że zegarkowi nie szczególnie nie jest i że do wyleczenia z chwilowej niemocy potrzebny mu fachowiec, a nie ośka.

Poszedłem do Hali Mirowskiej. Zegarmistrzowi, ognista brunetka, pogrzebała w zegarku, pokręciła gło-

wą i zasięgnęła konsultacji siedzącego obok kolegi po fachu. Oboje teraz popatrzyli, pogrzebali i orzekli: — Nic się nie da zrobić. Tu jest pęknięty kamień.

— To co, nie da się wymienić kamienia? — zapytałem naiwnie.

— Skąd?! — zakrzyknęła chórem para fachowców. To jest „Buler”, a my dostajemy kamienie tylko do „Pobedy”.

Kiedy wyszedłem z Hali, przypomniało mi się, że w sąsiednim (obok mojego) domu, który stoi przy Marszałkowskiej, więc zgodnie z logiką wydziału geodezji ma adres Przechodnia 2, jest zegarmistrz. Zaden tam salon zegarmistrzowski, ot zwykły sobie Uhrmacher, dzielący pomieszczenie z drugim panem, zajmującym się zbrojnictwem. Ledwo wyjąłem z kieszeni zegarek, mistrz rzucił okiem z odległości 2 metrów i powiedział: — O, szwajcarski! Uprowadź, że ja jestem przywaciar, więc nie dostaję części.

— Ale może pan przynajmniej rzucić okiem, co mu jest.

Zegarmistrz otworzył kopertę, spojrzął przez lupę, odkręcił jakąś śrubkę, wziął do ręki gumową gruszkę, dmuchnął powietrzem między trybiki, zamknął kopertę i powiedział: — W porządku, naprawiony.

— Ile płacę? — zapytałem, lekko zdziwiony.

— Nic. — powiedział zegarmistrz. — Ale przy okazji uprzedzam, że zegarek jest trochę zanieczyszczony. Jeśli może go pan zostawić i wpaść

za godzinę, to go wyczyszczę i naoliwię. Będzie pan miał spokój na parę lat.

Zostawiłem, wpadłem za godzinę. Zegarek był gotów. Zapłaciłem pięćdziesiątka i włożyłem „Bulera” na rękę.

— A co mu właściwie było? — zapytałem na odchodnym.

— Miał pan pecha — powiedział zegarmistrz. — Siedział tu w środku jakiś paproch, który dostał się między trybiki akurat w tym momencie, kiedy skończył pan nakręcać i zablokował cały interes. Zwolniłem śrubkę mocującą kółko, wydmuchałem paproch i po robocie.

Wzruszyłem się. Cóż, mógł Zapasiewicz wzruszyć ślusarz, mógł mnie wzruszyć zegarmistrz. To jest naprawdę fachowiec. Przy tych od wyrobionego łożyska, skrzywionej ośki i pękniętego kamienia, słowo „fachowiec” trzeba ująć w cudzysłów.

Kiedy indziej na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej ujrzałem rzadki dość widok. Pałła się „Syrena”. Stała z podniesioną maską, spod której buchały płomienie. Obok stał wóz bojowy Straży Pożarnej. Strażacy polewali płonącą „Syrenę” wodą z węża. I słusznie, bo przecież każde dziecko wie, że benzyna naj-
lepiej jest gasić wodą.

Woda rozlewała się dookoła, a po niej pływała płonąca benzyna. Właściciel samochodu co chwila odciągał za tylny zderzak „Syrenę” w inne miejsce, bo strażakom było za ciepło w jeziorze z ogniem. Po pięciu minutach nie wytrzymałem.

Podszedłem do milicjanta, który pilił nowal, żeby gapię nie podchodził zbyt blisko i powiedziałem: —

— Panie władzo, przeçois pan tych dwóch facetów ze szlauchem. Obok stoi miejski „Berliet”. Weź pan od kierowcy gaśnicę halonową. Wystarczy dmuchnąć halonem i po problemie.

— Rozejście się, obywatelu — powiedział władza. — Wy się na tym nie znacie, oni są fachowcy.

„Kierownictwo wie lepiej” — pomyślałem i odszedłem. „Syrena” była już cała czarna i skręcała się w grzączek. W pewnej chwili jeden ze strażaków też doszedł do wniosku, że coś tu nie gra, bo powiedział do kolegi, cytując: —

— Te, Kaziak, k... trza coś wykombinować, bo nie wyrobiem.

— Nie p... lej — zawyrokoował kolega Kaziaka.

Nie wiem, jak długo trwałaby ta uroczysta zabawa, gdyby nie mała wytrzymałość nerwowa trzeciego strażaka, siedzącego w samochodzie. W pewnej chwili nie zdzielił. Wystrząsł, zakręcił zawór z wodą, wziął do ręki gaśnicę śniegową, dmuchnął na silnik „Syreny” dwutlenkiem węgla i po paru sekundach ogień zgasł. Dopadły się tylko resztki benzyny na jezdnię.

Wzruszyłem się. Od tego czasu patrzę ufnie w przyszłość. W każdej dziedzinie życia, jak dobrze poszukać, to znajdzie się prawdziwy fachowiec.

JANUSZ ZBIERAJEWSKI

prasa

W roku przyszłym deficyt rąk do pracy wystąpi w mniej lub bardziej ostrej formie w 38 z 49 województw. Co nie oznacza, że w pozostałych jedenastu będzie ich nadmiar — nadwyżka dotyczy pewnych grup, głównie kobiet, którym ze względu na sytuację rodzinną trudno jest zdecydować się na dłuższe dojazdy do pracy. Można więc powiedzieć, że stajemy przed problemem bariery zatrudnienia już nie w skali poszczególnych miast czy aglomeracji, ale w skali kraju. Bariery ta występuje przy tym już w roku, kiedy przyrost ludności w wieku produkcyjnym jest jeszcze dość wysoki. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych przyrosty te spadną prawie do zera. O tym, że trzeba inaczej podejść do spraw wzrostu zatrudnienia, piszemy i mówimy już od kilku lat. Obecnie jednak sytuacja na rynku pracy stawia większość zakładów

przed koniecznością dokonania istotnych zmian w organizacji, technice, a także w układzie stosunków międzyludzkich. Inaczej mogą po prostu stracić pracowników na rzecz tych, którzy umieli szybciej i skuteczniej dostosować się do nowej sytuacji.

Na tym tle nieco innego znaczenia nabierają wezwania naukowców o przyspieszenie postępu w dziedzinie nazywanej ogólnie humanizacją pracy. Potrzeba tej humanizacji wynika już bowiem nie tylko ze słusznych haseł, ale z konkretnej sytuacji.

Refleksja ta nasuwa się przy czytaniu wywiadu z prof. ANDRZEJEM K. KOZMIŃSKIM, zamieszczonym w ostatnim numerze „POLITYKI”. Trzeba tu jednak dodać, że rozmowa dotyczy się na znacznie wyższym poziomie abstrakcji i poza uwagą o

sfrustrowanych ekspedientkach jest raczej oderwana od obecnych realiów naszego życia. Mimo to warto się z nią zapoznać nie tylko po to, by mieć jaśniejszą wizję problemów powstających w warunkach pełnej automatyzacji procesów produkcyjnych.

Prof. Andrzej K. Kozmiński przedstawia się w rozmowie „technokratycznej logice”, technokratyczne podejście do problemów pracy. Tworzą one szereg mitów niekiedy nieudolnie przenoszonych na nasz grunt. To technokratyczne podejście wymaga przeciwdziałania — mogą takie przeciwdziałania stworzyć humaniści, ubrażając menedżerów w skuteczne, a przy tym nie technokratyczne narzędzia zarządzania.

Wyda się, że zarysowana na wstępie sytuacja na rynku zatrudnienia będzie również istotnym

czynnikiem przeciwdziałającym wpływowi technokratyzmu w podejściu do problemów organizowania pracy.

Na tym tle nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Prof. Kozmiński, mówiąc o zmianach, jakie w strukturze zatrudnienia wywołuje postępy techniczny i ekonomiczny, podkreślił rosnący udział działów usługowych. Zgodnie z istniejącą sytuacją nasz kraj pod tym względem wygląda bardzo anachronicznie. Udział zatrudnienia w usługach (szeroko pojętych) jest bowiem u nas pozostaje o połowę mniejszy niż w krajach w pełni rozwiniętych. Pozostaje — bo wiem przy tak niskim udziale zatrudnienia w działach usługowych — naszym gospodarką nie mogłaby normalnie funkcjonować. To zatrudnienie jest tylko organizacyjnie inaczej załączane. I tak np. kupując w polowie lat siedemdziesiątych licencję

wraz z wyposażeniem i organizacją dla jednego z zakładów chemicznych — musieliśmy zatrudnić ponad dwukrotnie więcej pracowników, niż ta organizacja przewidywała. Dlatego, że zagraniczny kontrahent nie przewidywał własnych usług remontowych, transportowych, nawet własnych sprzątarek. W jego kraju bowiem wszystkie związane z tymi dziedzinami prace wykonują wyspecjalizowane przedsiębiorstwa usługowe — od remontowania, wożenia i sprzątania. U nas zakład musi to zaliczyć we własnym zakresie i potrzebna ilość pracowników formalnie zaliczanych do zatrudnionych w przemyśle czy budownictwie — faktycznie wykonuje działalność usługową.

Sprawa, oczywiście, nie ogranicza się tylko do statystyki. Ma to swoje reperkusje w wydajności pracy, w

wykorzystaniu i ludzi, i sprzętu. Czy jednak tylko niedowład organizacyjny jest tego przyczyną? Otóż zawody usługowe nie cieszą się u nas dużym prestiżem społecznym i choć — jak mówi prof. Kozmiński — zawierają one silne elementy bezpośrednich kontaktów międzyludzkich, których np. jest pozbawiona praca przy taśmie produkcyjnej — nie wyróżniają to dość wyraźnej niechęci do wielu tych zawodów. Oczywiście, sprawa jest i w bodźcach materialnych — ale wykracza chyba poza zagadnienie zarobków. Jak zhumanizować pracę usługową — by dawała więcej satysfakcji i cieszyła się wyższym prestiżem — to też ogromny temat dla humanistów i do tematu o wielkim znaczeniu praktycznym. I dla jakości pracy, i dla ułatwienia życia nam wszystkim.

S.C.

żywocik gospodarczy

W Szczecinie pomyślano o społecznie pożytecznym wykorzystaniu czasu personelu stoisk handlowych nie zawsze zaopatrzonych w towar.

ogłoszenia



Ogłoszenie: „Solidnie tapetuję i odnawiam mieszkania. Zgłoszenia wraz z nazwiskiem i adresem proszę zostawiać w „Małej Kaskadzie” przy stoisku z kurczakami”.

Redakcji „Kuriera Lubelskiego” doniesiono o zadotowaniu na jedną z ulic miasta pod trawnikiem dużych ilości kabli zawierających cenne surowce: miedź i ołów. Reporter zaczął szukać świadków zdarzenia i sprawców. W czasie, kiedy warował w miejscu, gdzie podobno

kable zakopano, morderca zjawił się na miejscu zbrodni. Zajeżdżała ciężarówka Urzędu Wojewódzkiego nr LUB 15 78, wyskoczyło z niej paru ludzi z łopatkami i zaczęli spód ziemi wydobywać kable, aby usunąć dowody rzeczowe marnotrawstwa. Ile to, pomyśleć, trzeba u nas czasem roboty, żeby udało się zmarnować jakieś surowce czy materiały.

Gdańskie Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne zwróciło się do miejscowej prasy z prośbą o opublikowanie instrukcji, jak używać kasowników w autobusach. Instrukcja brzmi: „Kasowanie biletu polega na jego podciągnięciu do góry dwiema, na której bilet należy uprzednio położyć”. Zachęcone tym piekarnie nowszą się z myślą o publikowaniu instrukcji wyjaśniających, że ich wyroby, aby je zjeść, należy tamać łuk kroić, a następnie podnosić do ust i spuszczać na nie górną szczękę.

Kwiatlarnia numer 74 w Gdyni, podlega Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, odmawia klientom sprzedawania kwiatów w pojedynkę, albo nawet kilku, ale luzem lub bez przybrania. Zakład — informuje elc-



pedientka — specjalizuje się w wiankach. Obowiązuje tam sprzedaż wiązana kwiatami z asparagusem. Jeśli specjalizacja poczyni dalsze postępy, księgarnie muzyczne sprzedawać będą wyłącznie nuty zawierające wiazanki melodii i to wraz z fortepianem.

W Toruniu ślepą ścianę wielkiej kamienicy zamalowano reklamowymi napisami (koszty idą w setki tysięcy), informującymi, pod jaki numer telefonu dzwonić, by mieć zaraz wykonane roboty stolarskie, instalacyjne, wykończeniowe (chodzi o wykańczanie mieszkań, a nie osób) itd. Pod każdym z wynalazonych na ścianie numerów, po wykreśleniu go, słyszy się odpowiedź odmowną.

Krakowskie Zakłady Wyróbów Papierniczych swe śinki i odpadki, czyli makulaturę, dostarczają do

Fabryki Papieru w Bielsku. Ponieważ oba zakłady dzieli tylko 90 km, a ładunki wolno transportować koleją na odległość powyżej 100 km, i ponieważ brakuje samochodów, które mogłyby makulaturę wozzić, Zjednoczenie Przemysłu Papierniczego wyznaczyło jako odbiorców makulatury z KZWP na tyle odległe fabryki papieru, żeby wolno było odpady kłócić koleją. Jakkolwiek próbuje się racjonalizować transport, zaraz eliminacja jednego nonsensu powoduje rodzenie się drugich. Przypis, który miał w intencji odciążenia kolei — prowadzi w tym wypadku do jej większego przeciążenia i podniesienia kosztów transportu. Chyba jest jedyny jednak sposób, to zamiast różnych przepisów, ograniczających i dopuszczających, oprzeć transport na kalkulacji ekonomicznej i wózić tak, jak jest najtańiej.

Szczecińskie Zakłady Materiałów Biurowych informują prasę, że w związku z jej krytyką, iż marnuje papier drukując instrukcje obsługi zsympachar do papieru na zbyt wielkich kartach papieru, wystąpiły one do Zjednoczenia Przemysłu Papierniczego z wnioskiem o „wyeliminowanie instrukcji obsługi zsy-

wacza z normy BN 72/8541-01”. Rozumiem to trzeba tak: ustanowione normy nakazują, żeby na instrukcje marnować dużo papieru. Normalizacja poszła tak daleko, że reguluje format, w jakim wydawać trzeba druk, pewno w ogóle zbędne. Aby zmniejszyć format druku instrukcyjnego, jak naciskać zsympachar do papieru, żeby spinał kartki, potrzebna jest opinia Zjednoczenia. Zasadniczo bowiem Zakłady mają dużo samodzielności, ale nie aż tyle, żeby to powodowało, iż Zjednoczenie nie będzie miało czym się zajmować i umrze z nudów.

W wypowiedzi przy odpowiednim stoisku domu handlowego „Jubilat” w Krakowie księdzę życzeń klient napisał, że nie może nijak zdobyć żadnej kurtki na jesień i zimę. Otrzymał obszerną odpowiedź. Kurtki żadnych otóż nie ma, ponieważ obecnie jest sezon na takie kurtki. W sezonie powstaje wzmógłony popyt, więc kurtki być nie może, gdyż ludzie je wykupują. Poszukiwany przez klienta rozmiar kurtki jest „rozmiarom” o dużym zapotrzebowaniu”. Dlatego, nawet gdyby kurtki były, nie byłoby tego rozmiaru. Jednakże na koniec pismo podrzucił klientowi na duchu: „Zamierzam

Pana ośnośnie dokonania zakupu opisanego w skardze kurtki są realne”.

Ze sporu między właścicielką zniszczonego w spółdzielczej pralni kożucha a lokalnymi władzami pralniczymi w Koszalinie i centralnymi władzami od prania w Warszawie wynika, że jeśli w pralni przed od-



daniem rzeczy do prania pracownica ją wycenia — to wycena owa bynajmniej nie obowiązuje, kiedy przychodziłby do odszkodowania i można ją zaniżyć, zastanawiając się od nowa, ile rzecz mogła być warta, nim ją zniszczono. Powodem nieznaną uycen jest — wedle wyjaśnień władz pralniczych — fakt, że w pralniach pracują osoby niekompetentne.

gięta samochodowa

Z rozmów między bywalcami „giedy” wynika, że coraz więcej obywateli stołecznego grodu szuka możliwości korzystnego sprzedania samochodu na giełdach innych miast. Jest to spowodowane, jak się wydaje, przede wszystkim dużą konkurencją na giełdzie warszawskiej, co ma nie tylko pewien wpływ na ceny, ale zwyczajnie utrudnia dostanie się na plac giełdowy. Szacuje się, że łącznie z pojazdami parkującymi na ulicach i terenach przylegających do targowego placu, na którym wystawia się samochody, na warszawską giełdę zjeżdża w pogodną niedzielę nie mniej niż 3 tysiące samochodów. Jeśli do tego dodać 2-3 razy tyle kłębów, w rejonie Jaroszewskiej mamy w niedzielę nie gorsze zgroma-

dzenie niż na Wyścigach na Służewcu. Porównanie nie jest przypadkowe. Nie ma wprawdzie żadnych danych statystycznych, ale duża obserwacja giełdy pozwala sądzić, że wcale pokaźna grupa obywateli traktując wizytę na giełdzie samochodowej jako rozrywkę.

Wracając do sprawy sprzedawania samochodów na giełdach w innych miastach. Różnice w cenach nie uzasadniają wyprawy do Szczecina czy Wrocławia. Z jednym zastrzeżeniem. Zdarzają się okresy, że samochody określonej marki uzyskują na którejś z krajowych giełd wyższe notowania niż na pozostałych. Tak było na przykład w ubiegłym roku z „maluchami”, które na giełdzie szczecińskiej osiągały notowania średnio o

10 tys. zł wyższe niż w Warszawie. Trudno z całą pewnością ustalić, co jest powodem tych wahań.

Na warszawskiej giełdzie notowano:

WARSZAWA 223 z 1973 roku — 105 tys. zł. Wóz z tegoż roku, po 70 tys. zł. — 100 tys. zł.;

FIAT 125p (1500) z 1975 roku — 180 tys. zł. Egzemplarz z 1976 roku, po 52 tys. zł. — 185 tys. zł.;

SKODA S-100 z 1971 roku — 115 tys. zł. z 1972 roku z wyklepanym blachnikiem — 109 tys. zł. egzemplarz „de luxe” z 1973 roku — 138 tys. zł. Za Skodę S-100 „standard” z początku 1974 roku żądano 135 tys. zł.;

ZASTAWA 1100P z 1976 roku — 205 tys. zł (podatek 5 proc.).

SYRENA 104 z 1970 roku — 43 tys.

zł. Inny egzemplarz z tegoż roku — 49 tys. zł. Za Syrenę z 1973 roku żądano 71 tys. zł., a za egzemplarz z początków 1974 roku 73 tys. zł.;

FIAT 127p z 1974 roku, po 51 tys. zł. — 155 tys. zł.;

FIAT 126p z ubiegłego roku 96 tys. zł. z 1977 roku (600 ccm) — 108 tys. zł.;

BMW 1602 z 1970 roku — 115 tys. zł. Inny egzemplarz z 1967 roku — 125 tys. zł.;

FIAT 131S (1600 ccm) z czerwca 1977 roku — 450 tys. zł.;

TRIUMPH z 1964 roku, 59 KM — 105 tys. zł.;

FIAT 128 Sport (1100 ccm) z 1974 roku — 225 tys. zł.

(jod)



Fot. S. ZUBCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7) — 00-950 Warszawa. Telefon: 28-06-28, 28-06-29. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. OGŁOSZENIA PRZYMUSOWE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawnictwo Współczesne, 00-410 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 23-24-11.

Redakcja ZESPÓŁ: Jack Boldak, Stanisław Chelstowski (zastępca redaktora nacz.), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński (zastępca redaktora nacz.), Jerzy Dzięciołowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Frolich, Maria Gawrońska (redaktor techniczny), Jan Głowczy (redaktor naczelnicy), Teresa Górnicka, Krzysztof Krauss, Anna Kusko, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Andrzej Nalecz-Jawicki, Marian Sikora, Jerzy Surdykowski, Karol Szware, Wiesław Synder, Elżbieta Tadeusik (zastępca sekretarza redakcji), Danuta Zagrodzka, Janusz Zbierajewski. ZESPÓŁ KONSULTACYJNY: Mirosław Dyner, Mieczysław Kabaj, Marian Krzak, Zbigniew Madej, Mieczysław Mieszczańkowski, Zbigniew Miłkojczyk, Marek Miślak, Zofia Morekła, Marian Ostrowski, Józef Pajestka, Grzegorz Pisarski, Antoni Rajkiewicz, Wiesław Rydygier, Władysław Sadowski, Anna Szymańska, Jan Werner, Barbara Wiśniewska, Zbigniew Wzeczany.

Wydawca: RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” — Wydawnictwo Współczesne, 00-410 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 23-24-11. Zastępca redaktora naczelnego: 21-55-37, sekretarz redakcji: 23-53-52, redaktorzy: 23-53-52, 23-53-54, sekretariat redakcji: 23-06-28, 28-06-29. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. OGŁOSZENIA PRZYMUSOWE: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawnictwo Współczesne, 00-410 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 23-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszenia redakcja nie odpowiada. WARTOŚĆ PRZEMUSOWA: cena prenumeraty krajowej rocznie 200 zł, półrocznie 105 zł, kwartalnie 53 zł. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach wojewódzkich, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, jak również prenumeratorzy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Instytucje i zakłady pracy z siedzibą w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, jak również prenumeratorzy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Wpłaty na prenumeratę roczną, na I półrocze i I kwartał przyjmowane są w terminie do 25 listopada. Na pozostałe okresy w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszenia prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest droższa o 60 proc. od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 26, konto PKO nr 1531-71. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdektualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 26. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/8. Numer indeksu 38508.

Zam. 3890 F-79